

LEONARD CARPENTER  
CONAN  
ŁUPIEŻCA

CONAN THE RAIDER

Przekład:  
Robert Lipski

Data wydania oryginalnego: 1986  
Data wydania polskiego: 1999

Dla  
Jamesa Battersby

I

Zatrute morze

Wysoko w górze błękitne niebo płonęło niczym pochodnia. Poniżej rozciągała się pustynia wschodniego Shemu, rozległa, nie zamieszкана połąć, usiana górkami pasmami i piaszczystymi pustkowiami niczym kośćmi i prochami od dawna martwych gigantów. Tu jednak ziemia była płaska jak stół, spieczona na biało i twarda jak wnętrze pieca do wypalania cegieł. Po niej zaś, niczym owad pełznący po cegłach rozgrzanego pieca, przesuwiał się jeździec na koniu. Siwa spocona klacz szła stępa, tocząc z gorąca pianę z pyska. Otulony fałdami długiego kaftana, jeździec siedział nieporuszony. Gruba gęsta wełna miała powstrzymać pustynne słońce przed wysączeniem ostatniej kropli wody z ciała człowieka i wypalenia mózgu z jego czaszki.

Wypukłości i fałdy zakurzonego odzienia zdradzały, że jeździec jest postawnym mężczyzną, choć spod materiału widać było tylko jego oczy. Błyszczały błękitem w szczelinie kaptura, lustrując z zaciętością drapieżnego zwierzęcia rozciągające się przed nim pustkowia. W pewnej chwili jeździec odwrócił się przepatrując horyzont z czujnością zbiega.

Wierzchowiec zwolnił kroku.

- Na Croma! - zaklął jeździec. - Trzymaj tempo! Ani mi się śni przemierzać pieszko to nawiedzzone przez demony pustkowie!

Poklepał szyję zwierzęcia wielką, ogorzałą dłonią i wyszeptał mu kojąco wprost do ucha:

- Już dobrze, maleńka! Po prostu trzymaj tempo. Nasi prześladowcy, jeśli mają choć odrobinę oleju w głowie, na pewno uznali, że już nie żyjemy. Zrób to dla mnie i dogoń tego sędziwego przeciążonego kucyka Juviusa, a wtedy odzyskamy nasz klejnot.

Przez chwilą wydawało mu się, że dostrzega przed sobą gorejący w powietrzu złoty pierścień z osadzonym w nim wielkim, niebieskim szafirem - Gwiazdą Khorali. Zamrugał niecierpliwie powiekami, aby wizja przysła; wiedział, iż takie majaczenia nie zwiastowały niczego dobrego. Spróbował skoncentrować wzrok na falującej od żaru linii horyzontu.

- Na sploty Seta, dokąd nas prowadzi ten parszywy łajdak, Juvius?

W głębi serca Conan z Cymmerii znał odpowiedź na to pytanie, i wcale go to nie cieszyło. Z górą dwa dni temu odłączył się od szlaku karawan, by podążyć za słabo widocznymi na pustyni śladami kopyt. Góry, falujące i roziskrzane, widoczne hen, na horyzoncie, blade, niemal białe w promieniach słońca, mogły znajdować się o kilka dni lub nawet tygodni drogi, lecz samotny jeździec nie miał szans, aby do nich dotrzeć. Jak okiem sięgnąć, na równinie nie było żadnych znaków czy punktów ostrzegawczych. Nawet skrawka cienia, gdzie wędrowiec mógłby zatrzymać spojrzenie strudzonych, podrażnionych od blasku słońca oczu.

Conan wiedział, że Juvius mógł prowadzić go jedynie ku śmierci.

Nic w tym dziwnego. Ten łajdak spotkał Cymmerianina w pustynnej stanicie w Uwadrze. Okazał się wobec niego wyjątkowo obłudny i podstępny. Spił Conana tamtejszym winem z melonów, które nader szybko uderza do głowy, po czym ukradł mu Gwiazdę Khorali, na jej miejsce zaś podłożył kilka skradzionych wcześniej, bezwartościowych błyskotek. Jego diabelski plan zakładał, iż pozostawi barbarzyńcę najemnikom z miejscowego garnizonu Wazirów, by powiesili go o świącie za kradzież rzeczy, na które Conan nigdy by się nie połąszczył.

W całej swej złodziejskiej karierze Juwius, mogący skądinąd pochwalić się niemałymi wyczynami jak na rzezimieszka z pogranicza, nie miał wszelako okazji, by wykazać się odwagą czy umiejętnościami bojowymi. Był miejskim rabusiem i na sprażonej słońcem pustyni czuł się jak ryba wyjęta z wody. Gdy ujrzał Conana, który na skradzionym wierzchowcu z morderczym błyskiem w oku ruszył jego śladem po ucieczce z garnizonu, wpadł w panikę. Myśląc jedynie o ucieczce, głupiec zjechał ze szlaku i zapuścił się w głąb bezludnych pustkowi.

Wściekły Conan pośpieszył śladem klejnotu, a za nim bez wahania podążyła rozsierdzona drużyna straży Wazirów. Teraz zaś zło - dziej zagubił się na pustyni, z godziny na godzinę zapuszczając się coraz dalej w głąb rozpalonego żarem piekła. Świadczyły o tym pozostawiane przezeń kręte ślady.

- Cóż, jeżeli pustynia go nie zabije, zrobię to ja - rozmyślał w głos Conan. - Ten łajdak zasługuje na to, by przypiekać go na wolnym ogniu. Ukradł moją własność. - Zamilkł, zastanawiając się nad problematyczną kwestią, kto właściwie jest prawowitym właścicielem Gwiazdy. W chwilę potem zwrócił się do wierzchowca z wyjaśnieniem. - Bądź co bądź to ja, nie on, pierwszy skradłem pierścień z palca tego złodziejskiego króla!

Z grzbietu słaniającej się klaczy Conan lustrował spod wpeł przymkniętych powiek rozciągające się przed nim, stopniowo zmieniające swój wygląd pustynne terytorium. Twarda jak cegła ziemia ustąpiła miejsca spękanym glebom osadowym i szczeliny miejscami były wystarczające szerokie, by mogło w nich uwięznąć końskie kopyto. Tu i ówdzie z gliny sterczały postrzępione kryształki soli, niczym błyszczące, gnijące kły ozdobione u podstawy nekrotycznymi, sinymi cieniami. Conan zmusił wierzchowca, aby zwolnił do stępa.

- Spokojnie, maleńka - mruzczał do klaczy. - Gdyby twoi dawni właściciele mieli nas dopaść, to właśnie tu i teraz. - Gdy jednak spojrzął za siebie, nie dostrzegł na równinie mrocznych sylwetek prześladowców.

W dali przed nimi fale żaru skrzyły się i zniekształcały horyzont jeszcze bardziej hipnotycznie niż dotychczas; granica pomiędzy niebem a ziemią była praktycznie niewidoczna. Mimo to na ziemi wciąż dostrzec można było ślady kopyt wierzchowca należącego do Juwiusa. Koń nie bacząc na nic zapuszczał się coraz dalej w głąb posępnej krainy. W pewnej chwili klacz stanęła dęba i za nic nie chciała pójść dalej.

Mężczyzna w pelerynie westchnął, zeskoczył z siodła i ujmując klacz za uzdę, poprowadził ją ostrożnie przez równinę usianą głębokimi szczelinami, pełnymi błotnistych kryształów soli.

Wtem mężczyzna zamrugnął ze zdziwienia. Na wprost niego znajdowała się okrągła sadzawka o gładkich, glinianych ścianach. Czysta woda skrzyła się i migotała w blasku słońca niczym roztopione szkło. Podszedł do niej, ukląkł i nabrał wody na dłoń. Była ciepła, a krople na jego skórze przypominały szklane paciorki. Uchylając dolną część kaptura dotknął językiem jednej z kropel. Zaraz potem splunął siarczyście - woda miała smak jadu skorpiona. Odpluwając z niesmakiem, poprowadził wierzchowca dalej. Wreszcie z wahaniem pociągnął łyk z na wpeł opróżnionego skórzanego worka wiszącego u łęku siodła i opłukawszy Usta, by pozbyć się obrzydliwego posmaku, wypluł ją na ziemię.

Coraz częściej napotykał na swej drodze sadzawki i mętne, błotniste bajorka. Towarzyszące im słone wieżyce sięgały barbarzyńcy prawie do pasa. Conan był przekonany, że szklista niebieskawa poświata, którą widział w oddali, oznaczała znacznie większy zbiornik wodny. Nie było to z pewnością tętniące życiem morze, niegdyś jednak musiały żyć w nim jakieś istoty, o czym świadczyły strzępiaste rybie ości i skorupy barnakli, wtopione w glinę pod jego stopami. Niektóre czaszki dorównywały wielkością ludzkim, wiele spośród nich najeżonych było kolcami, niczym maczuga gwoździami.

Uniósł wzrok nad rozszanych dokoła szczątków i hen, daleko dostrzegł nieduży czarny punkcik. Znajdował się niemal tuż przy niebieskiej, roziskrzanej plamie wody, szerszy i czarniejszy niż blade widma kolumn solnych.

Utkwił w nim wzrok, przysłaniając od blasku oczy obiema dłońmi. W miarę

jak się doń zbliżał, punkcik stopniowo jał nabierać kształtu. Był to krępy, barczysty mężczyzna siedzący na brzuchu martwego konia.

Juuius zapuścił się w głąb pustyni tak daleko, jak zdołał dowieźć go jego rumak. Teraz siedział u skraju wąskiego piaszczystego cypla, obmywanego z trzech stron falami słonego morza. Migocząca woda niknęła w oddali, roztopiając się w jedno z pofalowanym od żaru powietrzem. Jak oszacował Conan, nie miała więcej niż trzy, cztery stopy głębokości.

Złodziej siedział obok padłego wierzchowca na brzegu martwego morza, wpatrując się w pustynię i swego prześladowcę. Czekał z odkrytą głową, a jego potężne ciało opierało się o brzuch konia, ujęte z dwóch stron sztywnymi, wyprostowanymi nogami zdechłego zwierzęcia. Nie poruszał się, i dopóki złodziej nie uniósł dłoni ponad poczerniałą, sprażoną słońcem twarzą, by ocienić oczy, Conan nie potrafił powiedzieć, czy mężczyzna żyje, czy jest martwy. To upewniło barbarzyńcę, że ma do czynienia z prawdziwą wizją, nie zaś z mirażem wywołanym przez słońce i pustynne demony.

Conan wpatrywał się w swego wroga z wargami wykrzywionymi w gniewnym grymasie. Widok złodzieja wstrząsnął nim do głębi. Mężczyzna był wręcz żaloszny, gdy tak siedział, niczym król na tronie, oparty o wzdęte cielsko zwierzęcia. Cymmerianin westchnął i pokręcił głową, zde gustowany. Na takiego żaloznego durnia trudno było się wściekać. Zwolnił uzdę swej klaczy, a ta natychmiast stanęła i opuściła łeb. Jednym mchem zdjął z ramion wschodni kaftan i zarzucił na siodło, odsłaniając sprażone słońcem na brąz, muskularne ciało odziane w białą, jedwabną koszulę, brązowy kaftan i sandały.

Odwiązał od juków duży, na wpół pusty bukłak na wodę i przewiesił sobie przez ramię. Szepcząc do spragnionej klaczy, podłożył jej dłoń pod pysk i nalał na ułożoną w miseczkę rękę nieco wody. Odwrócił się i ruszył w stronę złodzieja.

Gdy poczuł, że pod stopami pękają mu oproszone solą barnakle, pokrywające nieduży cypel, zawołał do siedzącego, znajdującego się od niego o strzał z łuku:

- Hola, Juuiusie! Wygląda na to, że twoja wędrówka dobiegła kresu. - Przerwał, lecz tamten nie odpowiedział. - Czy jesteś gotów układać się ze mną o Gwiazdę Khorali?

- Układać się, tak. - Głos był ciepły, schrypnięty, gdy spieczona od słońca wargi zaczęły poruszać się niemrawo. - Juuius zawsze jest gotów się układać. Nawet z żadnym krwi, bezwzględny barbarzyńca!

W gardłowym głosie brzmiała nuta szaleństwa i Cymmerianin stwierdził, że od upału jego ofierze pomieszało się trochę w głowie. Ruszył naprzód.

- Dobrze więc - odrzekł. - Powinienem obedrzeć cię żywcem ze skóry i posypywać obficie każdą z ran solą, a potem zostawić cię spętanego na środku pustyni, byś za swą zdradę zdechł jak pies z pragnienia i głodu. Prawdę mówiąc, jestem jednak zbyt zmęczony, by się tym trudzić. Dlatego proponuję ci pewien układ.

- Tak, tak, układ - wzierające spomiędzy rozwichrzonej brody wargi Juuiusa były popękane i prawie całkiem białe. - Podaj mi swoje warunki.

- Pragnę tylko odkupić to, co mi ukradłeś - ciągnął Conan, przez cały czas zbliżając się do złodzieja. - Mój pierścień, Gwiazdę Khorali, w zamian za trochę wody! - Uniósł worek, potrząsając nim, by dało się słyszeć głośnie pluśnięcie.

- Woda, tak! Klejnoty za wodę! To uczciwy układ! Pierścień... Mam go tutaj... - Chrypiący głos przeszedł w niezrozumiały bełkot.

Conan zbliżył się, i Juuius jał przetrząsać juki, leżące tuż przy nim. Jego twarz i głowę pokrywały wielkie, odrażające, czerwone pęcherze, wargi miał białe i spierzchnięte.

- Będiesz mógł wypić tyle wody, ile zdołasz, a potem, jeżeli sił ci starczy, chwycić się ogona mego wierzchowca i iść za nim, gdy ja w siodle będę opuszczał tę przeklętą krainę... - zakrzyknął Conan.

Nie zdołał dodać nic więcej, bo w tej samej chwili Juuius jednym energicznym ruchem wydobył z juków niedużą kuszę i wycelował w barbarzyńcę. Conan poczuł rozdzierający ból w boku, gdzie trafił go bełt, a potem ciepła wilgoć spływająca strużkami po biodrze i udzie.

Był ranny, dostał w bok, ale żył! Nie czuł bólu, może bełt trafił w ciało pod kątem. Po trwającej mgnienie oka chwili wahania, Conan rzucił się naprzód, przytykając do boku dłoń zaciśniętą na rękojeści krótkiego sztyletu i worek z wodą. Od przeciwnika oddzielał go wciąż spory dystans, lecz krótszy niż

zasięg miotającej bełty kuszy.

- Hej, ho, ale strzał! Przyszpiliłem go jak nic! Teraz pora dokończyć dzieła! - mamrotał radośnie Juwius, usiłując gorączkowo naładować ponownie broń. - Barbarzyńca chce odzyskać swój pierścień! Chce dać mi wody! Głupiec! - Opierając kolbę broni o brzuch, jednym szybkim ruchem grubych łapsk napiął cięciwę. Nie zwracając uwagi na napastnika, który był coraz bliżej, sięgnął do juków po kolejny bełt. Przez cały czas obłąkańczo mamrotał pod nosem. - Czyż nie widzi, że wody mam, ile dusza zapagnie? Całe jezioro, wystarczy sięgnąć ręką! Po cóż mi jego woda? - Z obłądnym błyskiem w oku uniósł kuszę.

Conan znajdował się o dobrych kilka kroków od niego, liznawszy, że nie zdąży dobiec doń na czas, przystanął i wkładając całą siłę swego mocarnego ramienia w rzut, cisnął trzymany w rękę ciężki sztylet.

Stał rozbłysła w słońcu i z głośnym łupnięciem zagłębiła się po rękonoż w piersi Juwiusa. Czerwonolicy złodziej chrząknął i osunął się na wzdęte zwłoki wierzchowca. Dłoń z kuszą opadła, a zwolniona cięciwa posłała bełt w piasek plaży, rozpryskując białe od soli barnakle.,

Juwius skonał, nie poruszywszy się więcej, ani nie wydawszy z siebie ani jednego dźwięku.

Conan wciąż czuł pulsowanie w boku i ciepłą wilgoć ściekająca po nodze. Przyjrzał się ranie i stwierdził, że grot bełtu pozostawił na ciele jedynie płytkie zadrapanie. Zdradziecki strzał niemal w całości przyjął na siebie skórzany worek, na którym widniało teraz spore rozdarcie. Zostało w nim wody tylko na kilka łyków, reszta wyciekła, gdy barbarzyńca biegł, by ostatecznie rozprawić się ze swoim wrogiem.

Klnąc siarczyście, Conan zawiązał worek, by ocalić resztkę życiodajnego płynu. Odwrócił się do trupa Juwiusa. Nie ulegało wątpliwości, że w niebezpieczny sposób zlekceważył opryszka. Złodziej stopniowo popadał w obłąd wywołany upałem, a także wypiciem zatrutej wody ze słonego jeziora.

Brodę Juwiusa zdobiły białe kryształki - musiał wypić sporo gęsto zasolonej wody. Najwyraźniej w ogóle nie przejmował się jej wpływem na organizm. Kiedy Conan pochylił się nad trupem, by odebrać swoją broń, ostrze wysunęło się z piersi zabitego z dziwnym, suchym szelestem. Na ostrzu nie było, jak się spodziewał, śladów krwi, lecz osad z soli, która zaczęła już nadżerać i powodować czernienie lśniącej, srebrzystej stali.

Najokrutniejsza niespodzianka czekała jednak Conana, gdy przetrząsał rzeczy złodzieja w poszukiwaniu skradzionego pierścienia - Gwiazdy Khorali.

Nigdzie go nie było.

Ponownie przeszukał juki i ubranie trupa, wywracając na lewą stronę wszystkie jego kieszenie i sakiewki. Przejrzał uważnie pojemne juki przy siodle padłego wierzchowca. Bez rezultatu. Dysząc z wysiłku, w potwornym skwarze obrócił zwłoki konia i jego jeźdźca, by przeczesać piasek, na którym leżeli. To również nic nie dało.

Zdezorientowany uniósł w dłoni swój sztylet, przyglądając się podejrzliwie ciału Juwiusa. Nie - skonstatował - pierścień z wielkim klejnotem był zbyt duży, by nawet tak zachłanny złodziej jak Juwius mógł go połknąć.

Zlustrował wzrokiem równinę dokoła, cienki pas białej plaży, postrzępione kolumny solne, widniejące w oddali sadzawki i otaczające cypel z trzech stron fale błyszczącej toni zatrutego morza. Mógł przetrząsnąć każdy cal plaży, gdyby doszedł do wniosku, że Juwius, wiedziony szaleństwem lub czystą złośliwością, cisnął pierścień precz. To cacko było dość duże, by je odnalazł, gdyby się do tego przyłożył. Potrafił wypatrzeć pierścień nawet w piekielnym labiryncie szczelin i krystalicznych wieżyc.

Ale co z wodą? Czy będzie musiał przebagrować także dno zatrutego morza? Choć było płytkie, a woda krystalicznie czysta, na dnie zalegała brunatna, gęsta warstwa mułu. Posmakował wody i wypluł z taką samą odrazą jak wcześniej, przy stawie. Sięgając do sadzawki cisnął do wody miedziaka i patrzył, jak moneta zanurza się wolno w miękkim, mulistym dnie.

Wkrótce potem wstał, wyprostował się i zaklął szpetnie, że przypadło mu utkwąć w tym sprażonym słońcem piekle, na dodatek bez wody i upragnionego drogiego klejnotu. Wtem kątem oka do - strzegł nagle poruszenie - najwyraźniej morze nie było kompletnie wymarłe - pewne formy życia zdołały przywyknąć do jego zabójczego środowiska. Wielki, płaski, trzepoczący się szaleńczo stwór o wielkiej paszczy i z długim, najeżonym kolcami ogonem, ryba latająca albo raja, śmignął po roziskrzanej powierzchni, jak ciśnięty wprawna

ręką kamyk. W chwilę potem znów zniknął w głębinie, pozostawiając po sobie tylko rozchodzące się koncentrycznie kręgi na oleiście błękitnej powierzchni wody.

Conan westchnął cicho do swego boga, Croma, odwrócił się na pięcie i ruszył w powrotną drogę.

## II

### Łupieżcy umarłych

Pustynny wiatr chłostał srodze ziemię niczym woźnica zmęczona kobyłą, aby przyspieszyła kroku, ciągnąc wóz w drodze do domu. Na wyżynie u zbiegu dwóch parowów niesiony wiatrem piach wyrzeźbił ze sterczących z ziemi skał wysokie, spiczaste jak w minarecie wieżycy. Szumiały teraz głęboko i donośnie, gdy omiały je podmuchy pustynnej kurzawy, wydając osobliwe, jakby ostrzegawcze dźwięki.

Spomiędzy dwóch wieżyc wyłonił się tępy, mrugający oczami gadzi łeb. Zaraz potem pojawił się beczkowaty kadłub o tęczowym ubarwieniu, tłusty jak dobrze utuczony kurak pod warstwą wszechobecnego brunatnego kurzu. Gad zsunął się po skalistej stromiźnie do parowu, gdzie piaszczyste podłoże upstrzone było brązowymi splechawkami krzewów.

Conan ze spierzchniętymi wargami, osłabiony z pragnienia wpełzł za gadem do parowu. Miał na sobie strzępy kaftana, nogawki spodni kończyły mu się na wysokości kolan, resztę oderwał, aby łatwiej było mu iść. Z ramienia zwieszał mu się zwiotczały, pomarszczony worek na wodę. Barbarzyńca ostatni raz gasił pragnienie krzepnącą krwią swojej klaczy, toteż chciwym wzrokiem wypatrywał jaszczurki.

Porzuciwszy ostrożność, spelzł za gadem po kamiennym stoku. Rzucił się rozpaczliwie, aby go pochwycić, przeturlał się po kamieniach, po czym z głuchym jękiem wylądował na piasku, rozorując sobie ciało na twardych kolcach pustynnego krzewu. Sięgnął niezdarnie obiema dłońmi pod siebie, aby pochwycić miotające się, przy - obleczone w twardą łuskę ciało, lecz gdy uniósł je w górę, by przyjrzeć się zdobyczy, ujrzał jedynie oderwany, lecz wciąż poruszający się ogon jaszczurki. Kiedy uniósł wzrok, dostrzegł gada, który choć okaleczony, lecz najwyraźniej bez większej szkody, znikł po chwili wśród skał nieopodal.

Czując pod czaszką nieprzyjemny, wywołany pragnieniem szum, przyjrzał się baczniej ogonowi. Był suchy i kościsty. Aby wyssać zeń resztki wilgoci, przytknął do ust okrwawiony kikut.

- Zali to człowiek, zapytuję? - Przepełniony ironią, głęboki głos należał do mężczyzny siedzącego na garbie wielbłąda; zwierzę stało pod kamienną półką w parowie o kilka kroków od barbarzyńcy. - Czy może pustynny troglodyta, rodem z pustynnych pustkowi? - Okutany w płaszcz podróży jeździec był krępy, jasnowłosy i bladokóry. Choć mówił z płynnym, shemickim akcentem, pochodził niewątpliwie z Pomocy.

- Taa, Otsgarze, jeżeli tylko to, co słyszałem, jest prawdą - z tyłu podjechał doń na wielbłądzie drugi, nieco niższy jeździec.

- Powiadają, że duże małe górskie przywdziewają niekiedy ludzkie odzienie, zwłaszcza gdy zaczną im linieć futro na...

'- Wody - wychrypiał Conan i zabrzmiało to jak krótkie, lecz władcze żądanie. Niezdarnie podźwignął się na nogi. Chwiejnym krokiem podszedł do tego, którego nazywano Otsgarem, unosząc dłoń ku skórzanemu, pokrytemu ciemnymi plamami workowi, wiszącemu u łęku siodła.

- Zaczekaj! - zawołał Otsgar ściągając cugle, by jego niezgrabny wierzchowiec oddalił się o krok od Conana. - Jak zapewne zauważyłeś, woda to w tej okolicy rarytas. - Przyjrzał się Cymmerianinowi z wystudiowaną wrogością. - Z zawodu jesteśmy handlarzami i nie oddajemy darmo naszych towarów. Co możesz zaoferować nam w zamian?

Do Otsgara dołączali kolejni jeźdźcy i było ich z górą tuzin. Garbate wierzchowce stały cierpliwie, żując lub leniwie skubiąc kolczaste krzewy. Większość jeźdźców stanowili kędzierzawo-włosi Shemici, młodszy niż jasnowłosy, oraz brodacze, który się odezwał. Niektórzy z przybyłych uśmiechali się na widok sponiewieranego Conana i sposobu, w jaki go traktowano, inni natomiast łypali nań posępnie, usiłując, jak to młodzi, wyglądać na groźniejszych niż byli w rzeczywistości.

- Nie wyglądasz mi na bogacza - ciągnął ich przywódca. - Może w zamian za wodę zdołasz odplacić nam inną monetą... informacją. Wspomożesz przez to uczciwych handlarzy, którzy zgubili się i pro - buja odnaleźć właściwą drogę do celu. OtsGAR klepnął silnie pękaty worek, aby woda wewnątrz głośno zachlupotała. - Powiedz no, czy podczas swych wędrówek w tym rejonie nie widziałeś czasem prastarych ruin? Takie monumenty mogą być dla nas ważnymi a użytecznymi drogowskazami.

Conan postąpił jeszcze krok naprzód, a jeździec z pomocy znów zmusił swego wierzchowca do cofnięcia się. Tym razem mężczyzna spojrzął na barbarzyńcę z jawną wrogością i oparł dłoń na rękojeści sierpowatego tulwara, zwieszającego się u jego boku. Pozostali członkowie jego drużyny również sięgnęli po broń.

Conan wsadził rękę za pazuchę w poszukiwaniu rękojeści zatkniętego za pas sztyletu. Nie znalazł go. Obejrzał się przez ramię i zamglonym wzrokiem dojrzał nóż leżący w piasku obok porzuconego jaszczurczego ogona.

- Stać! Znam tego mężczyznę! - odezwał się jeden z Shemitów, brodac, który jako pierwszy dołączył do herszta bandy i podrwiwał z niechlujnego wyglądu barbarzyńcy. Zsunął się z garbu wierzchowca i podszedł, odkorkowując swój worek na wodę.

- Masz stary druhu! Pij, Conanie z Cymmerii! - Podał mu worek, a Conan spojrzął nań mętym acz podejrzliwym wzrokiem. - To godziwa zapłata za ocalenie mi życia, a w każdym razie mojej prawej ręki, przed łapaczami złodziei z Arenjunu! - Przytrzymując wylot worka przy ustach spragnionego, wyciskał zeń wodę drobnymi łydkami. Barbarzyńca opadł na kolana i przytrzymując się płaszczem z owczej skóry, który miał na sobie Shemita, pił łapczywie.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Izajabie? - OtsGAR łypnął groźnie na swego kamrata. - Zamierzałem zadać mu jeszcze kilka pytań.

- To nieistotne. Nie odpowiedziałaby. Ci Cymmerianie są uparci jak osły. Albo... jak wy, Vanirowie - dodał od niechcienia Shemita, odbierając worek z rąk barbarzyńcy. - Wystarczy - rzekł półgłosem. - Niech ta woda wsiąknie w twój organizm. Napijesz się znowu za chwilę.

- Zostaw mu worek i ruszajmy w drogę - burknął niecierpliwie OtsGAR. - Powinniśmy zacząć szukać nieco dalej na wschód.

Izajab spojrzął na swego przywódcę.

- Na tych sprażonych słońcem pustkowiach czyn taki nie byłby oznaką miłosierdzia, OtsGARze. Ta woda przedłużyłaby jedynie jego konanie i odwlekła moment śmierci. Powiadamy, byśmy zabrali go ze sobą. Conan może się nam przydać.

- Poklepał barbarzyńcę po ramieniu. Wyglądało na to, że już po wypiciu kilku łyków wody Cymmerianin nieco się wyprostował. - Tak, zabierzmy go, OtsGARze - rozległ się jedwabisty głos jeźdźcy w kapturze, siedzącego na wielbłądzie tuż za nomadem z Północy.

- Sądząc po jego budowie, zda mi się, że będzie przydatny przy dźwiganiu i przenoszeniu. - Szczupła dłoń odgarnęła szal odsłaniając oblicze śniadoskórej, kruczowłosej kobiety.

Herszt zasępił się przez chwilę, po czym wrzucił ramionami. I nagle uśmiechnął się do dwóch mężczyzn rozbierająco. Wyszczерzył się, błyskając garniturem wypełnionych złotymi plombami zębów.

- Doskonale. Silni mężczyźni zawsze mogą się nam przydać. Witaj w naszej drużynie, Conanie.

- Dzięki ci, Izajabie - wychrypiał Cymmerianin.

- Nie rozpoznałem cię z daleka. - Na wpół przyjacielskim gestem, na wpół by się przytrzymać, barbarzyńca oparł dłoń na ramieniu Shemity.

Spojrzął beznamiętnie na OtsGara i pozostałych.

- A odpowiadając na twoje pytanie, Vanirze - nie, nie widziałem w okolicy żadnych ruin ani grobowców. - Puścił Izajaba i oddalił się, by podnieść z piasku swój sztylet.

Tymczasem reszta drużyny urządziła już postój, wielbłądy ugięły przednie nogi, by ich jeźdźcy mogli zsiąść na ziemię. Izajab znów podał Conanowi worek z wodą i garść słodzonych daktyli dla zabicia głodu. Shemita zapytał, jak to się stało, że Cymmerianin pieszo zapuścił się tak daleko na pustkowie, na co barbarzyńca streścił mu swą ostatnią przygodę. Niemal szeptem mówił o kradzieży i pościgu za Gwiazdą Khorali, by opowieść nie doszła do niepowołanych uszu innych członków drużyny. Izajab wysłuchał z powagą, współczując druhowi straty cennego klejnotu.

Po krótkiej drzemce Conanowi przydzielono kasztanowatego wielbłąda z

prowizorycznym siodłem. Otsgar, odnoszący się doń odtąd życzliwie, sam wybrał dla barbarzyńcy jedno ze zwierząt pociągowych z karawany, nad którą pieczę sprawował jednooki, starszawy Zuagir.

Mocno osłabiony Conan z radością przyjmował każdą oferowaną mu pomoc. Mimo to zastanawiał się, dlaczego tak osobliwa drużyna zapuściła się tak daleko w głąb pustyni. W karawanie znajdowało się kilka jucznych, lecz nie obciążonych tobołami wielbłądów, niektóre zaś nosiły jedynie prowiant, worki z wodą, drewno opałowe i pobrzękujące skórzane sakwy, pełne, jak się zdawało oręża. Ludzie ci wydawali się kiepsko zorganizowaną drużyną - byli to głównie młodzi, niedojrzali mężczyźni, jedynie Otsgar, Izajab i je - den czy dwóch innych sprawiało wrażenie doświadczonych i zahartowanych w walce. Conan nigdy nie widział podobnej karawany.

Kobieta natomiast, Stygijka, sądząc z wyglądu, była jakby trochę za szczupłą. Gdy siedziała dumnie w cieniu pasącego się wielbłąda, chroniąc przed słońcem śniadą cerę i czesząc długie, czarne włosy, nie wyglądała na osobę pasującą do tej zgrai pospolitych opryszków i podrzynaczy gardeł.

W umyśle Conana pojawiło się pewne podejrzenie, aczkolwiek pozostawił przypuszczenia dla siebie. Zanim Otsgar dał rozkaz do wyruszenia w dalszą drogę, większość drużyny zachowywała niewzruszone milczenie.

Obserwowany bacznie przez pozostałych, Conan bez pomocy wspiał się na garb swego klęczącego wierzchowca; szybko odzyskiwał siły.

Zajął w karawanie miejsce za Izajabem i na swym kołyszącym się wielbłądzie podążył w głąb rozszerzającego się parowu.

Gdy wyszli na otwartą połać pustyni, najwyraźniej zgodnie z wcześniej ustalonym planem jeźdźcy zmienili szyk, przyjmując formację wachlarza. Kobieta w kapturze pozostała blisko Otsgara, podczas gdy inni rozjechali się na boki, tak jednak, by nie stracić z oczu sąsiada. Izajab dał Conanowi znak, by pozostał przy nim, i wspólnie zajęli pozycje w pobliżu środka szyku.

- Dobry sposób na przeszukiwanie pustyni - rzekł Conan, gdy inni znaleźli się poza zasięgiem jego głosu. Podjechał na wielbłądzie do swego wybawcy, zachowując wszelako bezpieczną odległość pomiędzy zwierzętami.

- To prawda, niemniej widoczność nie jest dziś najlepsza. Wiatr jest silny, a w powietrzu pełno wirującego piasku. - Izajab podciągnął wyżej pasiasty szal, by osłonić twarz przed zacinającymi piaskiem podmuchami wiatru. Horyzont w oddali poszarzał groźnie. Conan wiedział, że ten wiatr mógł szybciej niż palące słońce wyssać z człowieka wilgoć, a siła wichury kruszyła ciało ludzkie ze znacznie większą łatwością niż lita skała.

- Tak, poszukiwania będą dziś utrudnione. - Wciąż jechał blisko Shemiry. - Ale czego właściwie szukacie? Zabłąkanej karawany? Kogo planujecie ograbić, Izajabie?

- Nikogo, kto mógłby się na nas za to poskarżyć - odparł tamten zerkając nań z tajemniczym uśmieszkiem. - Jedynie tych najbardziej chciwych spośród chciwców, którzy zabrali całe bogactwo ze sobą tam, gdzie dobra doczesne nie są im już potrzebne. - Tak myślałem. Jesteście rabusiami grobów. - Conan wzdrygnął się mimowolnie.

- To niepochlebne dla nas określenie. Wolałbym miast tego, abyś określał nas mianem łupieżców. Łupieżców pustyni. - Uśmiechając się, Izajab ponownie zerknął z ukosa na Conana, który jechał pod wiatr i brał na siebie część impetu pustynnej wichury. - Czemu drżysz na te słowa, o królu złodziei? Czyliż nie stawiałeś czoła większym zagrożeniom, wykonując swój zawód wśród żywych, niż ja, grabiąc umarłych?

- Ryzyko mi niestraszne, dobrze o tym wiesz - odparł Conan i potrząsnął głową, zasępiony. - Ale rabowanie grobów... nie zniósłbym tych ciasnych korytarzy i panującego w nich smrodu. Plądrowanie grobów i przesiewanie gnijących kości w celu odnalezienia wśród nich błyskotek! Ohyda! Poza tym nie przepadam za duchami i czarami, a stare grobowce cuchną wręcz jednym i drugim!

Zadumany Shemita gładził się po kędzierzawej brodzie.

- Pamiętam pewną historię, którą ktoś mi kiedyś opowiedział - zapewne w jakiejś podejrzanej speluncie albo zamtuzie - o młodym barbarzyńcy z Północy, który zbeczczył grobowiec starożytnego króla i wyjął miecz z jego kościstych dłoni, mimo iż ów gorąco pragnął potem odzyskać swój oręż.

- Tak, to prawda - potwierdził Conan. - Ale nie miałem wyboru. Byłem nagi, skostniały z zimna i deptało mi po piętach stado wilków. Musiałem wejść do tego grobowca.

- Czy teraz twoja sytuacja przedstawia się inaczej? - Słowa Izajaba przeszły jednak bez echa, bo Cymmerianin mówił dalej.,

- Tak czy inaczej wasze działania mają posmak szaleństwa. Przetrzęsanie pustyni w poszukiwaniu starożytnych grobowców! Skąd przypuszczenia, że cokolwiek tu znajdziecie? - Wyciągnął rękę w kierunku połaci pustynnej przestrzeni, bowiem grunt pod kopytami wielbłądów z twardej, zeschniętej gliny zmienił się w sypki piasek, falujący pod wpływem podmuchów silnego wiatru.

- Skąd przypuszczenia, że kiedykolwiek ludzie zamieszkiwali tę przeklętą krainę?

- Co się tyczy poprzednich mieszkańców tych terenów... spójrz tam - Izajab skinął ręką, wskazując na płaski, okrągły kamień wpuszczony w twardą jak skała glinę przed nimi. - Bez wątpienia to podstawa żaren albo prasy do wyciskania winogron, jakich po dziś dzień używamy w Shemie. Można ją rozpoznać po otworze pośrodku. - Machnął ręką szeroko. - Ongiś, w zamierzchłych czasach była to żyzna kraina, rozciągająca się od stoku tamtych gór po brzegi spokojnego morza.

Podążając za gestem ręki przyjaciela, Conan rozejrzał się dokoła. Przez chwilę niemal był w stanie wyobrazić sobie zielone pola nakładające się na piasek, rozpalone słońcem alkalia oraz kłębiaste białe chmury, przetaczające się nad błękitnymi falami w oddali. Oczyma duszy ujrzał port morski z kopułami i wieżycami... Nagle zamrugał i potrząsnął głową, by oczyścić umysł z macających go obrazów.

- Na Croma! - wymamrotał.

- Co się tyczy tego, jak odnajdujemy bogate grobowce - ciągnął Izajab - przyznaję, że głupotą byłoby poszukiwać ich na chybił trafił. Otsgar ma jednak dobry słuch. - Uśmiechnął się łobuzersko i mrugnął do Conana. - W Shemie ma własną karczmę, słynny karawanseraj... Ponieważ posiada wielu przyjaciół wśród jeźdźców pustyni, jako jeden z pierwszych dowiaduje się o dokonywanych przez nich odkryciach. Ma również koneksje wśród kupców i arystokratów, dzięki czemu zyskuje najwyższe ceny za znajdowane przez nas skarby.

Wykorzystywał te informacje w przeszłości i dały one nam wszystkim spore zyski, ja też nieźle się przy nim obłowilem. - Shemita wzruszył ramionami. - Wiele grobów wspólnie złupiliśmy. Tak wiele, że ostatnimi czasy trudno znaleźć jakiś nie splądrowany grobowiec. Mam na myśli stare, pogańskie miejsca grzebalne, których nie chroniłyby nasze władze religijne. Wszelako kilka dni temu Otsgar zaczął zbierać nową ekspedycję, dużo wystawniejszą i liczniejszą niż zwykle. Stało się tak za sprawą majaczeń starego łowcy klejnotów, którego bliskiego śmierci ocalili zuagirscy koczownicy. Zanim wyzionął ducha, zdradził im, że ujrzał przez dryfujące piaski narożnik prastarego monumentu, królewskiego grobowca, którego istnienia nikt dotąd nie podejrzewał. Opowiedział im także o widocznym, rzekomo kamiennym kamesie, rzeźbionym na kształt demona o jaszczurzym pysku.

Więści o tym dotarły do Shemu i Otsgara. Mój pan zapłacił słono, by poznać bliższe dane na temat lokalizacji tego miejsca. - Izajab zlustrował posępnie sprażoną słońcem połąc pustyni. - Teraz jednak zastanawiam się, czy owe plotki były prawdziwe. A jeżeli nawet, całkiem możliwe, że piaski pustyni na powrót pochłonęły ten grobowiec.

Conan chrząknął.

- I ty nazywasz tę bandę nieudaczników wytrawnymi łupieżcami grobów?

- W rzeczy samej. To znaczy mam na myśli Otsgara, siebie, Kothyjczyka Philo i starego poganiacza wielbłądów - Elohara. Reszta drużyny to młodzi opryszkowie z Abaddrah. Tego typu przygody przyciągają rzezimieszków i łotrzyków z całego Shemu. Są dla nas przydatni, w tym fachu potrzebne są... mięśnie.

- A co z kobietą? - Conan zmrużył powieki, gdy powiał silniejszy wiatr.

- Ach, Zafriti - Izajab roześmiał się. - Gdyby jej ufał, że nie zdradzi go pod jego nieobecność, zostawiłby ją w domu. Ale ona nie wiezieć czemu uparła się, że chce pojechać z nami. To niezależna, twarda Stygijka, tancerka z jego zamtuza.

- Izajab uśmiechnął się znacząco. - Mizdrzy się do Otsgara, choć nic ich w zasadzie nie łączy.

Zdezorientowany Conan pokręcił głową.

- Iz taką drużyną planujecie plądrowanie starożytnych grobów? Zdajecie sobie sprawę, jakie czyhają tam na was niebezpieczeństwa?

Izajab zbył to pytanie machnięciem ręki. - Conanie, miej choć odrobinę



wiary. Terminując przez lata w tym fachu nauczyliśmy się pewnych sztuczek. - Mrugnął porozumiewawczo. - Pójdzie jak z płatka, przekonasz się.

Przybierający na sile wiatr uniemożliwił dalszą rozmowę, przeto jeźdźcy pogrążyli się w milczeniu. Conan ze swym wielbłądem pozostał nieco w tyle za towarzyszem.

Zaczął właśnie przysypiać, kiedy krzyk Izajaba wyrwał go z drzemki. - Musimy kierować się na południe! Na południe! - Shemita zatrzymał swojego wielbłąda i wyciągnął rękę we wskazanym kierunku. - Philo stanął. Spójrzcie, macha do nas proporcem! Nadjeżdża Otszar... pędzi co sił przez wydmy... Chyba coś wypatrzyli!

### III

#### Mastaba

Jeźdźcy pustyni zebrali się u podnóża wysokiej wydmy. Mrużąc lekko powieki pod ukłuciami niesionego wiatrem piasku, Conan dostrzegł czarny kształt wystający ze zbocza diwny. Był to niewysoki, kanciasty budynek z czarnego bazaltu, prastara mastaba w rodzaju tych, którymi od niepamiętnych czasów blokowano wejścia do grobowców.

Kamienna chata wyglądała dziwnie złowrogo, posępnie i wydawała się odrobinę nie na miejscu pośród tego pustynnego krajobrazu. Jej bloki były stare, nadgrzyzione zębem czasu i warunkami atmosferycznymi, lecz wciąż dało się dostrzec na nich wykwintne ornamenty. Łby wyszczerzonych przypominających jaszczurki demonów zdobiły wystające, z nich niczym rogi, trzy odsłonięte naroża. Pochyłe ściany świątyni pokryte były meandrycznymi, węzłowatymi wzorami. Dach jej wznosił się w kształcie niskiej, czworobocznej piramidy z demonicznymi strażnikami, których długie, gadzie ogony splatały się razem, tworząc brakujący wierzchołek budowli.

Gdy tylko tu dotarli, odkryli, że na wpół pogrzebana ściana mastaby może stanowić niezłą osłonę przed zacinającym wiatrem. Wielbłądy osłaniały przed wiatrem zapadnięte boki, przebierając bez przerwy nogami, by nie przysypał ich nanoszony wiatrem piach. Na rozkaz Otszara kilku członków drużyny zajęło pozycję na wierzchołku wydmy, by wymachując szalami dać sygnał, gdyby pojawili się jacyś nieproszeni goście.

- W samą porę - rzekł Izajab, odchylając się w siodło i adresując te słowa do Conana. - Odnaleźliśmy nasz cel niemal w ostatniej chwili. Burza piaskowa zaczęła właśnie przesłaniać słońce.

W rzeczy samej, ciemne kłęby wirującego piasku sprawiły, że promienie słońca ze złocistych stały się ciemnobrązowe. Pióropusz piachu, syjącego się znad krawędzi zbocza, wyglądał jak regularny, poziomy wodospad. Na szczęście podmuchy wiatru, miast pogrążyć mastabę w piaskach pustyni, jeszcze bardziej ją odsłaniały.

- Spętać wielbłądy! Żywiej tam, do stu diabłów! Złóżcie cały sprzęt w jednym miejscu, albo go straciecie! - Otszar krzątał się między swoimi ludźmi, wykrzykując rozkazy pośród zawodzących podmuchów wiatru. Dwaj rabusie rozpinali skórzane płachty, inni badali odsłonięte fragmenty grobowca.

Kiedy Conan zsiadł ze swojego wierzchowca, Izajab zakrzyknął do niego:

- Módl się do Ellila, żeby ta zawierucha ucichła jeszcze przed zmierzchem. Niezależnie jak potężna będzie ta burza, Otszar zmusi nas, abyśmy zostali tu i przeczekali ją.

- Znalazłem wejście! Jest wejście! - rozległ się wysoki, ochrypły głos jednego z młodych najemników, grzebiących w piasku przy płytach mastaby.

- Chodźcie zobaczyć!

Conan dołączył do pozostałych, którzy stłoczyli się za plecami młodzieńca. Najemnik stał w bezruchu, wymieniając spojrzenia z jednym z bazaltowych strażników o krokodylim łbie, na wpół startym przez niezliczone piaskowe burze. Następnie ominął go, ostrożnie wspinając się pod górę po zboczu wydmy.

Zafriti stała za mastabą, a kiedy młodzieniec ją mijał, obsunęła się niemal do połowy zbocza i spod sandałów kobiety posypały się kaskady piasku. Conan chwycił ją w talii i delikatnie postawił obok siebie. Jej ciało było sprężyste i gibkie. Brązowe oczy łypnęły na niego spod kaptura.

- Ostrożnie, panienko - ostrzegł barbarzyńca. Odwrócił się i zobaczył, że Otszar przygląda mu się z ponurą miną.

Tylną ścianę mastaby zdobiły liczne i wyraźne płaskorzeźby, ułożone w taki sposób, że wskazywały na istnienie poniżej nich ukrytego wejścia. Młodzieniec zaczął kopać w pobliżu hakowatego sklepienia ponad drzwiami, a teraz ukląkł i odgarniając piach obiema rękami, po kilku chwilach wytężonej pracy odsłonił ciemną niszę.

- Spójrzcie, nie jest zasypana piaskiem! Popatrzcie, jest otwarta! - Pozbył się wierzchniego odzienia i pochyliwszy się do przodu, nie bacząc na wiatr, jał kopać głębiej wewnątrz otworu. Otszar stanął przy młodzieńcu, przyglądając mu się z milczącą uwagą, podczas gdy Zafriti przywarła do jego boku, z fascynacją obserwując poczynania najemnika.

Conan otworzył usta, aby ostrzec śmiałka.

- Aaa! - Młody Shemita odskoczył nagle do tyłu, wpatrując się w obnażone ramię. Zwisало zeń pół tuzina zabójczych, czerwonych skorpionów, wczepionych w rękę chłopaka jadowitymi kolcami ogonowymi. Młodzieniec zaczął więc się po piasku, wrzeszcząc jak szalony, usiłując uwolnić się od morderczych stworzeń, podczas gdy najemnicy stojący dokoła zabijali pierzchające skorpiony, deptając je pod butami albo przebijając sztyletami.

- Przynieście łopaty - rozkazał władczo Otszar, uwalniając się z objęć swej śmiertelnie przerażonej pani. - Wybijcie te nocne ścierwa do nogi! I oczyśćcie wejście z piasku. - Stanął nad ofiarą, patrząc posępnym wzrokiem, jak targające ciałem młodzieńca spazmatyczne skurcze ustają, a jego blade oblicze wykrzywia przeraźliwy grymas, który po chwili złagodził kojący spokój śmierci.

Wódz łupieżców odwrócił się, by pokierować działaniami kopaczy i nadzorować wybijanie przez nich skorpionów. Prawie nie patrzył na Zafriti, która ze zgrozą przyglądała się, jak kilku członków drużyny odciąga sprzed wejścia do mastaby zwłoki młodego najemnika.

Oczyszczenie wejścia z piasku okazało się łatwe, kopiący musieli tylko unosić łopaty z piaskiem w górę, o resztę zadbał już pory - wisty wiatr wiejący znad wydmy. Conan i Izajab dołączyli do tych, którzy wbijali zabezpieczenia w piasek, by powstrzymać ścianę wydmy przed osunięciem się do wykopu. W miarę jednak, jak wiatr przybierał na sile, wichura zdawała się atakować wydmy przy grobowcu z niemal nadnaturalną mocą. Niebawem w zбочu diwny nad mastabą powstała nisza w kształcie litery U.

Stopniowo łopaty kopaczy ujawniły łupieżcom nową przeszkodę. Wysokie dwuskrzydłowe drzwi były wyszlifowane do połysku po trwającym od stuleci szorowaniu przez ruchome piaski. W przeciwieństwie do kamiennej ściany i ościeżnicy, nie były pokryte ornamentami ani płaskorzeźbami, a jedynie nabite ciężkimi ćwiekami o ośmiokątnych główkach. Nie widać było żadnych klamek' ani zawiasów. Otszar rozkazał, by przyniesiono mu młot, i uderzył nim z całej siły we wrota. Niski niczym brzmienie dzwonu odgłos ujawnił grubość i solidność metalu, z którego wykonano odrzwia.

- Stójcie! Posłuchajcie! - wykrzyknął Izajab pośród zawodzenia wiatru. - Echo uderzeń niesie się daleko w głąb grobowca, daleko w głąb ziemi!

Wszyscy stojący w pobliżu pokiwali głowami, z niepokojem wsłuchując się w ciche, dźwięczne jak brzmienie gongu odgłosy.

Na gniewne rozkazy Otsgara podano mu skórzaną sakwę z narzędziami. Dwaj ogorzali młodzieńcy o wyglądzie wprawnych złodziei zaczęli gmerać w sakwie, po czym przyklękli na kamiennym progu. Zabrali się chwacko do dzieła i usiłowali rozewrzeć skrzydła wrót, wbijając młotami w szczelinę między nimi końce dłut oraz łomów i po kilku chwilach jeden z nich spojrział na Otsgara i rozpromienił się.

- Udało się! Słyszałem szcęk odmykanego zamka!

Łupieżcy jak jeden mąż zebrali się przy drzwiach. Nawet mocno wystraszona Zafriti, która odzyskała nieco zainteresowania polowaniem na skarby, pospieszyła naprzód, dopóki Otszar uchwyciwszy za rękę, nie odciągnął jej wstecz. Ruch ten przykuł uwagę Conana. Cymmerianin rzucił spojrzenie na Izajaba, który stał tuż obok, i wlepił wzrok w odrzwia grobowca.

Zaraz potem barbarzyńca ponownie skupił uwagę na wejściu do mastaby, gdyż dobiegły go płynące stamtąd jęki przerażenia i odgłos głuchego, przepełnionego odrażającym chrzęstem łoskotu. Piasek zadrżał pod jego stopami a nozdrza wypełniła fala dławiącego odoru, który jednak zaraz rozwiął się na wietrze, gdy spiżowe drzwi runęły do przodu, miażdżąc pod sobą dwóch bezradnych

włamywaczy. Za wrotami ziała mroczna otchłań.

Drzwi były w rzeczywistości jedną szeroką płytą metalu. Szczelina pomiędzy skrzydłami była wyżłobionym fałszywym wgłębieniem, w którym umieszczono sprytnie spreparowaną pułapkę. Jak widać zadziałała, z zabójczym skutkiem dla dwóch niedoszłych włamywaczy.

Wtem dał się słyszeć szcęk spiżowych ogniw i głośny zgrzyt obracających się kamieni, jakby wewnątrz grobowca uruchomiony został jakiś wielki mechanizm.

Dwa łańcuchy umocowane w górnych rogach płyty drzwi napięły się i zaczęły podciągać ją do góry, aby zamknąć wejście, odsłaniając przy tym poniżej okrwawione szczątki dwóch zmasakrowanych ofiar. Izajab z gromkim okrzykiem rzucił się naprzód i wybiwszy się w górę, zawisł uczepiony krawędzi wrót. Wbił dłuto w jedno z ogniw łańcucha w chwili, gdy zaczął on znikać w szczelinie kamiennego nadproża nad wejściem. Otszar ryknął na całe gardło i postąpił tak samo, blokując drugi z łańcuchów uchwytem obcęgow.

Obaj mężczyźni odskoczyli od drzwi. Z wnętrza grobowca jeszcze przez chwilę płynął głośny kamienno-metaliczny chrzęst, a potem, przy wtórze jękliwego, pełnego zgrzytów odgłosu, oba łańcuchy pękły, a wielka płyta wrót runęła raz jeszcze na zmasakrowane ofiary, miażdżąc je po raz wtóry. Wewnątrz mastaby rozległ się głośny łoskot, jakby gdzieś w mroku oderwały się ogromne przeciwwagi.

Pozostali łupieżcy patrzyli na to przez chwilę w milczeniu, skonsternowani. Otszar jednak postąpił naprzód i uśmiechnął się, łyskając złotym zębem.

- Droga stoi otworem!

Wskazał triumfalnie na kamienne stopnie, wiodące w mrok grobowca, a jego kamraci zarechotali gardłowo. Zapominając o leżących pod wrotami kompanach, podbiegli do nich i przegramoliwszy się po zwałonych odrzwiach, jęli z emfazą poklepywać swego herszta po plecach. Nawet Zafriti opuściła kaptur i uściskała mocno swego wybranka, ucałowała go, podczas gdy wokół nich szalała piaskowa zawierucha, a wiatr zawodził przeciągle.

- Pochodnie! Przynieście pochodnie i liny! - zawołał Otszar. - Wkrótce znajdziemy się poza zasięgiem tego przeklętego wiatru!

Jeden z shemickich najemników, milczący gołowąs, bliski przyjaciel młodzieńca, którego pożądlili skorpiony, zawołał z niepokojeni do Otszara, usiłując przekrzyczeć ryk wichury. - Panie, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy wpierw dokończyli rozbijanie obozu? - Spojrzał w górę na poczerniałe od wirującego piasku niebo.

- Pracowaliśmy długo, niebawem nadejdzie noc.

Otszar spiorunował go wzrokiem i wskazał na ziejący otwór grobowca.

- Głupcze, jakie tam na dole ma znaczenie, czy to dzień, czy noc?

Zarechotał ochryple, rozczesując palcami jasną brodę.

- W świecie podziemi panuje wieczna noc! - Wszyscy łupieżcy wybuchnęli śmiechem, a uszy młodzieńca wyraźnie poczerwieniały. Cała grupa pokrzepiwszy się, wkrótce była gotowa do wejścia do grobowca. Zgodnie z zaleceniami Izajaba uzbroili się, nie w miecze jednak, a w łomy, haki i młoty. Conan wybrał dla siebie łom długości ręki, a przez ramię przerzucił zwój grubej liny. Inni zapalali żagwie, wtykając za pasy zapasowe drzewca pochodni. Starego Zuagira wyznaczono do pilnowania wielbłądów, które zagnano pod jedną ze ścian mastaby, aby zbite w ciasną gromadkę mogły bezpiecznie przetrwać piaskową burzę.

- Ale co z bogactwami, które tam znajdziemy? - zapytała z nowym zapałem Zafriti; zdjęła płaszcz, ukazując ponętne ciało, przyobleczone w jedwabną bluzę i pantalon. Przyniosła stertę skórzanych sakw. - Weźcie je, aby mieć gdzie pochować skarby!

Rozdawała łupieżcom sakwy, obdarowując każdego z mężczyzn uśmiechem wilgotnych, lśniących warg i filuternym spojrzeniem. Teraz, gdy zdjęła kaptur, Conan mógł zlustrować wzrokiem jej kształtny, proporcjonalny nos i delikatną linię żuchwy, będące symbolami klasycznej stygijskiej piękności.

Pod srogim spojrzeniem Otszara łupieżcy ustawili się w szeregu. Jeszcze przed chwilą zażenowany, młodzieniec ścisnął teraz w dłoni pochodnię i najwyraźniej próbując odzyskać nadszarpniętą pozycję, wysforował się na czoło kolumny.

Conan spojrzał krytycznie na Otszara, lecz Vanir nie odesłał młodzieńca do tyłu. Za nim ustawił się następny uliczny zabijaka, po nim przybysz z Północy imieniem Philo, za którym podążyli Izajab i Conan. Po nich szli kolejni Shemici

z Otsgarem i Zafriti mniej więcej w połowie kolumny.

Wewnątrz zbudowanej w całości z kamienia mastaby nie było przestronnej komnaty, a jedynie wąskie, opadające w dół schody. Wysoki korytarz był tak wąski, że z trudem mogłoby wyminąć się w nim dwóch mężczyzn, schody zaś okazały się przeraźliwie strome. Na wpół przy - sypane piaskiem stopnie okazały się zdradliwe, popękane, naruszone zębem czasu i wygładzone pod śliskimi drobinami piachu.

- Kapłani lub wyznawcy musieli przemierzać tę drogę przez całe stulecia - wyszeptał Conan do Izajaba. - Może te schody wiodą do jakiejś podziemnej świątyni.

Shemita tylko odburknął w odpowiedzi, nawet nie spoglądając na barbarzyńcę.

Conan schodził powoli, zapierając się ramionami o ściany po obu stronach i nie odrywając wzroku od stopni pod stopami; wolał patrzeć na schody i cienie, niż na żagwie, które unosiły się przed nim na wysokości oczu.

Gdy grupa weszła w głąb grobowca, zmieniła się wyraźnie budowa ścian. Miast kamiennych, topornie ciosanych bloków, mieli teraz dokoła pylisto-zieloną litą skałę, nieskazitelnie obrobioną i wygładzoną. Sklepienie korytarza pozostawało na jednakowej wysokości, bez wątplenia dla zapewnienia odpowiedniej wentylacji. Nozdrza Conana wypełnił słaby, lecz odrażający odór, jakim przesycone było powietrze w grobowcu. Zawodzenie pustynnego wiatru stopniowo ścichło do szeptu, gdzieś w górze, ponad nimi. Pradawny kurz zastąpił piach pokrywający stopnie, choć nadal były one strome i zdradliwe.

Wtem od czoła kolumny dobiegł głośny okrzyk i cienie zmieniły kształt.

- Schody się skończyły! - zawołał z ekscytacją, młodzieniec idący na przodzie.

- Na ścianach są jakieś malowidła.

Rzeczywiście, wkrótce Conan dotarł do miejsca, gdzie schody przechodziły w gładką kamienną podłogę, lecz i ona nachylona była pod kątem i opadała jeszcze niżej, w dół. Ściany korytarza pobielono gipsem i pokryto malunkami, które mimo kurzu i upływu czasu wciąż były całkiem nieźle widoczne.

Nie przedstawiały żadnych znanych scen, lecz stanowiły formę pisma. Nie były to litery runiczne, jak używane w krajach hyboryjskich, lecz piktogramy podobne do znaków, jakimi posługują się ludy Stygii i Kitaju. Ciągące się poziomymi pasami wzdłuż ścian piktogramy były kolorowe i wykonane z prawdziwym artystycznym. Przedstawiały postaci zwierzęce i ludzkie, ale nie tylko. Te ostatnie były jednak stylizowane i przedstawione w taki sposób, że Conan bez pomocy nie zdołałby rozszyfrować ich znaczenia.

Zwrócił uwagę na osobliwość, która wzbudziła w nim bliżej niesprecyzowany niepokój, gdy tak stał przed ścianą, na której malowidła nie zniszczyły się, by opaść płatami na ziemię, ani też nie zasnuły jej osady nagromadzone przez niezliczone eony czasu.

Człekopodobne istoty na freskach, mimo iż stały na dwóch nogach, nosiły ubrania i używały broni oraz narzędzi, nieodmiennie przedstawiano z zieloną skórą i głowami podobnymi do wydłużonych krokodylich pysków. Zachowania i czynności owych postaci były zgoła proste i powtarzały się wielokrotnie, jednak mimo wytężonych wysiłków barbarzyńca na próżno poszukiwał wśród nich prawdziwie ludzkich kształtów.

Izajab spojrział na Conana.

- Ludzie, którzy wykopali ten grobowiec, musieli pochodzić z krainy moczarów, ich świętym zwierzęciem był krokodyl, przeto upodobnili się do niego na tych malowidłach. - Mówił niemal od niechcienia, jednak na tyle głośno, by inni mogli go usłyszeć. - Może przedstawianie istot ludzkich było zgodnie z ich świętymi prawami zakazane.

Z tyłu dobiegł ich donośny głos Otsgara: - Ruszać się tam! Przestańcie się wreszcie ociągać! Przybyliśmy tu, by się wzbogacić, a nie podziwiać jakieś malowidła! - Ponagleni przez Vanira przyspieszyli tempo schodzenia i na pewien czas przestali się interesować piktogramami. Conan zwrócił jednak uwagę na kilka miejsc, gdzie większym freskom towarzyszyły dłuższe lub krótsze podpisy. W przedstawionych scenach krokodyle pracowały na roli, wznosiły miasta, budowały statki, kopały głębokie studnie i grobowce.

Natrętna, obsesyjna wręcz symboliczność tych wizji zaniepokoiła Conana, barbarzyńca zmusił się jednak, by nieodparcie iść naprzód. Wszystko co nienaturalne i mistyczne budziło w nim odrazę i trwogę, jednak raz po raz

zrządzeniem losu stykał się z takimi właśnie rzeczami. Teraz, gdy dziwny traf związał go z tą przypadkową zbieraniną łupieżców amatorów, uznał, że najlepiej będzie, jak stłumi w sobie wrodzone lęki i spokojnie, bez zbędnych emocji dotrwa do końca wyprawy.

Nagle na czele kolumny zrobiło się jakieś zamieszanie i światło pochodni przygasło. Żagiew na szpicie znikła z pola widzenia, a niosący ją młodzieniec wydał wysoki, drżący krzyk. Idący przodem, śniady, orlonosy Kothyjczyk imieniem Philo, z przerażeniem w oczach prześlizgnął się obok Cymmerianina i pognął na sam koniec kolumny.

Conan spojrział ponad ramieniem Izajaba, by sprawdzić, co się stało. Najwyraźniej ciężar ciała pierwszego z idących uruchomił kamienną zapadnię, która teraz właśnie z głośnym łoskotem wróciła na swoje miejsce. Tymczasem z niewidocznej otchłani pod podłogą korytarza dobiegł znajomy, mechaniczny odgłos obracających się, szorujących o siebie kamieni. Tym razem dźwiękom tym towarzyszyły wrzaski nieszczęśnika, który runął na dno zapadni. Krzyki urosły do piskliwego agonalnego crescendo, by urwać się, jak ucięte nożem. Niedługo potem ucichły też metaliczno-kamienne zgrzyty.

Gdy minął pierwszy szok, zamykający kolumnę zaczęli się niepokoić. Dopytywali się, co się stało, odstępując jednocześnie do tyłu, z obawy przed innymi pułapkami. Ich panikę opanował potok siarczystych przekleństw Otsgara. Conan odwrócił się i ujrzał, jak herszt łąje tchórzliwego Phila i szarpiąc go za tunikę, wlecze z powrotem na czoło kolumny.

Stojący tam Shemita odwrócił się, by powiedzieć coś do Izajaba.

- Widziałem zapadnię, która go pochłonęła. Nie jest zbyt duża. -

Młodzieniec wruszył ramionami z nonszalancją, choć w blasku pochodni jego twarz lśniła od potu. Umiem daleko skakać i nie jestem tchórzem. Bez trudu przeskoczę tę pułpkę.

Izajab zmierzył najemnika wzrokiem i skinął głową. Młody złodziej podał mu żagiew i zrzucił z siebie kaftan, pozostając w samej tylko koszuli i pantalonach. Reszta kompanii cofnęła się o dobrych kilka kroków, by mógł wziąć rozbieg.

Śmiałek zagryzł w zębach koniec sznura, odwrócił się i pobiegł. Wylądował kilka stóp za fragmentem posadzki, która pochłonęła jego kompana, przetoczył się po ziemi i odwrócił się z triumfalnym uśmiechem. W tej samej chwili drugi, dalszy fragment podłoga zaczął się pod nim obsuwać. Złodziej próbował uchwycić się czegoś kurczowo obiema dłońmi, nie był jednak dostatecznie szybki i znikł w mrocznej czeluści z głośnym krzykiem. Kamienna pułпка zatrzasnęła się nad nim.

Znów dały się słyszeć głośny zgrzyt, chrzęst i przeraźliwe crescendo ludzkiego wrzasku. Conan i pozostali rozpaczliwie ciągnęli linę. Kiedy krzyki wreszcie ucichły, naprężona lina zwiotczała nagle. Gdy ją przyciągnęli, drugi koniec był przecięty i mocno postrzępiony.

Otsgar wysforował się przed resztę kompanii, mrużąc coś ponuro pod nosem. Izajab podszedł, by zamienić z nim kilka gorzkich słów.

- Przecież tamci przechodzili tędy swobodnie. Musi być jakiś sposób na unieruchomienie tych pułpek! - Brodaty mężczyzna przerwał, by odwrócić się do Conana, który właśnie zrzucił z ramion płaszcz. - Oto zachowanie typowego górala z Północy! - zawołał Otsgar. - Nie zniechęcają go żadne przeciwności. - Wychylił się do przodu i poklepał Conana po ramieniu. - Założę się, że Cymmerianin przeskoczy bezpiecznie na drugą stronę. Co ty na to Izajabie?

- Byłby skończonym głupcem...

Shemita zamilkł i patrzył, jak Conan oplótł się w pasie liną, po czym związał ją i zatknął za nią łom. Następnie przywarł mocno plecami do jednej ze ścian korytarza, o drugą zaś zaparł się stopami, szurając podszwami sandałów o niszczący się tynk.

W tej pozycji zaczął przesuwac się cal po calu nad niebezpiecznym odcinkiem podłogi. Mijał go najpierw stopami, potem przenosił wzdłuż ściany łokcie, ramiona i plecy. Posuwał się wolno, ale dopóki mocno zapierał się o ścianę nogami, nie mógł ześliznąć się w dół. Gdy minął pierwszą pułpkę, z ust obserwujących jego poczynania kamratów popłynął przeciągły, zachęcający pomruk.

Takiej taktyki działania żaden z mieszkańców równin dotąd nie oglądał. Przy niewielkiej odległości między ścianami mięśnie nóg Conana były potwornie naprężone, na dodatek raz po raz spod jego stóp osuwał się pokruszony tynk oraz fragmenty nadzartej przez wilgoć, zmurszałej ściany. Gdy zostawił za sobą drugą

z pułapek, poczuł, że zapasy jego sił zaczynają się gwałtownie wyczerpywać. Uświadomił sobie, jak nieroztropnie postąpił, próbując dokonać tego czynu tak szybko po morderczym marszu przez pustynię.

Przyspieszył tempa, gdyż ruch był równie wyczerpujący, jak pozostawanie w jednym miejscu. Przesuwał się dalej, aż ścięgnął pod jego kolanami zaczęły palić go żywym ogniem. Spojrzał w dół i stwierdził, że najprawdopodobniej znalazł się poza zasięgiem drugiej pułapki. Kamienne podłoże, gdy go dotknął, wydawało się solidne i osunął się na nie z nie skrywaną wdzięcznością. Zdyszany i obolały pokiwał tylko głową w odpowiedzi na gromkie gratulacje i radosne okrzyki swoich kompanów.

Odzyskując siły, aby wstać, naciągnął linę i owinawszy ją dokoła drewnianych przypór i podpór zamocował, silnie naprężając. Ludzie Izajaba zawiązali drugi koniec po przeciwnej stronie. Wkrótce pozostali członkowie drużyny przeszli po linie ponad pułapkami, przytrzymując się dla równowagi ścian tunelu. Otszar domagał się, by Zafriti została i czekała na nich, ta jednak odmówiła i pokonała linę z większą łatwością niż którykolwiek z łupieżców.

Gdy po drugiej stronie niebezpiecznego odcinka znalazło się więcej ludzi z pochodniami, okazało się, że nieco dalej korytarz rozszerza się, przechodząc w otoczoną rzeźbionymi kolumnami galerię. Jeden z Shemitów, niski, zapalczywy młodzik, w którego uchu błyszczał srebrny kolczyk, pospieszył naprzód z zapalonym łuczycem w dłoni, aby sprawdzić dokąd właściwie dotarli, lecz Otszar przywołał go z powrotem, srogim głosem ostrzegając przed pułapkami, które mogły nań czyhać po drodze.

- Teraz ich ostrzega! - mruknął Conan do Izajaba. - Chyba bardziej niż pułapek lęka się, że śmiałkowie mogliby sprzątnąć mu sprzed nosa co cenniejsze łupy! - Izajab spiorunował go wzrokiem i kopnął z całej siły, by wzmocnić naprężenie liny.

Otszar pilnował swoich ludzi, aż ostami z łupieżców, poblądli na twarzy, wyraźnie przerażony Philo znalazł się po drugiej stronie. Dopiero wówczas drużyna ruszyła w dalszą drogę.

Tym razem szli znacznie wolniej, świadomi obecności przemyślnych, a zabójczych pułapek. Conan zauważył, że Izajab przystanął, by przyjrzeć się jednemu z ostatnich fresków, ukazującemu, jak budowniczo wieżowca na rozmaite przerażające sposoby wyrzynali jeńców wojennych. Niepokojące w całym malowidle było to, że zwycięzców przedstawiano, jak poprzednio, jako stworzenia o krokodylich łbach, bezwolne ofiary zaś, które paliły żywcem, skracaly o głowę i wbijały na pal, ukazano wyraźnie jako istoty ludzkie.

- Bez wątpienia ich artystyczne tabu dotyczy tylko przedstawiania w formie istot totemicznych członków ich własnego plemienia - rzekł z zamyśleniem Izajab, zwracając się do Conana, gdy minęli przerażające freski. - Nie postrzegali swoich wrogów jako posiadających święte zwierzęce dusze.

Pomieszczenie było olbrzymie, nie natrafili w nim jednak na skarby, których się spodziewali. Podwójne rzędy kolumn wznosiły się strzeliście ku górze, okrągłe i masywne, ich podstawy i kapitele zdobiły skomplikowane, misterne fryzy w kształcie pędów i liści lotosu, a w cyzelowanych gałązkach dostrzec można było ptaki i węże. Wysokie, łukowato sklepienie ścian miały wykończenia w postaci barwnych ozdób. Dostrzec można było również na nich ozdoby do pochodni. Jak okiem sięgnąć nie było wszelako ociekających złotem sarkofagów i skarbów, które łupieżcy spodziewali się tu znaleźć. Jeżeli nie liczyć kurzu i głębokich cieni rzucanych przez kolumny, cała komnata była pusta.

- Sprawdźcie dokładnie boczne przejścia - polecił Otszar. - I wypatrujcie ukrytych drzwi! - On sam spacerował od jednej ściany do drugiej, przyglądając się bacznie kolumnom. Conan i Izajab pozostali na środku komnaty, Zafriti zaś stanęła pomiędzy nimi a resztą rabusiów grobów. Sunęła naprzód z lekkością tancerki, a w jej oczach błyskał lęk przemieszany z fascynacją. Wszyscy patrzyli i nasłuchiwali z uwagą, choć słyhać było jedynie skwierczenie pochodni, stłumione echo ich własnych kroków oraz szmer oddechów, gdy niepewnie napełniali płuca chłodnym, zatęchłym powietrzem grobowca.

- Widać coś, na końcu tej komnaty coś jest - to chyba drzwi! A obok nich dwa sarkofagi! - Słowa te padły z ust Shemity z kolczykiem w uchu, który jako pierwszy dotarł z łuczycem do tego pomieszczenia. Nie pospieszył naprzód, lecz stanął w bezpiecznej jego zdaniem odległości od wejścia, rozglądając się na prawo i lewo.

Otszar wyłonił się spoza jednej z kolumn i unosząc pochodnię w dłoni

wyteńczył wzrok. Po chwili podszedł do młodzieńca i poklepał go po ramieniu.

- Zaprawdę, Asrafelu! Tam znajdziemy nasze skarby! Pójdź, będziesz pierwszym, który się dziś wzbogaci!

Jakby lekceważąc ponaglenia swego herszta, Asrafel podążył w stronę drzwi znacznie wolniejszym niż on krokiem.

Gdy dotarli do końca pomieszczenia, ujrzeni tkwiące w ścianie jeszcze jedno, ogromne wrota. Po obu stronach stały pionowo dwa wysokie sarkofagi. Tak jak poprzednie, tak i te odrzwia wykonano ze spiżu, te wszelako pokrywały śnież i grynszpan. Zwłaszcza krawędzie, w miejscach gdzie stykały się z kamienną framugą, były nabrzmiałe i upstrzone zielonym nalotem, a zżerająca te drzwi od stuleci korozja zablokowała je w obsadach na dobre.

Izajab szturchnął Conana. - Po drugiej stronie musi być diabelna wilgoć, skoro te wrota tak strasznie zardzewiały!

- Taa. I te sarkofagi... Nie podoba mi się ich wygląd.

Bliźniacze sarkofagi, blade od kurzu i pleśni, były gładko obrobione i zaokrąglone, prawdopodobnie z uwagi na kształt ciał owych pradawnych istot, które w nich złożono. Wyglądem przypominały sylwetki przedstawione na malowidłach ściennych. Wydłużone głowy miały długie wypukłości, symbolizowane zapewne przez ostre, stożkowate pyski, ułożone płasko na piersiach śpiących. Każda z mumii przedstawiona była ze skrzyżowanymi na wysokości klatki piersiowej mieczem i maczugą.

Inni łupieżcy wszelako nie pokusili się o żadne komentarze na temat dziwnego wyglądu spiżowych drzwi oraz ich monstrualnych strażników. Pospiesznie jęli sondować, badać i ostukiwać kamienną posadzkę przed sobą, a liznawszy, że nie zamontowano w niej żadnych pułapek, ruszyli naprzód i wydając pełne zachwyty okrzyki zgromadzili się przed bliźniaczymi sarkofagami. Philo, zapominając o swych obawach zdjął grubą baranicę i wytarł nią detrytus z jednego z sarkofagów. Na widok czerwonego błysku złotego liścia i drogocennych klejnotów łupieżcy wydali gromki okrzyk radości. W chwilą potem rozległ się suchy trzask rozłupywanego prastarego drewna. Równocześnie druga grupa zaczęła dobierać się łomami do drugiego sarkofagu.

- Odsuńcie te trumny od drzwi! - zawołał Otszar. - Połóżcie je na ziemi i dajcie nam trochę miejsca do działania.

Gdy tylko kilku mężczyzn opuściło skrzypiące drewniane skrzynie na podłogę, łupieżcy zaczęli odrywać cienkie płatki złota i wyłupywać wprawione w drewno turkusy oraz ametysty. Rzucili się na łup jak sępy na świeżą padlinę i po kilku chwilach oczom wszystkich ukazały się przyobleczone w całuny dwie mumie.

- Przecież wszyscy nie musicie zajmować się tymi sarkofagami. Izajabie, weź Cymmerianina i tego gołowąsa, Asrafela, i spróbujcie sforsować te drzwi! Za nimi znajdują się prawdziwe skarby! - Mówiąc te słowa, Otszar wprawnymi ruchami rozplątał bandaże mumii w kilku ściśle określonych miejscach - na rękach, piersiach i czole. Po chwili wolną ręką jął wydobywać z tak powstałych otworów pierścienie, amulety oraz inne precjoza i wkładać je do skórzanej sakwy przy pasie. Zafriti stanęła tuż przy nim. Obserwowała mężczyznę przy pracy, pokazując ręką i dorzucając po stygijsku kilka uwag, gdy jej zdaniem, zdarzyło mu się coś przeoczyć.

- Spójrz tylko na to diabelstwo! - wykrzyknął Conan. - To po części człowiek, a po części krokodyl! - Cofając się od splądrowanej trumny wskazał na wielki, zniekształcony łeb, rysujący się wyraźnie pod opasującymi mumię bandażami.

- Nie daj się ponieść zabobonnym lękom, Cymmerianinie - Otszar zarechotał. - Po dziś dzień kapłani w tej części świata lubują się w łączeniu razem części ciał ludzi i zwierząt. Gdybyś tego zapragnął, po twej śmierci mogliby zastąpić ci głowę psim łbem, doprawiając szpony jastrzębia i lędźwie byka, byś lepiej sprawiał się w zaświatach!

Słowa Otszara przyjęte zostały gromkim śmiechem. Zdegustowany Conan widokiem łupieżców grzebiących obiema rękami w trzewiach mumii odwrócił się, by obejrzeć spalone spiżowe drzwi. Izajab i Asrafel już od kilku chwil usiłowali je sforsować.

Nawet jeżeli te wrota miały jak poprzednie zamontowaną pułapkę, mechanizm jej z całą pewnością musiał zostać uszkodzony przez korozję. - Aby je otworzyć - skonstatował Izajab - najlepiej będzie usunąć warstwę nalotu z brzegów framugi i spróbować podważyć odrzwia łomami z dwóch stron jednocześnie.

W ten sposób, nawet jeśli wrota runą, oni, stojąc po bokach, będą

całkiem bezpieczni.

- Odpowiedzcie zatem - rzekł Conan - co stanie się z nami, jeśli wrota rozewrą się na oścież, jak normalne drzwi dwuskrzydłowe, ale z większą niż one siłą, za sprawą ukrytych sprężyn lub przeciwwag?

Aby temu zapobiec, postanowiono, że w szczelinę pod drzwiami wsunięte zostaną prowizoryczne kliny, w tym przypadku dłuta.

Niebawem ukryte pomieszczenie rozbrzmiało głuchym dudnieniem i metalicznymi zgrzytami, rozchodzącymi się donośnym echem wśród strzelistych kolumn.

Stopniowo dołączali do nich łupieżcy, którzy skończyli już plądrowanie sarkofagów. Nawet Otszar przykładał się do pracy, posługując się kilofem z niewiarygodną siłą i wprawą. Przez większość czasu jednak trzymał się na uboczu, przyświecając pracującym pochodnią i wypatrując potencjalnych pułapek czy osuwisk. Zafriti krążyła pomiędzy nim a łupieżcami, z zapalem nadzorując postępy prac. Conan zwrócił uwagę, że Kothyjczyk Philo stoi daleko w tyle, ściskając w dłoni mieszek z odłupanym z sarkofagu złotem, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Choć pracowali na zmiany, oczyszczenie krawędzi drzwi zabrało łupieżcom sporo czasu. Metal pod zewnętrzną powłoką odrażającej, zielonej rdzy był prawie tak twardy jak framuga z zielono-czarnego kamienia, w którą je wprawiono, i po wielu godzinach uciążliwej harówki posadzka u wejścia usłana była odłamkami.

- A jeżeli wewnętrzna komnata znajduje się pod wodą? - zapytał nagle Asrafel. - To tłumaczyłoby korozję drzwi; czy otwierając je nie potopimy się jak szczyry?

Izajab jednak, który z uporem dobierał się do drzwi po jednej stronie, oznajmił, że poczuł przeciąg, podmuch zimnego powietrza płynący z wybitej przez siebie dziury. Kiedy więc groźba utonięcia została zażegnana, łupieżcy ze zdwojoną siłą wzięli się do pracy.

Po kilku godzinach rozległ się donośny głos Otszara:

- Dość już, powiadam! Chyba wystarczająco już naruszyliście te wrota. Przypuszczam, że paru mocnych mężczyzn z łomami powinno teraz obalić je bez trudu. - Zlustrował wzrokiem swych wyczerpanych kamratów. - Wydaje się, że ty, Cymmerianinie, masz dość krzepy, by temu podołać. Weź łom. I może jeszcze... - A może tak ty, Otszarze? - Conan schwycił ciężki łom, który rzucił mu herszt bandy, i spojrzał nań zuchwale. - Dam z siebie wszystko, jeżeli i ty to zrobisz.

- Tak... hm... no... przypuszczam, że my dwaj powinniśmy spróbować pierwsi...

Rzucił barbarzyńcy mordercze spojrzenie.

- Dobrze Conanie. Spróbujmy razem!

Pozostali cofnęli się od drzwi. W chwilę potem dwaj smagli górale z pomocy zaparli się mocno i wbili końce łomów w najgłębsze szczeliny po obu stronach drzwi. Otszar policzył do trzech i wspólnie naporli na stalowe pręty.

Bez skutku.

Otszar odliczył raz jeszcze i przez długą chwilę, stękając i krzywiąc się, naciskali z całej mocy na swoje łomy. Nic się nie działo, tylko z górnej części wrót odpadło kilka płatków rdzy.

- Na Mananana! Oby spalił twoje plugawe serce na stosie z diabelskich kości! Rusz się, do kroćset! - Wydysane przez Conana zjadliwe przekleństwa zaskoczyły patrzących. Nie mieli wątpliwości, że barbarzyńca napierał na stal silniej niż jakikolwiek inny śmiertelnik, a po drugiej stronie odrzwi Otszar również nie zasypiał gruszek w popiele.

Wreszcie przy wtórze przeciągłego zgrzytu metalu, drzwi zaczęły się poddawać. Oba skrzydła runęły ciężko, zgrzytając i ocierając się jedno o drugie, by lec na kamiennej posadzce przy wtórze ogłuszającego łoskotu.

Entuzjastyczne okrzyki patrzących niemal zupełnie zagłuszył rozdzierający łomot, gdy jednak ucichło metaliczne echo, głosy łupieżców również umilkły. Zdumienie zaparło wszystkim dech w piersiach.

Za wrotami rozciągała się osobliwa, pełna mgieł kraina, rozświetlona promienistym blaskiem. Nie było widać źródła bladozielonej poświaty, lecz okazała się ona dość silna, by przyćmić blask pochodni i rozproszyć mgłę płożącą się za łukowato sklepionym wejściem. Poruszona podmuchem wywołanym przez padające odrzwia, mgła jęła wirować osobliwie ponad zdobionym balustradami kamiennym tarasem i szerokimi schodami, które wiodły w dół i niknęły w oddali.

Pasma mlecznobiałych oparów skręcały się i falowały niemal jak żywe



istoty na granicy pola widzenia łupieżców. Naraz, ku ich zdumieniu, postaci poruszające się pośród widmowych oparów zaczęły nabierać cielesności. Zmieniły się w tłum powłóczących nogami, zniekształconych istot. Sunęły w górę schodów, rzucając do przodu we mgle długie, zielone cienie. Nadchodziły wydając przeciągłe odgłosy, przypominające narastający, gardłowy, ochryply ryk. Łupieżcy odpowiedzieli okrzykami zgrozy i przerażenia.

Po kamiennym tarasie i przez dopiero co otwarte wrota zbliżała się w ich stronę horda wyjących przeraźliwie demonów. Potwory o krokodyliczych łbach wypełzały z rozjaśnionej osobliwym blaskiem otchłani, a ślepiec ich pałały gorejącą od eonów nienawiścią, jakby przywołał je huk upadających wrót. Natarły na łupieżców, warcząc przeraźliwie i wymachując trzymanymi w łapach dziwnymi, bardzo starymi z wyglądu mieczami i maczugami.

Ludzie w oka mgnieniu zostali związani walką, potworów bowiem było całe mrowie. Poruszały się z niesamowitą szybkością. Były to bez wątpienia krokodylopodobne stworzenia z fresków. Conan smagnął łomem, by zdzielić w pysk atakującego go stwora. Monstrum wypluło kilka kłów, upuściło miecz i szponiastymi łapami schwyciło się za obitą mordę. Cymmerianin zrejterował w stronę swoich kompanów, którzy pod wpływem przeważających sił wroga poszli w rozsypkę.

Pomieszczenie rozbrzmiało przeraźliwym rykiem i gwałtownymi wrzaskami. Jeden z młodych Shemitów padł, wraziwszy sztylet w najeżoną ostrymi kłami paszczę stwora, podczas gdy drugi gad przeszył mu nieosłonięty brzuch zieloną od rdzy klingą prastarego miecza. Inny potwór schwycił za kostkę leżącą na ziemi Zafriti i pociągnął dziewczynę ku swoim kłapiącym złowieszczemu szcękcom.

Conan rzucił się na stwora z łomem i uderzeniem pręta oraz solidnymi kopniakami przyspilił monstrum do podstawy kolumny, po czym podniósł rozhisteryzowaną Stygijską na nogi i cisnął ją na drugi koniec pomieszczenia. W tej samej chwili Otszar machając łomem jak maczugą wydał okrzyk bojowy Vanirów i rzucił się w wir walki.

Nie mogli liczyć na utrzymanie obecnej pozycji, ani na to, że zdołają się bezpiecznie wycofać. Niektórzy z łupieżców nie mieli broni, a wyparci w stronę kolumn nie zdołali utrzymać się w zwartej grupie, atakowani zaś ze wszystkich stron przez krokodylogłowych okazali się dla nich łatwym łupem. Niebawem odwrót zaczął zmieniać się w paniczną ucieczkę. Conan pognał co sił w nogach wraz z pozostałymi w stronę odległego wyjścia z mastaby, pragnąc jak i oni znaleźć się najdalej od ryczących potworów i przeraźliwych wrzasków ich ofiar.

Błada poświata podziemnego wejścia szybko przygasła w tyle, za nimi. Na szczęście kilku łupieżców zachowało pochodnie i falujący i kołyszący się z boku na bok blask oświetlał uciekinierom drogę pośród mrocznych podziemnych korytarzy. Zgroza dodawała wszystkim skrzydeł, ale istoty, które przywołali z otchłani, rychło podały za nimi, a kiedy komnata przeszła w wąski korytarz, tempo ucieczki łupieżców znacznie się spowolniło.

Gdy pierwsi spośród przerażających mieszkańców czeluści do gonili ich, wydając mrozące krew w żyłach ryki i pohukiwania, Conan i Otszar musieli się odwrócić. Potwory rzuciły się naprzód z dziką zajadłością, wkrótce jednak poznały cenę swej zuchwałości, gdy dwaj górale z pomocy jęli okładać je łomami, a Conan zadawał im mordercze pchnięcia swoim sztyletem. Kiedy dwaj zamykający tyły wojownicy pospieszyli w końcu za swymi kamratami, na podłodze tunelu pozostawili kilka martwych oraz dogorywających w konwulsjach ciał przedstawicieli gadziej rasy. Horda krokodylogłowych jednak, nie zważając na to, co spotkało ich poprzedników, przestąpiła zwłoki swych ziomków i kontynuowała pościg.

Wkrótce łupieżcy dotarli do kolejnego przewężenia tunelu, miejsca, gdzie nad pułapkami rozciągnięta była lina. Izajab już przechodził na drugą stronę przy blasku pochodni Asrafela, podczas gdy Zarriti czekała z niepokojem na swoją kolej. Conan odwrócił się do Otsgara z niemym pytaniem.

Dwaj mężczyźni przez chwilę wymieniali spojrzenia, po czym Vanir ruchem ręki dał Conanowi znak, aby jako pierwszy wszedł na linę. Zaraz potem wojownik warknąwszy gniewnie odwrócił się, by rozwalić łomem pysk pierwszego z dobiegających doń prześladowców.

Conan podszedł do liny. Zafriti przechodziła właśnie na drugą stronę, lecz czyniła to powoli i z wahaniem. Conan zrozumiał, że krokodylogłowy musiał nieco uszkodzić kostkę dziewczyny.

- Pospiesz się! - Stąpając żwawo po linie, Conan dotarł do Zafriti, zdecydowanym ruchem objął ją w talii i dźwignawszy w górę, przeniósł szybko na drugą stronę. Tu wszelako, postawiwszy ją bezceremonialnie na ziemi, zaklął szpetnie i spojrzał pytająco na dziewczynę. - Co, na ognie Seta'...?

Uwolnił rękę od wczepionego w nią drogiego cacka, łupu z grobowca, ozdobnego srebrnego naszyjnika, który, choć poczerniały ze starości błyszczął od wprawionych weń drogich klejnotów. Sycząc jak rozdrażniona kotka Stygijka gwałtownym gestem wyrwała mu błyskotkę i włożyła za fałd szaty, gdzie ją wcześniej ukryła. Następnie schwyciwszy Asrafela za rękę pospieszyła naprzód.

Conan odwrócił się i ujrzał Otsgara przechodzącego po linie w świetle dogorywającej pochodni. Góral dał długiego susa i pędził co sił za Cymmerianinem. Mieszkańcy otchłani musieli jednak pamiętać sposób na unieruchomienie zainstalowanych w korytarzu pułapek, bo gdy Conan odwrócił się ponownie, ujrzał za sobą całą gromadę krokodylogłowych. Sunęli w głąb korytarza po posadzce, ignorując zupełnie rozciągniętą nad ziemią linę.

Uciekający dotarli do schodów i zbili się w ciasną gromadkę. Podłoże było tu zdradliwe, a łupieżca na przedzie nie miał już łuczywa. Conan widział go w niknącym blasku pochodni Asrafela - był to Kothyjczyk Philo, uginający się pod ciężarem mieszka ze złotem.

Prócz Kothyjczyka pozostało już tylko pięciu łupieżców - Izajab, Asrafel, Zafriti, Conan i Otsgar, którego słyszeli jak biegnie korytarzem, rzucając siarczyste przekleństwa w stronę gadzich prześladowców i od czasu do czasu przystaje, by któremuś porachować kości. Żalosa garstka niedobitków, oto, co pozostało z tuzina z okładem poszukiwaczy przygód, którzy zjawili się tu w poszukiwaniu grobowca pełnego niezliczonych bogactw!

Nagle Philo wydał radosny okrzyk. Conan spojrział przed siebie i ujrzał, co było tego przyczyną. Dostrzegł w oddali plamę jasnoniebieskiego światła, blask wpływający do wejścia do tunelu! Musieli spędzić pod ziemią całą noc, teraz zaś wejście do krypty rozświetlały promienie wschodzącego słońca. Ten widok dodawał nadziei. Sprawił, że niezgrabny Kothyjczyk jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Idący za nim również zwiększyli tempo zyskując kilka cennych stóp przewagi nad wyjąłymi i pokrzykującymi gardłowo prześladowcami.

Gdy prostokąt wejścia na wprost niego zaczął się stopniowo powiększać, Conan zdał sobie sprawę, że światło na pewien czas go oślepi. Wysforował się do przodu i wraz z pozostałymi doścignął biegnącego na samym przedzie Phila. Kothyjczyk nie zatrzymał się jednak i wybiegł na zewnątrz, dysząc ciężko i sapiąc, a potem znikł nagle w potokach białego, oślepiającego światła, a jego krzyki przerodziły się w ochrypłe, cichnące z wolna zawodzenie.

- Stójcie! Nie idźcie za nim - zawołał Conan, chwytając Zafriti za ramię. Mrugając gwałtownie barbarzyńca próbował rozrzedzić wdzierające się do jego czaszki światło poranka. Asrafel i Izajab zatrzymali się już na skraju czegoś, co wyglądało jak stroma skarpa. Conan stał tuż za nimi i oceniając oczy dłońią, zmrużywszy powieki, patrzył z niedowierzaniem.

Podczas ich pobytu w krypcie wiatr musiał obmieść ściany budowli ze zwałów piasku. Teraz można było ją ujrzyć w całej jej posępnej okazałości. Niska mastaba, którą odkryli, stanowiła jedynie wierzchołek konstrukcji, jej najwyższy poziom, zwieńczenie wielkiej, wielopoziomowej piramidy, wznoszącej się wysoko ponad powierzchnią pustyni.

Pogruchotane ciało Phila wciąż jeszcze toczyło się w dół jednej a potem drugiej kondygnacji gigantycznych schodów, tworzących ścianę grobowca, ku pofalowanej połaci pustyni daleko w dół. Tam też stały strzeżone przez nawołującego i machającego do kompanów energicznie Zuagira Elohara, należące do nich wielbłądy.

U wejścia za nimi dał się słyszeć szcęk oręza. Otsgar odwrócił się, by stawić czoło pierwszym napastnikom ciągnącej ich śladem hordy kłapiących szcękami i machających szponiastymi łapami krokodylogłowych.

- Tędy, dziewczyno - Conan ujął Zafriti wpół i pomógł jej wydostać się na zewnątrz. Tancerka miękko prześlizgnęła się po wąskim parapecie drugiego poziomu piramidy w stronę liny, którą stary poganiacz wielbłądów pozostawił zwisającą z rzeźbionego łba gadziego demona, zdołającego naroże budowli. Izajab zaczął opuszczać się dół, Asrafel czekał na swoją kolej. Gdy tylko Zafriti schwyciła się liny, pokazała, na co naprawdę ją stać. Wraz z Izajabem i dwoma pozostałymi, zwinnie i z gracją opuściła się na skraj wydmy u podnóża piramidy. W parę chwil potem przy linie znalazł się Otsgar, umykający demonicznym

prześladowcom. Zjechał w mgnieniu oka na wydmy, dołączając do swych towarzyszy.

Pośpiech górala okazał się jednak zbędny. Wejście do piramidy powyżej, jeszcze przed chwilą tętniące życiem, teraz wyglądało na wymarłe.

I wtedy nad połącią pustyni przetoczył się pojedynczy dźwięk, donośny i brzmiący jak ostrzegawcze uderzenie dzwonu rozdzierający łoskot wielkich, spiżowych wrót piramidy, zatrzasnkujących się za ostatnim z jej pradawnych strażników.

#### IV

##### Równina obfitości

- A ty twierdziłeś, że budowniczymi tego grobowca byli ludzie, którzy tylko oddawali cześć jaszczurom z bagien! - Zafriti odwróciła się w siodle, by rzucić Izajabowi karcące, gniewne spojrzenie. - Conan uważał inaczej, czyż nie? Conan jechał nieco dalej, w przedzie, lecz spojrzenie cudownie umalowanych oczu musnęło go z taką siłą, że poczuł je prawie namacalnie.

Zafriti uniosła w palcach wielki pierścień, by pokazać go reszcie drużyny. Był w nim wprawiony sporych rozmiarów różowy kamień, a obsadę z zielonkawego srebra tworzyły postaci dwóch, trzymających się za ogony krokodyli.

- Znając prawdę, nie mogłabym nigdy wsunąć go na palec. - Odwróciła go, aż błysnął w słońcu, a całym ciałem dziewczyny wstrząsnął zimny dreszcz.

Conan nie odpowiedział, myśląc o tym, co bez skrupułów zdołała ukryć w fałdach szaty. W tej chwili podjechał do niej Izajab, wyciągając rękę.

- Jeżeli jego towarzystwo cię mierzi, pozwól że cię od niego uwolnię.

- Nie. - Stygijka skrzętnie schowała pierścień do sakiewki przy pasie.

- Zyski z tej wyprawy są i tak nader mizerne. - Te gorzkie słowa miały być chyba skierowane do jadącego na czele drużyny Otsgara.

Herszt łupieżców jechał jednak w milczeniu, nie odwracając się za siebie. On i pięcioro ocalonych, wraz z Asrafelem i starym Zuagirem zamykającym kolumnę, jechali teraz na koniach, które nabyli po drodze, wielbłądy bowiem nie były najlepszymi wierzchowcami do wędrówek po wąwozach i łąkach zachodniego Shemu. Zresztą i tak nie potrzebowali tak wielu zwierząt, gdyż większość ich sprzętu zaginęła podczas burzy piaskowej. Jeźdźcy przemierzali ogromną puszcę cedrową na przemian tonąc w chłodnych, mrocznych cieniach drzew, to znów przecinając spłachcie jasno oświetlonej wolnej przestrzeni. Wzdłuż szlaku migotał rażno pluskający strumień.

Cała szóstka hojnie uczciła rozstanie z pustynią. W pierwszej shemickiej gospodzie, na jaką natrafili w jednej z wielu zachodnich oaz, najedli się do syta mięsiwa i owoców, gardła zaś przepłukali tego krzepkim winem, a potem spali prawie do wieczora. Jednakże ich najbardziej prymitywne przyjemności i potrzeby związane z przetrwaniem wkrótce zostały całkowicie zaspokojone.

Teraz, kiedy myśleli o przyszłości, byli osobliwie poważni, wręcz zasępieni, może z wyjątkiem Izajaba, który przez cały dzień, jak również podczas podróży pociągał z bukłaka z winem i widać już było, że ma niezłe w czubie. - Może i zyski są niewielkie - oznajmił - 'ale przynajmniej nie musimy dzielić ich między wielu. Jak zawsze niebezpieczeństwa czyhające w grobowcach wyeliminowały zbędne jednostki, przersedzając znacznie nasze szeregi.

Otsgar odwrócił się w siodle i łypnął gniewnie, jakby chciał uciszyć brodacza. Za późno - Asrafel już podjął wyzwanie.

- A zatem jest tak, jak podejrzewałem! Przez cały czas wiedzieliście o czyhających niebezpieczeństwach, a jednak nakłoniliście mych towarzyszy, aby poszli prosto w paszczę lwa! Lub raczej, powinienem powiedzieć, że zrobiliście to właśnie dlatego! - Ciemnoskóry Shemita podjechał nieco bliżej, a potem gwałtownie ściągnął wodze swojego wierzchowca. Kierował pełne goryczy słowa do Izajaba i Otsgara. Jego złoty kolczyk błyszczał w promieniach słońca. - Niektórzy spośród nich byli mymi przyjaciółmi z dzieciństwa. Tak, prawdą jest, że trudzili się złodziejską profesją, lecz nie powinni byli umrzeć przez waszą chciwość!

Otsgar zawrócił swego wierzchowca w stronę młodzieńca. Gołowąs prezentował się w obszytym metalowymi płytkami kaftanie i hełmie imponująco.

- Nie mów mi o chciwości, szczeniaku! Pomnij, że to ja straciłem najwięcej na tej przygodzie! Wartość moich udziałów w łupach ledwie zdoła pokryć

koszta wyżywienia wielbłądów! - Zatrzymując się na swym wierzchołku w poprzek szlaku, Vanir omiótł zgorzkniałym spojrzeniem twarze pozostałych członków swojej drużyny.

- Mimo to - ciągnął - wywiązałem się z umowy z tobą i twymi nadgorliwymi kompanami! Gdybyśmy natrafili na porządny grobowiec, i ty, i oni radowalibyście się teraz niezmiernym bogactwem!

Młody Shemita wydawał się bardziej dotknięty gniewną postawą Otsgara, niż jego słowami. Wyprężył się w siodle, lustrując ponurym wzrokiem ziemię przed koniem swego mocodawcy.

Conan zabrał głos, aby przerwać impas. - Następnym razem, Otsgarze, gdy wybierasz grobowiec do złupienia, upewnij się pierwej, że jego mieszkańcy na pewno są martwi, a nie jedynie zażywają odpoczynku.

Zduszony śmiech Izajaba złagodził nieco narastające napięcie; Otsgar rzuciwszy Conanowi pełne irytacji spojrzenie, ponownie wysforował się na czoło kolumny. Gdy podjęli przerwana wędrówkę, podпиты Shemita podjechał swym wierzchołkiem do rumaka Cymmerianina i wyszeptał nieco bełkotliwie: - Śmiem twierdzić, że to, co powiedział, to prawda. Wszystkie świecidełka, które Otsgar zdołał zgromadzić wraz ze swoją tancereczką, z ledwością pokryją wydatki, włożone w organizację tej wyprawy. - Nachylił się jeszcze bardziej w stronę barbarzyńcy i mrugnawszy, chuchnął Conanowi prosto w twarz oddechem przesyconym wonią kwaśnego wina - Nie zdziwiłbym się, gdyby nasz kapitan zaczął wkrótce nabór chętnych do nowej wyprawy. Ma moc wydatków i, jak na górala z Północy przystało, cechuje go zamiłowanie do ryzyka.

- Wątpię, by miał trudności z wybraniem dogodnego obiektu do splądrowania - odparł Conan. - Mówiono mi, że w shemickich miastach-państwach grobowców nie brakuje.

- O tak. Grobowców jest mnóstwo. - przytaknął Izajab. Mrugnął i dokończył pospiesznie. - Nie ma to, jak Stygia. Za rzeką, ma się rozumieć. Tam grobowców jest więcej niżli osad żyjących. Wyznawcy kultu węża uwielbiają grobowce! Budują grobowce na grobach i równają z ziemią całe miasta, by w ich miejsce wznosić nowe nekropolie. Dla mnie to odrażające.

Zamilkł na chwilę i westchnął przeciągle.

- Niemniej jednak - odezwał się w końcu - nas, Shemitów, może spotkać to samo, jeżeli nauki proroka Horaspesa trafią na podatny grunt. - Jakby zastanawiając się nad sensem własnych słów, złodziej pogłodził od niechcienia swą rzadką, kozią bródkę. - Ale... no tak, z grobowcami w Shemie jest pewien problem... przynajmniej z większością z nich... Są one bardzo dobrze strzeżone, dni zaś, kiedy odważaliśmy się je plądrować, należą już do zamierzchłej przeszłości.

- Czy lud darzy tak wielką miłością swych nieżyjących już władców? - zapytał Conan.

- Nie. Tyle że Bractwo Kapłanów ma olbrzymią władzę i czujnie strzeże grobów. Obecnie, za namową Horaspesa, straż cmentarna karze rabusiów grobów obcięciem nosa i uszu oraz nabiciem na pal.

- Kimże jest ów Horaspes, który przysparza wam tak wielu zmartwień?

- To wędrowny prorok, który odnalazł gorliwych zwolenników swych nauk na dworze królewskim Shemu. Głosi on chwałę Zaświatów, wysławiając przy tym najnowsze innowacje w dziedzinie budowy grobowców i balsamowania zwłok. Przez ostatnie kilka lat był przyjmowany z honorami przez króla Ebnezuba, władcy mego rodzinnego miasta, Abaddrah. Namówił króla do wzniesienia największego i najwspanialszego grobowca-pomnika w całym Shemie. Teraz, kiedy zdrowie zaczęło mu szwankować, Ebnezub śpieszy się, by dokończyć dzieła, a jednocześnie oddaje Horaspesowi coraz więcej uprawnień, jeżeli chodzi o sprawowanie władzy nad miastem.

- Grobowce i monumenty! - mruknął Conan. - Cóż za bzdury. Nigdy nie pojmę, dlaczego ludzie wnoszą na swą cześć jakieś żałosne i puste pomniki. W mojej ojczyźnie wystarcza miecz wbity w ziemię przy grobie.

Wzruszył ramionami. - No, może miecz ozdobiony czaszkami paru wrogów...

- Te wielkie grobowce są plagą Shemu! - wtrącił Asrafel, który jechał obok, wciąż szeptając po ostrej wymianie zdań z Otsgarem. - Wznosi się je z potu i krwi chłopów, kosztem wielu innych, znacznie bardziej potrzebnych budowli. A tymczasem mniejsze gospodarstwa są odbierane w ramach podatków ich właścicielom. - Młody Shemita pokręcił głową z irytacją, jego złoty kolczyk zalśnił w słońcu. - To przez głupotę Ebnezuba ograbiono mnie z mego dziedzictwa

i zmuszono, bym wiódł żywot złodzieja!

Izajab wzruszył ramionami. - Nie zgodziłbym się, że budowa wielkich grobowców nie przynosi żadnych korzyści. Zatrudnia się do pracy wielu bezrobotnych i obraca sporymi sumami pieniędzy, które w innym przypadku spoczywałyby zamknięte w królewskim skarbcu. Pieniądze te mogą trafić do kieszeni wielu ludzi, w tym również do naszych. - Shemita uśmiechnął się znacząco do Conana i mrugnął do Asrafela.

- Niemniej przyznaję, że sam pomysł jako taki jest idiotyczny - ciągnął Izajab. - Zabierać ze sobą do grobu ogromne skarby, prowiant, broń, a nawet żyjące żony i służbę! Nie pojmuję, jak tego typu praktyki mogły znaleźć zwolenników. - Shemita znów się zamyślił, skręcając w palcach kosmyki rzadkiej brody. - To wpływ Stygijczyków, zaszczepiony na nasz grunt przez Horaspesa. Stygia to wielka i potężna kraina, choć raczej niezbyt lubiana. Zważywszy, że znajduje się tak niedaleko, po drugiej stronie rzeki... spójrzcie tylko, a pojmiecie, o co mi chodzi.

Conan podążył wzrokiem za palcem Izajaba. Droga na pewnym odcinku ciągnęła się jeszcze wśród drzew, później jednak przecinała nagi, kamienisty pagórek i oczom wędrowców ukazał się zapierający dech w piersiach niezwykle widok.

Mieli przed sobą wielką dolinę Styksu. Podmokła, żółtozielona równina rozciągała się jak okiem sięgnąć ku zachodniemu horyzontowi, gdzie sinawa mgiełka łączyła się z nisko wiszącymi na niebie kłębiastymi chmurami. Po lewej, pod osłoną mlecznych oparów widniała błotnisto-zielona jak ocean połać Ostatniej z Rzek, za nią zaś spośród mgły wyłaniało się pół tuzina zgrabnych, symetrycznych wierzchołków różnej wielkości piramid. Conan wiedział, że to grobowce Stygii, starożytne symbole jeszcze starszej krainy, która zaczynała się na przeciwległym brzegu rzeki i ciągnęła na południe, aż po złowrogie, pełne złych duchów dżungle Czarnych Królestw.

- Oto macie przed sobą przepych i chwałę stygijskiego imperium - ciągnął Izajab. - Ja jednak wolę nasze oświecone, shemickie metody. - Westchnął. - A tam leży cel naszej podróży, Abaddrah.

Wskazał ręką w prawo, ku wyżynie oznaczającej granicę zielonych mokradeł. Wznosiło się na niej otoczone potężnym murem obronnym zbiorowisko niskich białych kopuł. Samo miasto wydawało się zadziwiająco zwarte i skupione, niczym piasta koła, w której schodzą się białe osie traktu i rozświetlonego promieniami słońca kanału. Przed murami jednak, wzdłuż brzegów kanału rozłożyły się niczym nie chronione, pozostawione same sobie przedmieścia. Od strony ładu dostrzec można było jeszcze jeden słaby punkt w systemie obronnym miasta - budynki i uliczki ciągnące się aż hen, po same wzgórza.

- Za miastem, o, tam, leży dzielnica grobowców - wyjaśnił Izajab. - Większa część slumsów została zrównana z ziemią, by król miał gdzie wzniesić monument, dzieło jego życia mające przyćmić wszystkie inne grobowce. - Wskazał ogromny teren budowy, wielki wykop po części przesłonięty miejskimi murami.

- Wspaniałe, czyż nie, Conanie? - spytała z uśmiechem Zafriti. Zsiadła z konia, by przez chwilę podziwiać widoki i odwróciła się, gdy barbarzyńca zbliżył się do niej. - To o wiele piękniejsze, niż dorzecza w mojej ojczystej krainie. I ten kraj nie cierpi pod rządami surowych kapłanów, stawiających na pierwszym miejscu pobożność i pruderię!

Wzruszyła lekko ramionami. - W Stygii, gdzie taniec publiczny jest zakazany, musiałabym dostać się do seraju zarządcy. W Shemie jednak kwitnie wolność. Twój kraj jest doprawdy oazą szczęśliwości, Izajabie.

- Nie okazał się zbyt szczęśliwy dla mego ojca - odezwał się Asrafel, którego wierzchowiec szedł wolno dalej wzdłuż szlaku. - Utopiono go w kanale irygacyjnym, bo nie chciał zapłacić daniny, którą w imieniu króla Ebnezuba pobierali dworscy poborcy podatków!

Młodzieniec siedział sztywno w siodle. - W tych czasach Abaddrah jest szczęśliwym miejscem tylko dla szlachetnie urodzonych i dla przebiegłych - rzekł i spojrzał znacząco na Otsgara. - Dajże pokój, chłopcze - przerwał uspokajającym tonem Izajab. - Władcy zawsze wyzyskiwali swoich poddanych i czynią to wszędzie. Jeżeli o to chodzi, Abaddrah nie zalicza, się do najgorszych miejsc na...

- Uważam, że to cudowne miasto! - przerwała mu Zafriti, pragnąc pozostać w centrum uwagi. - W mojej ojczyźnie nie znalazłabym publiczności mogącej podziwiać moją sztukę. Tu wszelako, przy wsparciu Otsgara, mam szansę stać się sławną na cały kraj! Conanie, musisz dziś wieczorem zobaczyć, jak tańczę. Moja

kostka już się zagoiła. - To rzekłszy spojrziała na barbarzyńcę i wykonała delikatny, zmysłowy ruch, kołysząc przy tym biodrami. Na ten widok wszyscy mężczyźni zamilkli w jednej chwili.

Otsgar, wciąż siedząc w siodle przeniósł wzrok z urokliwego krajobrazu na swą bardziej urokliwą towarzyszkę. - Zafriti, mogłabyś przysporzyć Conanowi niepotrzebnych kłopotów. O ile mi wiadomo, nie zamierzał wybierać się na wyżynę Shemu. Czy nie tak, Cymmerianinie?

Spojrzał znacząco na górala z Północy.

- Nie mam nic przeciwko odwiedzeniu tego zakątka Shemu. - Conan zerknął na Zafriti. - Widoki są tu doprawdę urocze.

Otsgar skrzywił się, ignorując gwałtowny rechot Izajaba. - Powiedz no, Cymmerianinie, co właściwie sprawiło, żeś zapaścił się tak daleko na pustynię?

Conan wzruszył ramionami. - Zmierzałem do Ophiru. Wydawało mi się, że mogę dogadać się z tamtejszą królową. Nic jednak z tego nie wyszło.

- Zatem, jak sam widzisz, Otsgarze, barbarzyńca może zatrzymać się razem z nami w gospodzie! - Zafriti rozpromieniła się, wskakując na siodło swej pstrokatej klaczy. - Bądź co bądź w grobowcu krokodylogłowych spisał się naprawdę dzielnie. Jak my wszyscy. - Spojrzała z rozbrajającym uśmiechem na swego mocodawcę. - Może mógłby dołączyć do nas i wziąć udział w kolejnej wyprawie.

- W rzeczy samej, nie odmówię - Conan przeniósł wzrok na Otsgara. - Zanim udam się w dalszą podróż, przydałoby mi się napełnić sakiewkę, bo ostatnio coś w niej pustawo. - Skierował swego wierzchowca z powrotem na szlak. - Choć wolałbym, jeżeli to możliwe, uniknąć łupienia grobów i narażania się na spotkanie z demonami z piekielnych otchłani!

- Dobrze powiedziane, Conanie - mruknął Izajab. - Podzielam twoje zdanie. Zmieńmy profil i zostanmy uczciwymi złodziejami. - Potrząsnął bukłakiem na wino i uniósł do ust. - Ali, zaschło mi w gardle! Takem długo gadał, że prawie wytrzeźwia! Otsgar nie odezwał się już ani słowem i po chwili jeźdźcy wrócili na szlak.

Droga ponownie wiodła przez las. W końcu drzewa przeredziły się i zobaczyli sady pełne granatów i palm daktylowych, a potem rozległe pola uprawne. Wzgórza pozostały daleko w tyle. Towarzyszący traktowi strumień rozlewał się w sieć migocących kanałów irygacyjnych, skąd chłopci nabierali wodę za pomocą długich, obciążonych na przeciwległych końcach czerpaków. Ich powolne, majestatyczne ruchy i bulgot wody spływającej na pola tworzyły rytmiczne, monotonne tło ich dalszej jazdy. Conan poczuł na karku podmuch ciężkiego powietrza i ujrzał wyrastające z żyznej ziemi na polach zielone pędy jęczmienia.

- Niższe pola nie zostały jeszcze obsiane, bo Styks dopiero zaczął wylewać - wyjaśnił Izajab. - W mieście będzie się roić od chłopów, wygnanych przez powódź ze swych gospodarstw. W tym roku powódź jest znacznie dotkliwsza, bo pragnąc ukończyć grobowiec, król Ebnezub doprowadził do większego niż zwykle zamulenia kanałów irygacyjnych. Ale tak czy inaczej wielu bezdomnych chłopów zostało zmuszonych do pracy przy stawianiu grobowca. O tej porze roboty budowlane posuwają się najszybciej.

Przez resztę podróży Izajab gadał jak najęty. Conan miał wrażenie, że ani na chwilę nie zamykają mu się usta. Zafriti uniknęła tej męki, bo gdy trakt nieco się poszerzył, Otsgar przywołał ją, by jechała obok niego. W mig zaczęła drwić sobie z niego, lecz powodów jej drwin inni mogli się tylko domyślać po gwałtowności jego gestów i podniesionym tonie głosu i dźwięcznym śmiechu tancerki.

Dotarli w końcu do granicy pól uprawnych. Zastąpiły je teraz porośnięte trzciną mokradła, a groble pomiędzy nimi zostały zmyte lub zniknęły pod wodą. Tu i ówdzie na polach wznosiły się opuszczone trzcinowe chaty wieśniaków; kilka z nich pogrążonych było w wodzie. Styks, wezbrany po obfitych w ostatnim czasie ulewach i zasilony przez górskie potoki, do których spłynęła woda z topniejących śniegów, z niszczącą siłą wdarł się na równinę. Niebawem biały trakt zmienił się w wąską dróżkę biegnącą pośród niebieskiego morza, którego niezmacona toń połyskiwała żółtawo w promieniach zachodzącego słońca. Dwakroć jeźdźcy musieli schodzić z koni, by pokonywać szerokie kanały w trzcinowych łódkach, sterowanych długimi drągami przez smukłych przewoźników, podczas gdy ich wierzchowce płynęły z tyłu za nimi.

Wreszcie ich oczom ukazało się Abaddrah; wieżyczki i blanki miasta odcinały się ostro na tle zachmurzonego zachodniego nieba. Słychać było płynące

z zigguratów dźwięki trąb kapłanów, a dymy z palenisk i stosów ofiarnych nadawały słońcu ciemniejszy odcień czerwieni.

Ruch na drodze i kanale był całkiem spory. Nawet teraz, gdy zapadał już zmierzch, dostrzec można było ciągnięte przez woły wozy, pełne owoców i futer, zadaszone rydwany zaprzężone w ręce konie i barki przewożące ładunki trzciny oraz wielkie, używane przy budowie głazy.

Niebawem jeźdźcy znaleźli się wśród zabudowań mieszkalnych na skraju miasta. Poboczne drogi i brzeg kanału pełne były prymitywnych szałasów i namiotów z postrzępionych, rozpostartych na tyczkach derek. Nagie, niemiłosiernie umorusane dzieci umykały przed nadjeżdżającymi z przeraźliwym krzykiem. Ich rodzice tymczasem łowili na płyciznach węgorze i małże, zaledwie o kilka kroków od krokodyli, które drzemały lub wygrzewały się leniwie na brzegu rzeki. Na widok wielkich gadów Conana ścisnęło coś w dołku, a przed jego oczyma pojawiły się nagle zamglone, przerażające sceny, obrazy z niedawnej potyczki w podziemiach zapomnianego grobowca.

Wreszcie jeźdźcy dotarli do głównej bramy miasta. Masywne ufortyfikowane wrota zwieńczone były blankami i mimo wczesnej jeszcze pory oświetlone blaskiem kilkunastu pochodni. Ku zdumieniu Conana, Otszar minął główną bramę i ruszył dalej, jedynie przez mgnienie oka zdążyli dojrzeć, jak przed izbą celna sprawdzano jakieś towary, a na placu za bramą kłębił się tłum barwnie odzianych ludzi.

Ciągnącym się pod murami traktem dotarli do kolejnego rozgałęzienia dróg.

- Te szlaki - wyjaśnił Conanowi Izajab - wiedą na pomoc, do Eruk i krain hyboryjskich, a na zachód na wybrzeże i do Asgalunu. Przy szlakach tych wzniesiono wszystkie większe miasta-państwa Shemu, niczym klejnoty zdobiące drogocenny złoty pektorał. To najpiękniejsze i najbardziej dochodowe szlaki handlowe na świecie.

Tam też, przy rozstaju dróg stał niski, szeroki budynek z wypalanej na słońcu cegły, pół warownia, pół rezydencja. Brama wiodąca na otoczony murem dziedziniec stała otworem, a spoza niej płynął blask ognia, gwar ludzkich głosów i odgłosy zwierząt. Otszar wjechał na dziedziniec.

- Wstawać, służba! - zawołał gromkim głosem. - Zbudźcie się, urwipołcie zatracone! Do was mówię, wy tam, w gospodzie! Pan wasz i gospodarz powrócił!

## V

### Taniec Zafriti

Wnętrze gospody wypełniała muzyka. Dźwięki lutni i bębenków stapały się z silną wonią pieczonego barana i pitnego miodu. Gdyby zmysły obecnych tu gości nie były nazbyt przytępione od nadmiaru wina, mogliby wychwycić gwar głosów mówiących różnymi językami, dźwięczny kobiecy śmiech; zapachy różnorodnych perfum oraz kadzideł i ziół palonych w fajkach bądź specjalnych naczyniach w ciemniej szych zakamarkach przybytku.

Główna izba podzielona była na mniejsze części niskimi, łukowato sklepieniami portalami wspartymi na smukłych, sięgających aż do sufitu kamiennych kolumnach. Wewnątrz nich, na poszczególnych poziomach goście zasiadali na poduchach przed niskimi stolikami, zastawionymi jadłem i napitkami. Wszystkie sufity wyłożone były lśniącymi, misternymi mozaikami, tylko w największej sklepienie tworzył usiany gwiazdami nieboskłon shemickiej nocy. Z łukowatych sklepień zwieszały się bujne pędy winorośli, poruszone łagodną nocną bryzą, pośrodku całej konstrukcji zaś pluskała rażno fontanna.

- Nie spodziewałem się, że twojemu hersztowi tak dobrze się powodzi - wyznał Conan, zwracając się do Izajaba sponad dzbanka złotego palmowego wina. Siedział ze skrzyżowanymi nogami w oświetlonej blaskiem kaganka niszy, odpoczywając słodko po trudach poprzedniego dnia. Miał na sobie pożyczone jedwabne pantalone i kamizelkę, czarna czupryna niknęła pod luźno zawiązanym turbanem. - Vanir wydał iście królewskie przyjęcie.

- To prawda, w Abaddrah jest uważany niemal za wielmożę. - Shemita skinął na jasnobrodego Otszara, który przyodziany po królewsku witał u wejścia kolejnych gości. - W tej gospodzie nie znajdziesz wielu brudnych, skorych do bitki i wypitki jeźdźców pustyni. Woli gościć u siebie najbogatszych kupców,

przewożących najcenniejsze towary w otoczeniu najbardziej zaufanej straży. Często przybywają szlakiem zbyt późno, by zdążyć do miasta przed zamknięciem bram. - Izajab mrugnął. - Zwykle jednak chcą po prostu pohandlować, nie płacąc myta przy wjeździe do miasta.

- Cóż, przynajmniej Otsgar zachowuje należną pokorę i bystrość umysłu. - Conan opróżnił kubek i sięgnął po stojący przed nim dzbanek. - Nie zapomniał, jak się targować, i umie wywalczyć dla siebie jak najkorzystniejszą cenę. - Tak, jest bardzo przebiegły - Izajab zakręcił kubkiem, spoglądając z zamyśleniem na pływające na dnie szumowiny. - Abaddrah jest niczym głęboki staw pozostały po powodzi - jasny i błyszczący z wierzchu, a mulisty i mętny na dnie. Aby przepłynąć gładko między dnem a taflą stawu, potrzeba ryby o szczególnych właściwościach. Takiej jak Otsgar.

Spojrzał na Conana. - Czasami w takich sytuacjach łatwiej jest cudzoziemcowi.

- Skoro o tym mowa, wasze miasto to nader ciekawe miejsce. - Conan nachylił się do Izajaba i nieco bardziej konfidencjonalnie dodał:

- Wędrując dziś po tutejszym bazarze widziałem złote samorodki wielkości męskiej stopy, mnóstwo drogich klejnotów i odłamki nefrytu, które z trudem byłem w stanie unieść. Olbrzymie bogactwa przechodzą z rąk do rąk, lecz są one zbyt dobrze strzeżone, by można ich choćby dotknąć. Na całym targowisku aż wrzało od plotek na temat wspaniałości grobowca Ebnezuba.

- Tak, król płaci najwyższą cenę za połowę bogactw zachodniego świata, stąd chciwość Otsgara i jego zamiłowanie do błyskotek. Trumna ma być, jak słyszałem, wykonana z alabastru i białego złota. Wraz z nim w grobowcu zamurwane zostaną wszystkie jego doczesne precjoza, a sklepienie komnaty ozdobią, na kształt tego nieboskłonu, najwymyślniejsze i najcenniejsze z klejnotów. - Izajab wskazał ręką na niebo lśniące ponad fontanną.

- Zaiste - rzucił Conan z zamyśleniem, drapiąc się po podbródku. - I wszystko to wydarte przemocą z cierpiących niedostatek poddanych tutejszego władcy. - Można by się zastanawiać, po co to wszystko. Przecież to wstyd, aby takie bogactwa miały zostać pogrzebane wraz z królem, skoro jego poddani nie mają dachu nad głową, ani co do garnka włożyć.

Izajab spojrzał na barbarzyńcę z nie skrywanym zdumieniem.

- Czyja dobrze słyszę? Chyba nie udzielił ci się nastrój Asrafela, który wiecznie sarka na możnych...?

Conan uśmiechnął się i powiódł dłonią wzdłuż linii żuchwy. - Nie, niezupełnie. Kiedy jednak wędrowałem wczoraj po mieście, przyszła mi do głowy pewna myśl... A gdyby tak...

Urwał nagle i odwrócił się. Odgłosy lutni i bębenka przybrały na sile, teraz jednak dołączyły do nich ciche acz wyrafinowane dźwięki fletu. Wzrok wszystkich skierował się ku przeciwległej stronie galeryjki, gdzie spoza kotary z paciorków wyłoniła się Zafriti i rozpoczęła swój występ. Wykonała taniec dworski Zuagirek, choć nie miała na sobie typowych dla kobiet pustyni szali i woalek. Wąskie paski materiału i bransolety opinające jej ciało napinały się przy każdym ruchu, drwiąc z wszelkiej skromności. Kobieta miała przy tym znacznie więcej miejsca niż Zuagirki, nie występowała bowiem w ciasnym namiocie ani na rozłożonym na targowisku dywanie. Wybijając skoczny rytm maleńkimi czynelami przymocowanymi do palców obu dłoni, wykonywała rytmiczne ruchy biodrami, wprawiając w ciągłe drżenie dzwoneczki u talii.

Tańcząc przemierzała wszystkie części gospody. W pewnym oddaleniu podążali za nią muzycy i słudzy z lampami. Szła dziarsko, przeskakując nad poduszkami i nogami gości, nie omijając w swym zalotnym tańcu żadnego z nich.

Otsgar trzymał się w cieniu z tyłu, klaszcząc rytmicznie w dłonie i kiwając głową do gości z miną zadowolonego z siebie właściciela. Uśmiechnął się z aprobatą, gdy Zafriti przemknęła przed paroma tłustymi kupcami, którzy na wyścigi jęli wtykać jej za stanik srebrne monety. Więcej czasu spędziła wśród tych właśnie gości, niż wśród szczuplejszych, mniej zamożnych wędrowców, co Conan skwapliwie zauważył, i kompletnie zignorowała tę część gospody gdzie siedział on sam i Izajab.

Nagle zmieniła kierunek. Przeszła przez dziedziniec, ominęła fontannę i dotarłszy do ich niszy, weszła do środka. Izajab drgnął gwałtownie, gdy przeskoczyła ponad nim. Znalazła się na kamiennym stole, zwinnie ominęła spoczywające na ciemnym marmurze misy, okruchy chleba i skórki melona. Naraz zastygła w bezruchu, wstrzymując oddech, spięta jak antylopa przystająca w



biegu.

Trwało to ledwie mgnienie oka, lecz nim ucichło echo jej instrumentów, muzykanci pojawszy w czym rzecz zwolnili tempa. Zafriti rozpoczęła bardziej płynną i zmysłową fazę tańca, wijąc się w bezwstydną lubieżność przed Conanem. Od czasu do czasu uśmiechała się zmysłowo do Izajaba, lub przepatrywała twarze muzyków, nosicielei lamp i innych gości, którzy zebrali się u wejścia. Ruchy jej przeznaczone były jednak dla Cymmerianina, który siedział przed nią jak zauroczony. Złote lędźwie poruszały się płynnymi, węzowymi ruchami, a kobieta powolnymi, ekspresyjnymi ruchami upierścienionych palców ujawniając widzom coraz to inne cudowności ciała. Dreszcze przeszywały ją od stóp do głów, aż dzwoneczki i cekiny na jej ciele jęły pobrzękiwać donośnie. Wyginała się gibko i prężyła całe ciało, by zroszona potem skóra lśniła ponętnie w srebrzystym blasku lamp. Pochylając się w idealnym zgraniu z pulsującą melodią, osunęła się na kolana i opierając się na palcach stóp odchyliła całe ciało do tyłu w zmysłowej i zachęcającej pozie.

Na ten widok goście jęli pomrukiwać pod nosem. Kilku z nich dziwiło się jakim cudem barbarzyńca może usiedzieć tak blisko owego żywego falującego płomienia, który nie tylko wyciska z człowieka siódme poty, ale może wręcz spalić go żywcem.

Conan, którego nerwy były na granicy wytrzymałości, uznał że czas już przejść do działania. Sięgnął do sakiewki i wyjął pierwszy przedmiot, jaki wpadł mu w rękę, ciężką, rombowałą złotą abaddrańską monetę. Zafriti zaczęła powoli podnosić się ze stołu. Unosiła się do pionu tymi samymi falującymi ruchami. Kiedy Conan wyciągnął rękę, aby włożyć monetę za jej srebrno obszyty stanik, napięty jedwab wyśliznął mu się spod między palców. Tancerka równie szybko i zwinnie jak się pojawiła wypadła na dziedziniec.

Zawróciła do głównego korytarza, gdzie z miejsca otoczył ją tłum ryczących na całe gardło, spragnionych gości, usiłujących pomacać ponętne ciało dziewczyny i wcisnąć jej wyluskaną z kiesy monetę. Dziewczyna jednak poruszała się na tyle szybko, że stale trzymała się od nich na bezpieczną odległość. Upuściła tylko na ziemię szal, by mogli nań rzucać przeznaczone dla niej pieniądze.

Nagle pojawił się przed nią Otszar. Poklepując groźnie ręką szyję podziękował za występ, a słowa jego spotkały się z gromkim aplauzem zebranych. Zasłonięta postawnym cielskiem oberżysty, tancerka pozbierała swoje rzeczy i w oka mgnieniu zniknęła w pomieszczeniu, z którego się wyłoniła. Po chwili gwar ucichł. Goście wrócili na swoje miejsca, zamawiając kolejne dania i napitki u młodziutkich służek, które ku uciesze zebranych zastąpiły nieobecna Zafriti. Izajab zdziwił się nieco widząc, że Conan lekce sobie waży awanse kilku skąpo odzianych kobiet.

Barbarzyńca włożył złotą monetę na powrót do sakiewki. Wydawał się chmurny. Prawie nic nie mówił. Izajab uznał, że wzmianka o Zafriti byłaby w tej sytuacji nie na miejscu, przeto spróbował podjąć temat przerwany pojawieniem się tancerki. W miarę jednak, jak wokół nich powracał dobry biesiadny nastrój, Conan stawał się coraz bardziej niespokojny. Wypił duszkiem kubek wina i wstał, oznajmiając, że zamierza udać się na nocny spacer. Gdy Izajab spytał go o cel przechadzki, barbarzyńca nie odpowiedział.

Conan przeszedł przez zatłoczoną kuchnię po płaszcz, pozostawiony w izbie, którą dzielił z innymi łupieżcami. Gdy dotarł do tylnego wyjścia, usłyszał za sobą skrzyp otwieranych drzwi. Odwrócił się. Ujrzał drzwi wykonane z prostych, malowanych desek, mniej wytworne niż rzeźbione wizerunki w przeznaczonych dla gości części gospody. W progu nie było nikogo, barbarzyńca poczuł jednak znajomy zapach perfum.

Podszedł i zajrzał w głąb pokoju, aby ujrzeć Zafriti, wciąż ubraną jak do występu, lecz już bez dzwoneczków i czyneli. Stała przed wielkim lustrem z polerowanego metalu i zdejmowała biżuterię. Pomieszczenie było łóżnicą, lecz na wszystkich meblach wisiały lub leżały stroje tancerki.

- Cóż to, Conanie, czyż nie ujrzał mnie wystarczająco podczas tańca? - zapytała Zafriti pochylając tylko głowę, by odpiąć tkwiący w uchu kolczyk. - Niewiele więcej mogłabym ci pokazać! Ale wejdź, wejdź, zamknij drzwi. Powiedz, co myślisz o moim występie, Po chwili wahania Conan wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

- To był najpiękniejszy lardec, jaki oglądały moje oczy - przyznał. - A podczas mych wędrówek od Zingary do Kitaj widziałem ich wiele.

Zafriti spojrzała na niego i spuściła wzrok na stertę monet leżących na toaletce, obok przyborów do malowania. - Chciałabym, aby tego samego zdania byli inni goście. Krzyczeli i ślinili się jak wieprze, ale do sakiewek sięgali raczej niechętnie. Otworzyła szufladę i wsypała do niej monety.

Conan zmierzył dziewczynę wzrokiem. - Ejże, po cóż pokazujesz mi, gdzie trzymasz pieniądze? Wiesz przecież, że szakale, z którymi się zadaję, okradają nie tylko umarłych.

Zafriti wzruszyła ramionami. - Dzisiejsze zarobki są tak mizerne, że chyba mogę ci zaufać, Conanie.

- A jednak odmówiłaś przyjęcia zapłaty ode mnie - zauważył barbarzyńca. - Wydaje mi się to co najmniej dziwne.

Zafriti odwróciła się do niego, mimowolnie kołysząc biodrami.

- Czemu miałabym przyjąć od ciebie zapłatę? - Podeszła do niego i oparłszy dłonie na jego biodrach spojrzała mu w oczy. - Po cóż miałabym brać od ciebie zapłatę, skoro mogę mieć wszystko?

- Wszystko...? - zawtórował półgłosem, wpatrując się w jej oblicze. W jej oczach migotały zmysłowe błyski, ukarminowane usta były rozchylone. Mógł teraz bacznie przyjrzeć się ponętnym krągłościom jej ciała.

- Tak, myślę, że mogę mieć wszystko, nie tylko twoje pieniądze, ale także twoje ciało, namiętność i dzikość górala z Pomocy, jeżeli tylko o to poproszę. - Poruszała się delikatnie, ale nie dotknęła go, tylko dłońmi trzymała go za biodra. - A co z twoim mocodawcą? - zapytał Conan, usiłując nie stracić panowania nad sobą. - Co on na to?

- Otsgar? - Zafriti machnęła lekceważąco głową. - To tylko mój pracodawca i nikt więcej. Ceni mnie sobie, to fakt, lecz jeno jako kosztowny nabytek, dobrą inwestycję, nic poza tym. Nic mnie z nim nie łączy! - Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i jeszcze bardziej przybliżyła się do Conana. Otarła się o niego leciutko, przesuwając ręką po jego ramieniu i piersi, ku twarzy.

- Zapewne i ze mną nic by cię nie łączyło, gdybym przestał cię interesować. - Conan odwrócił głowę, by uniknąć dotyku jej palców.

- Nie podoba mi się to, Zafriti. Nigdy dotąd nie odebrałem kobiety prawemu mężczyźnie, nawet tak rozwiązłej, żalósnej, taniej dziwki od tak plugawego łupieżcy, jakim jest Otsgar. Chociaż, Crom jeden wie, może wyświadczyłbym mu przysługę...

- Barbarzyński zarozumialec! - Zarriti wymierzyła Conanowi siarczysty policzek. - Odrzucasz mnie więc? Mimo swego wyglądu nie jesteś mężczyzną, lecz eunuchem...

Conan musiał schwycić Zafriti za nadgarstki, by nie spoliczkowała go ponownie. Drugą ręką kobieta próbowała wydłubać mu oczy długimi jak szpony paznokciami. Dobrze umięśniona tancerka próbowała wykorzystać swą siłę, gdy rzucała się raz po raz na barbarzyńcę, sycząc ze złości.

Nie chciał jej uderzyć. Aby ją unieruchomić, przyciągnął dziewczynę do siebie i podźwignął w górę. Zaatakowała go kolanami, a on zmuszony był odwrócić się do niej bokiem, by osłonić kroczce.

Atak stał się jeszcze bardziej zajadły i nagle, nie wiadomo kiedy, przywarła doń całym ciałem, dysząc namiętnie. Wgryzła się małymi, twardymi ząbkami w jego ucho i szyję, a jego nozdrza wypełnił wonny zapach jej włosów. Wodził dłońmi po jej krągłościach, a ona pieściła go i wczepiała się w jego ramiona napierając z całej siły. Sprawiała wrażenie, jakby chciała się nań wspiać, niczym małpa na drzewo bananowca.

Za plecami Conana zaskrzypiały drzwi.

Próbował się odwrócić, lecz siła i namiętne zapamiętanie Zafriti zmogło go raz jeszcze. Ledwie zdołał odepchnąć ją od siebie na szerokość dłoni, gdy twarda pięść wyrznęła go w bok głowy, wyswobadzając z ramion tancerki i odrzucając wstecz. Wnętrze łóżnicy przeszył znajomy gardłowy głos.

- Niech cię piekło pochłonie, Cymmerianinie! Nie wiedziałem, żeś jednym z tych plugawych złodziei kobiet! Takie nawyki pospolite są wśród ludów pustyni. Moi krewniacy ze skutego lodem Vanheimu nie tolerują podobnych praktyk! I ja także! - Wypowiadając te słowa Otsgar ruszył za barbarzyńcą, zasypując go gradem ciosów i kopniaków.

Conan wycofał się pod ścianę i tu zgotował swojemu przeciwnikowi nie lada niespodziankę. Cymmerianin odbił się bowiem od glinianej ściany jak wystrzelony z katapulty, i wbijając swe twarde jak kafary pięści w podbródek i pierś Vanira, cisnął go na środek pokoju.

Otsgar szybko jednak doszedł do siebie, przedarł się przez obronę Conana i próbował zamknąć go w mocnym, zapaśniczym uścisku. Cymmerianin wyslizgnął się i kolanem kopnął oberżystę w krocze. Nie spodziewał się jednak, że Vanir uderzy go równocześnie głową w podbródek; cios był tak silny, że przed oczyma barbarzyńcy zawirowały różnokolorowe gwiazdy.

Walczący starli się na środku pokoju, warcząc i sycząc jak tańczące niedźwiedzie, aż w końcu Conanowi rozjaśniło się przed oczami.

Podstawił Otsgarowi nogę, schwycił go za włosy i przerzucił przez biodro. Oberżysta wylądował na brzegu łóżka, pośród sterty zdobionych cekinami kostiumów. Łóżko załamało się pod nim i runęło z trzaskiem.

Otsgar stoczył się ciężko na podłogę.

Podderwał się, klnąc i wymachując drewnianą poręczą, z której po obu stronach wystawały długie, postrzępione drzazgi. Conan uchylił się przed ciosem, i już miał sięgnąć po sztylet, gdy uświadomił sobie, że Otsgar nie dobył swojego. Hańbą byłoby kończyć walkę w gwałtowny i niezbyt uczciwy sposób.

Schwycił prowizoryczną maczugę w pół jedną ręką, drugą zaś ucapił oberżystę za nadgarstek. Nagle otrzymał solidne kopnięcie w brzuch.

Wyprowadzony z pełną siłą kopniak wytracił go z równowagi i pchnął na toaletkę. Z głośnym trzaskiem Conan wgniótł potylicą lustro Zafriti. Butelecзки posypały się na podłogę, roztrzaskując się w drobny mak. Pokój wypełniła mieszanka najróżniejszych woni.

Conan próbował odzyskać równowagę. Zamierzał jak najszybciej zakończyć walkę, gdy wtem coś mu przeszkodziło. Jakiś kształt pojawił się tuż przy nim i chwycił go mocno za rękę, jak rozwścieczony, skrzeczący ptak. Uświadomił sobie, że to tancerka.

- Dość. Precz stąd obydwaj! To moje rzeczy, mój dobytek! Przestańcie go niszczyć, tłuki pięściowe!

W chwilę potem z równą zaciekleścią zaatakowała Otsgara, okładając go swymi małymi piąstkami. - Precz stąd, brzuchata małpo! Dość narobiłeś szkód! Nie chcę widzieć żadnego z was! Wynocha, ale już!

Conan pozwolił wyprowadzić się z pokoju jako drugi - swego przeciwnika zastał czekającego w korytarzu z uniesionymi pięściami, gotowego do dalszej walki.

- Wstrzymaj się, Vanirze! - zawołał unosząc do góry prawą dłoń. - Mam dla ciebie intratną propozycję. - Seplenił przez rozbitą wargę.

- Nie chcę cię skrzywdzić, przynajmniej dopóki nie uczynię cię bogaczem!

Otsgar spojrzał nań gniewnie. - Jakaż to, góralu? Chcesz przyodziać się jak Zafriti w muśliny i bransolety, by towarzyszyć jej w tańcu?

Conan niecierpliwie potrząsnął głową. - Dość sporu o Stygijkę. - Skrzywił się i rozmasował lekko opuszkami palców bolącą wargę. - Choć, jeżeli dasz jej szansę, z pewnością dozwoli ona, by twe dzierzące broń ramię było dobrze wytrenowane. Skończmy jednak na tym naszą waśń. - Zmierzył Vanira przeciągłym spojrzeniem. Oberżysta wciąż miał ręce wyciągnięte przed siebie, a dłonie zaciśnięte w pięści.

- Zawrzyjmy pokój. Mam dla ciebie naprawdę kuszącą i intratną propozycję.

Otsgar znów łypnął nań spode łba i nagle uśmiechnął się, łyskając złotymi zębami spomiędzy kudłów jasnej brody, a z jego ust dobył się głęboki, gardłowy śmiech.

- Dobrze więc! Znów jesteśmy przyjaciółmi! - Podeszedł rażno do barbarzyńcy, wyciągając rękę, by poklepać go po ramieniu.

Conan sprężył się mimowolnie, ale pozwolił tamtemu się zbliżyć. Powoli wyciągnął rękę do zgody.

- Au! - jęknął Otsgar rozcierając obite kłykcie. Sięgnął ręką i dwoma palcami poruszał obluzowanym zębem. - Chyba będę musiał wstawić sobie jeszcze jeden złoty. - Spojrzał na Cymmerianina i znów zaśmiał się rubasznie, po czym wycofał się na bezpieczną odległość.

- Co chcesz mi zaproponować?

Conan rozejrzał się dokoła, zlustrował zamknięte drzwi do pokoju Zafriti i dostrzegł gromadkę kuchtów, którzy na odgłosy bijatyki zebrali się w korytarzu.

- Chcę podzielić się tą informacją tylko z tobą i może jeszcze z Izajabem. A także z Asrafalem, jeżeli wiesz, gdzie go znaleźć.

- Doskonale. - Otsgar odwrócił się i pstryknął palcami na służących

stojących przy wejściu do kuchni. - Nuże, sprowadźcie do mej komnaty tych dwóch ludzi! - Słudzy oddalili się pospiesznie, a oberżysta machnięciem ręki dał Conanowi znak, by poszedł za nim.

Pokój Otsgara, choć niezbyt wytwornie urządzony, był przytulny i wyposażony w meble z ciemnego drewna oraz spiżu. Szerokie, nakryte jedwabiem łoże stało obok toaletki zastawionej mnóstwem należących do Zafriti przyborów. Zamiast okna znajdował się tu tylko otwór wentylacyjny, przez który wpadało rześkie, nocne powietrze. Nalewając do kubków palmowe wino z ozdobnej lakierowanej karafki, Otsgar podał jedno naczynie Conanowi, który siedział na niskim spiżowym zydłu naprzeciw niego i czekał.

Zjawił się Izajab, zaopatrzony w skórzany bukłak z winem. Wydawał się mocno ożywiony. Przybył również Asrafel, a Conan na jego widok odezwał się radośnie:

- Witaj przyjacielu. Zamknij za sobą drzwi. - Wstał ze stołka i z powagą spojrzał na obecnych.

- To, co wam teraz proponuję, powinno być oczywiste dla każdego zawodowego złodzieja. Oto łatwy sposób zdobycia ogromnej fortuny i do tego w miarę prosty. - Wzruszył ramionami. - Wy wszelako, żyjąc tu zgodnie z panującymi w Abaddrah obyczajami, prawdopodobnie w ogóle nie bierzecie tego pod uwagę. Urządzacie wyprawy na złowrogie odludzia, łupiąc prastare grobowce, podczas gdy o wiele większe skarby czekają tu, pod waszymi nosami.

- Masz na myśli plądrowanie grobowców królów i kapłanów Abaddrah? - przerwał Izajab. Obejrzał się przez ramię, aby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte i podjął swój wywód. - Nawet o tym nie myśl! Już ci mówiłem, że są one dobrze strzeżone, tak przez zbrojne straże, jak i przez magiczne zaklęcia...

- Nie, Izajabie. Mój plan jest o wiele śmielszy - odparł ze spokojem Conan. - Wystarczy nam złupić grobowiec obecnego króla Abaddrah, Ebnezuba.

Ciemne oczy Shemity rozszerzyły się. - Ale grobowiec jeszcze nawet nie powstał! Król wciąż żyje!

Conan wzruszył ramionami. - Już niedługo, jeśli wierzyć plotkom krążącym po bazarze. A co ty wiesz na temat stanu zdrowia Ebnezuba?

Izajab patrzył przez chwilę na Conana, po czym westchnął i rozłożył ręce. - Wiem tylko tyle, co szepczą między sobą dworzanie, gdy przychodzą tutaj, by napić się wina. Nałożnica królewska, Nitokar, powoli go truje, tak jak to czyniła wcześniej z jego małżonką. On jednak jest nią tak zafascynowany, że nie zdaje sobie z tego sprawy. - I zapewne pozostanie ślepy, dopóki nie wyzionie ducha! - dodał Asrafel. - Ten chciwy kutwa nie zasługuje na nic lepszego!

- Ależ to szaleństwo! - zjeżył się Otsgar podrywając się z krzesła. - Zapomnijcie o tym idiotycznym pomysle! Zbyt wiele ryzykowałbym porywając się na coś tak szalonego. Przede wszystkim mogłoby mnie to kosztować utratę pozycji w Abaddrah! Cały mój dorobek! Nawet gdyby się nam udało, kradzież na taką skalę musiałaby wywołać moc zamieszania i w całym kraju rozpętałoby się prawdziwe piekło...

- Nie, gdyby pozostała nie wykryta - uciał szybko Conan. - To znaczy, gdybyśmy miast włamywać się hurmem, wynieśli z grobowca skarby ukrytym tunelem, wykutym w tym właśnie celu. Wówczas nikt nawet by się nie zorientował, że cokolwiek zginęło.

Słowa Cymmerianina sprawiły, że Otsgar zamilkł w jednej chwili. Zmarszczył brwi i zamyślony usiadł na swoim miejscu.

Izajab oparł podbródek na dłoni i to uśmiechał się, to znów poważniał, rozważając wady i zalety zarysowanego planu.

- Chcesz powiedzieć, że przygotowujemy sobie pole do działania podczas budowy grobowca, aby ułatwić sobie zadanie - rzekł w zamyśleniu. - To ryzykowna sprawa! Ale przynajmniej nie bylibyśmy obserwowani przez straż cmentarną i nie musielibyśmy się jej obawiać. - Shemita z zapalem poklepał się po kolanie.

- Na pierścień Isztar, włamać się potem do takiego grobowca, to doprawdy pestka! - Przerwał i zaczął zwijać w palcach kosmyki rzadkiej brody. - Ale, jak zapewne wiesz, teren budowy jest ściśle strzeżony, z obawy przed ewentualnymi kradzieżami.

- Mnie się to podoba! - Asrafel poderwał się energicznie na nogi. - Powinniśmy odzyskać skarby, które stary Ebnezub zawłaszczył, okradając uczciwych ludzi jak mój ojciec!

Conan cierpliwie pokiwał głową. - Największym atutem planu jest, że zdołamy dzięki niemu uniknąć potencjalnych pułapek i magicznych zaklęć. W

gruncie rzeczy nie będzie to plądrowanie grobu, w powszechnym tego słowa znaczeniu. Nie ryzykujemy też spotkania z duchami i martwymi z dawien dawna istotami.

Izajab uniósł swój kubek i odezwał się do Asrafela. - Tu obecny Conan to prawdziwy purysta. Nie podoba mu się grabienie trupów, chyba że są to trupy wojów poległych z jego ręki!

Conan pokręcił głową. - To nie tak. Powiedziałbym raczej, że mierzi mnie plugawość starych, cuchnących pleśnią grobowców. W Cymmerii mamy takie przysłowie: duchy zmarłych są jak wino, z wiekiem nabywają mocy. - Skąd pewność, że uda ci się dokonać sabotażu wewnątrz grobowca? - wtracił ochryple Otsgar. - Nawet wyniesienie jednej partii kamieni to zadanie ponad nasze siły. Należy pamiętać przy tym o strażach. Jeżeli odnajdą nasz tunel, wpadniemy w pułapkę jak szczury!

- Tak, to prawda. Nie możemy też wziąć ze sobą wielu pomocników, aby nas nie zdradzili - rzekł pełnym napięcia głosem Izajab, spoglądając nerwowo na drzwi. - Straże cmentarne są diabelnie wprawne, jeżeli chodzi o tortury i traktowanie więźniów.

Conan skrzywił się.

- Wykopanie tunelu wewnątrz grobowca nie powinno być zbyt trudne. Jedynie ściany zewnętrzne zbudowane są z wielkich, dopasowanych kamiennych brył, połączonych zaprawą, węższe ściany w środku buduje się z mniejszych głazów i łamanych kamieni.

Może tak samo będzie w przypadku grobowca Ebnezuba. Zamierzałem wybrać się tam wieczorem i sprawdzić, zanim... zostałem zmuszony zająć się... czymś innym. - Przerwał pocierając tył głowy, obolały po niedawnej utarczce.

- Ale może byłoby lepiej, gdybyś mi w tym towarzyszył, Izajabie. Mógłbyś mnie oprowadzić i opowiedzieć co nieco na temat konstrukcji i zabezpieczeń grobowców.

- Dziś wieczorem... znaczy się... teraz, zaraz? - Cymmerianin skinął głową i Izajab spojrzał niepewnie na Otsgara.

Oberżysta zakręcił trzymanym w dłoni kubkiem, wpatrując się w wirujące na dnie szumowiny. Wyglądał, jakby gorączkowo się nad czymś zastanawiał. Wreszcie uniósł wzrok.

- Właściwie dlaczego nie? Czemu nie mielibyśmy pójść tam wszyscy? - Błysnął do Conana złotymi zębami, wyzierającymi spomiędzy porozbijanych warg. - Jeżeli mamy zdążyć do grobowca Ebnezuba przed nim samym, to lepiej się pośpieszmy.

## VI

### Nocna wycieczka

Shemicka noc kładła się ciężko i leniwie na uliczki na obrzeża miasta. Poniekąd przypominało to Conanowi noce w Stygii i mroczne godziny, gdy wędrował po krainach Południa, gdzie oddawano cześć bogu-wężowi. Tu wszelako wrażenie izolacji i bezruchu było znacznie słabsze. I pomimo ryzykowej wyprawy, na którą wyruszali, słabszy był odczuwany przez nich niepokój. Nad ich głowami kołysały się na wietrze korony palm, pod podeszwami sandałów trzaskały pestki daktyli, po tej stronie rzeki gwiazdy zdawały się mrugać łagodnym blaskiem, a kumkanie żab i granie cykad rozbrzmiewało w niemal idealnej harmonii.

Mimo późnej pory okolica tętniła życiem. Blask kaganków rozświetlał wejścia wytwornych willi przy głównej ulicy.

Z drugiego brzegu kanału dochodziły stłumione głosy i migotliwy blask ognisk. Czasami pojawiali się też przechodnie; wygnani przez wylewającą rzekę bezdomni wieśniacy, kobiety idące szybkim krokiem, wpatrujące się w ziemię, mężczyźni ze stągwiami wody, stanowiącymi ich jedyny majątek. Conan dostrzegł również jaskrawo odzianych zalotników, śpiewających smętne serenady pod zamkniętymi na głucho okiennicami.

- To domy bogatych budowniczych grobowców - poinformował Cymmerianina Izajab.

- Shemickie dziewczęta są dość bezpośrednio w kontaktach z mężczyznami -

zauważył Conan. Boczne drzwi otwarły się, by wpuścić jednego z szarpiących struny harfy muzykantów.

- A jakże! - potaknął Shemita. - Przy niektórych z nich Zafriti może wydawać się prawdziwie skromna i cnotliwa. - Łypnął z ukosa na Conana.

Góral sposepniał nagle i przeniósł wzrok na Otsgara i Asrafela, którzy szli nieco przed nimi, aby nie wzbudzać podejrzeń. - Chyba zbliżamy się do dzielnicy grobowców.

Conan wypowiedział te słowa, gdy ujrzał na drodze w oddali ozdobną, metalową bramę. Mur, w który wpuszczono zawiasy bramy, miał wysokość rosłego mężczyzny, ale zdawał się oznaczać kres krainy żyjących. Z tyłu za nią, w świetle nisko wiszącego na niebie wschodzącego księżyca błyszcząły monumentalne, białe kamienie. Conan na próżno wypatrywał straży i budek wartowniczych. Zdumiał się na widok rozłożonych pod murem kilku bezdomnych.

- Zaiste, jesteśmy na miejscu. Spójrz na nich, czekają w kolejce, by błagać o pracę przy budowie wielkiego grobowca, lub o zezwolenie, by ich zmarłych krewnych czy też ich samych tam właśnie zabalsamowano i złożono na spoczynek.

Izajab zszedł z ulicy, by nie zwracać na siebie uwagi. - Obserwuj Otsgara. - mruknął. - Teraz idź tą samą drogą co on. Tylko dyskretnie.

Conan wszedł w gęste trzciny na brzegu kanału przy drodze. Musiał unosić wysoko nogi, by nie potknąć się o grube pędy. W pobliżu nie było bezdomnych. W pewnej chwili znalazł się na stromym nasypie i po chwili tkwił po pas w ciepławej wodzie.

- Przestańcie się pluskać i chodźcie za mną! - rzucił gniewnie Otsgar do kompanów. Poprowadził ich do załomu muru, który wznosił się o kilka kroków od brzegu zarośniętego sitowiem kanału.

Conan pospieszył za Otsgarem. Ostrożnie stawiając stopy na śliskim, mulistym dnie, wyciągnął rękę, by oprzeć się o mokre, oślizgłe cegły. Pamiętał o krokodylach, których w tutejszych kanałach nie brakowało i uważnie przypatrywał się zalanej księżycowym blaskiem, pofalowanej powierzchni wody.

- Ten kanał ciągnie się niemal tuż obok grobowca Ebnezuba. - Izajab wyszeptał do Conana przez ramię. - Król kazał go wykopać, aby przewozić nim większe głazy, ale poziom rzeki jest dostatecznie wysoki, by go wypełnić nie tylko w okresach wiosennych powodzi.

- Skoro tak mu zależy na wzniesieniu tego mauzoleum, dlaczego robotnicy nie pracują przy nim dzień i noc, bez przerwy?

Izajab nie spieszył się z odpowiedzią. - To pociągnęłoby za sobą ryzyko obrażenia boga Słońca, Ellaela. Zgodnie z shemickimi wierzeniami noc jest nieczysta i po zmierzchu wszelkie prace na świeżym powietrzu są zabronione.

Conan odetchnął głęboko. - Ty najwyraźniej nie podzielasz tutejszych wierzeń - wychrypiał. - Wszak od wielu lat pracujesz wyłącznie nocami.

Shemita wzruszył ramionami, ale jego głos brzmiał teraz trochę mniej pewnie.

- Nie należy lekceważyć pewnych spraw. Noc kryje w sobie wiele niebezpieczeństw, zwłaszcza w dzielnicy grobów.

Conan chrząknął i już bez słowa ruszył dalej. Mur został za nimi, sitowie przeredziło się. Pochylony Otsgar sunął krok za krokiem wzdłuż brzegu. Dał znak pozostałym, by robili to samo.

Po chwili znikł w półmroku pod drewnianym mostem rozpiętym nad kanałem. Conan podążył za nim i niemal w tej samej chwili nieopodal dał się słyszeć głośny, rechotliwy śmiech.

Conan wciągnął Izajaba w cień, gdy na deskach mostu ponad nimi rozległy się głośnie kroki.

Dwaj ludzie maszerowali z niezmaconym spokojem i cierpliwością straży nocnej. Na środku mostu przystanęli, by zamienić kilka słów, po czym oddalili się.

- Straż cmentarna - syknął Izajab. Odczekali, aż zrobi się cicho. Wkrótce zjawił się przy nich Otsgar z niepokojącymi wieściami. - Kanał przed nami jest zablokowany. Jeżeli chcemy dostać się do środka, musimy wybrać inną drogę.

Pod mostem na oleistych falach kołysała się trzciniowa barka, połączona cumą z palikiem wbitym w stromy brzeg. Na rufie barki w kokosowym koszu płonął ogień, wytwarzając wznoszące siew górę kłęby czarnego dymu.

Próba jej obejścia, czy to mielizną, czy głębiną, byłaby zbyt ryzykowna.

W chwilę potem idący wraz z innymi Conan wspiał się na błotnisty nasyp i znalazł się po drugiej stronie grobli, przy kanale. Przeszli przez sitowie i ukryli się w cieniu mauzoleum.

Kamienna budowla była jedną z wielu setek jej podobnych, jak stwierdził Conan, gdy przycupnął pod rzeźbioną narożną urną i wyjrzawszy ponad nią, rozejrzał się dokoła. Cały stok pokryty był alejkami, przy których stały wytworne grobowce, tworząc olbrzymią nekropolię. Pozbawiony wszelkiego ruchu i dźwięków widok, jeżeli nie liczyć piskliwego skrzeczenia nietoperzy krążących po niebie w blasku księżyca, był zaiste osobliwy.

Niektóre budowle miały ściany z piaskowca i wyrastały wprost z kamiennego podłoża, inne utworzone były z brył uformowanych na kształt strzelistych wieżyc i zigguratów. Wiele grobowców zdobiły płytkie, cyzelowane zarysy trelisów i okien, które upodabniały je do domów mieszkalnych, inne były jedynie kamiennymi portalami, osadzonymi w litej ścianie wzgórza i stanowiły zapewne wejścia do przestronnych katakumb. Nie sposób było określić rzeczywistych rozmiarów miasta umarłych, gdyż wąskie ścieżki ciągnęły się od podstawy wzgórza aż do licznych, niknących w oddali parowów.

- I wy mówicie, że nie ma tu czego łupić? - Conan na widok nekropolii aż pokręcił głową ze zdumienia. - Przecież musi tu być ze sto tuzinów grobowców nadających się do ograbienia.

- Tak. Ale są zbyt dobrze strzeżone - odmruknął Otszar. - Niżej, schyl się, bo cię zobaczą! - Pociągnął Conana za rękę, aby opuścił głowę.

- Jeden szybki skok mógłby być opłacalny, ale wracać tu noc w noc po parę nędznych błyskotek byłoby czystym szaleństwem. Chodźmy już.

Otszar ruszył pierwszy, przemykając między mrocznymi przybytkami umarłych. Księżycowa poświata odbijająca się od białych kamieni czyniła złodziei prawie niewidocznymi, gdy cichcem przemierzali posępną domenę cieni. Ich przywódca szedł niespiesznie i z rozmysłem, raz po raz rozglądając się na wszystkie strony. Zachowanie Vanira sugerowało, że wypatruje nie tylko ludzkich straży. Niebawem Conanowi również udzieliła się jego czujność. Kilkakrotnie odniósł wrażenie, że wśród srebrzyście oświetlonych cmentarnych alejek dostrzega jakieś lekkie, prawie niezauważalne poruszenie.

Gdy dotarli wreszcie do końca kanału, ujrzeli przed sobą ogromną, bezkształtną bryłę, wznoszącą się pośrodku rozległej równiny. Wyglądała niczym pałac lub fort, a jej ściany pokryte były rusztowaniami dla robotników i usypanymi z ziemi podjazdami do transportu większych kamiennych głazów..

Ze środka ziemno-drewnianej konstrukcji wznosiły się niemal pionowe mury z jasnego kamienia, odcinające się na tle nieba postrzępionymi, niedokończonymi szczytami. Conan instynktownie wyczuł, że to grobowiec Ebnezuba.

Otszar odwrócił się od nich. - Izajabie, zostaniesz na czatach. Stąd widać dokładnie cały plac budowy. - Wskazał palcem na pozostałych. - Wy dwaj zaczekajcie, aż się oddalę, i dopiero wtedy idźcie za mną.

- Chciałbym, żeby Izajab poszedł z nami - wtrącił Conan. - Jeżeli chcesz zostawić kogoś na czatach, to lepiej niech to będzie gołowąs.

Otszar zmierzył Cymmerianina bacznym, wystudiowanym spojrzeniem. - Jeżeli Izajab wypatrzy straże, zachowa się jak sowa, dając znać, byśmy się ukryli. Asrafelu, potrafisz przekonująco naśladować sowę?

Młody Shemita pokręcił głową z niepewną miną.

- No widzisz. Izajab musi zostać tutaj. A teraz obserwujcie mnie uważnie. - Otszar odwrócił się i baczenie zlustrował rozciągający się przed nim plac budowy. W chwilę potem bezgłośnie wybiegł z ukrycia, i jak przystało na wprawnego złodzieja, popędził zakosami zlewając się z cieniami. Kiedy znikł pod pochylnią z belek, nieco mniej doświadczony Asrafel pospieszył za nim.

Gdy nadeszła jego kolej, Conan przez chwilę się zawahał. Mimo to wiedział, że jeżeli ma wykorzystać ludzi i sprzęt Otsgara, musi traktować go jak swego przywódcę. Wszystko albo nic. Skinąwszy lekko głową do Izajaba, podążył za Otsgarem i Asrafelem.

Przemykając pomiędzy splachciami księżycowego światła, mijał rzędy trapezoidalnych kamieni budowlanych, rozstawionych w równych odstępach na placu. Były duże, niektóre większe od Cymmerianina, a wysokość bynajmniej nie świadczyła o ich prawdziwych rozmiarach. Większość obrobiono dość topornie, ściany pokryte były ziemią i gliną, inne, leżące bliżej mauzoleum, wydawały się wręcz wymuskane i doskonałe. Mijając je, Conan musiał ominąć połać żwiru, który chrzęścił pod podeszwami jego sandałów. Obrobione kamienie układano na rolkach z

drewnianych bali. Przetaczano je po nich do mauzoleum, przekładając na okrągło bale pozostawiane z tyłu pod kamienne bloki z przodu. Niektóre z głazów opasano grubymi sznurami i rzemieniami na podobieństwo uprzęży, aby mogły je ciągnąć liczące dwakroć po dwudziestu ludzi drużyny robotników. Rankiem bez wątplenia bloki wciągnięte zostaną po ziemnych pochylniach i umieszczone na przeznaczonych dla nich miejscach, w ścianach grobowca. Conan słyszał opowieść o potwornej mordździe i śmiertelnych niebezpieczeństwach, towarzyszących wleczeniu kamiennych brył po wąskich ziemnych rampach.

Takie to myśli nawiedziły go, gdy cicho jak kot przemykał przez plac budowy; w chwilę potem przykucnął obok Asrafela u podnóża grobowca, w cieniu drewnianego rusztowania. Otsgar wspiał się nieco wyżej po ziemnym nasypie i teraz dał znak kompanom, by doń dołączyli.

- Nie zapieczętowali jeszcze komory grobowca, ani nie zaczęli znosić do niej królewskich skarbów - zauważył herszt łupieżców, kiedy gołowąs i góral stanęli obok niego na nieheblowanych belkach rusztowania.

- W przeciwnym razie wokół grobowca wystawiono by liczne strażę.

- Wobec tego zjawiliśmy się we właściwym momencie - wtrącił Asrafel.

- Tak. Ale trudno będzie kopać między tymi wielkimi głazami - mruknął posępnie Otsgar nie oglądając się za siebie. - Do usunięcia choćby jednego potrzebowaliśmy ze stu ludzi.

Rzeczywiście, masywny układ wnętrza grobowca sprawiał wrażenie odpornego na wszelkie próby sabotażu. Gdy łupieżcy podeszli do nieukończonych ścian budowli, stwierdzili, że nie tworzą jej drobne łamane kamienie, lecz wielkie, starannie obrobione bloki skalne. Nie spajała ich zaprawa murarska ani kliny, lecz absolutna precyzja i dopracowanie, które w przypadku tego mauzoleum doprowadzone były do perfekcji.

Mężczyźni wspięli się pospiesznie na ukończony fragment muru; na szczycie musieli przejść po ziemnych wałach wzniesionych dla potrzeb budowy.

Na rozgwieżdżonym niebie odcinały się postrzępione szczyty, lewary i dźwigi, w pobliżu stał jeden z wielkich głazów budowlanych. Czekał on tam, gdzie pozostawiono go o zmierzchu - na rolkach z drewnianych bali, unieruchomionych drewnianymi klinami na pochylni. Kamień zostanie przepchnięty jeszcze kawałek w górę, a później zajmie się nim wyciąg.

Conan podkradł się bliżej, usiłując dostrzec, co znajdowało się wśród głębokich cieni. Poza krawędzią murów grobowca ujrzał fragment jego wewnętrznych ścian i korytarzy. Przesłonił oczy od blasku księżyca i nagle usłyszał głośne pohukiwanie Izajaba.

Wycofał się w cień wielkiego kamienia. W chwilę potem z oddali znów dobiegł odgłos kroków i gwar głosów, które zaniepokoiły jego kompanów.

Przykucnięty Conan rozejrzał się dokoła. Otsgara i Asrafela nigdzie nie było widać, może czaili się nieco wyżej na zboczu, przy tym co on głazie. Ale nawet gdyby strażnicy dotarli aż tutaj i zapragnęli spędzić tu pół nocy, trzem łupieżcom nie byłoby trudno przekraść się obok nich i rozpląnąć się bezpiecznie w ciemnościach.

Conan prześlizgnął się w stronę drugiego końca kamiennego bloku. W tej samej chwili usłyszał cichy trzask, po nim drugi, i gdy odwrócił głowę, ujrzał pękające i wypryskujące w górę kawałki drewna. Były to kliny blokujące drewniane kłody.

Jednocześnie dał się słyszeć głośny chrzęst, zgrzyt i łoskot; ogromny monolit zaczął obsuwać się w dół. Conan znajdował się dokładnie na jego drodze. Poczł drżenie kamiennego bloku, a potem ostry ból, gdy przesuwająca się do przodu dolna krawędź, przygwoździła jego kostkę.

Odwrócił się w bok i rzucił w dół zbocza, w jednej chwili uwalniając się od nabierającej prędkości kamiennej masy. Przetoczył się w bok, poderwał na nogi i chwiejnie odskoczył w tył, o włos unikając zetknięcia z lśniącą bryłą kamiennego budulca.

Przyspieszający blok zaczął przechylać się na bok. Najwyraźniej kilka klinów pozostało na swoim miejscu. Conan rozpaczliwie uskoczył w tył, by nie zderzyć się z boczną ścianą osuwającego się głazu. Gdy blok zjechał niżej, Cymmerianin pospiesznie podniósł się z ziemi i zakołysał się na końcach rozchybotanych, obracających się pod jego stopami belek.

Kamień stoczył się z bali i wrył się z impetem w nasyp, wzbijając w górę gęstą chmurę kurzu. Uwolnione od klinów bale sturlały się po stoku. Conan uchylił się przed dwiema belkami, trzecia uderzyła go w pierś, wyciskając nim



powietrze z płuc. Przed oczyma zawirowały mu czerwone plamy. Osunął się na klęczki, chwytając łapczywie powietrze. Gdy odzyskał oddech, gardło miał pełne siarczanego odoru kurzu, ziemi i kamiennego pyłu.

Tuż obok rozległy się dźwięki mosiężnej trąbki. Zaraz potem dał się słyszeć tupot biegnących stóp.

Zanim Conan zdążył się poderwać, odziani w długie szaty mężczyźni schwycili go za włosy i ręce. Widział ich jak przez mgłę, ale jednemu zdołał podbić nogi kopnięciem, a drugiego wyrzwał bykiem w brzuch. Nadbiegli następni, by go pojmać. Istny grad ciosów i kopniaków powalił go na ziemię. Kiedy przestali go kopać i okładać pięściami, Conan leżał na ziemi z rękoma skrępowanymi mocno za plecami. Ktoś wydał rozkaz i kilka par silnych rąk odwróciło barbarzyńcę na wznak. Zamrugał, by dostrzec ciemne kształty majaczące na tle księżycy.

- To ten olbrzym! Łotr z Północy!

- Spójrzcie, jakich szkód narobił ten głupiec!

- Czego tu szukasz? - W ostatnim głosie, najbardziej władczym, pobrzmiwał wyraźny shemicki akcent. Mówiący miał na sobie ciemną pelerynę, a pod nią, jak reszta straży, jedynie przepaskę podtrzymwaną mosiężnym paskiem, ale sądząc po pewności siebie i złotej opasce na czole, mężczyzna musiał być dowódcą.

Nachylił się do Conana; jego oblicze poprzecinane było głębokimi bruzdami zmarszczek nabytych podczas długiego, burzliwego życia.

- Przyszedłeś tu sam? Dobrze się zastanów, zanim odpowiesz!

Conan patrzył w milczeniu na zgorzkniałe oblicze. Nasłuchiwał płynących z innej części dzielnicy grobowców odgłosów pogoni - jednak bez rezultatu, choć jego czujne uszy wychwyciły drobne pluśnięcia dochodzące od strony kanału. Najwyraźniej pozostałym udało się zbiec. Przez chwilę wahał się, czy nie zwrócić im na to uwagi, a może nawet powiedzieć coś więcej, naturalnie za odpowiednio sutą zapłatą. Zmitygował się jednak. Nie, to nie Izajab był winien jego pojmania. Asrafel chyba również nie przyłożył do tego ręki, był wszak jeszcze młody i niedoświadczony. To najpewniej Otsgar spuścił głaz, aby zabić Conana lub oddać go w ręce tutejszej straży. Tę sprawę barbarzyńca postanowił jednak odłożyć na potem i wymierzyć sprawiedliwość osobiście, naturalnie jeżeli pożyje dostatecznie długo.

Strażnicy nie usłyszeli odgłosów płynących znad kanału; poczęli znów pastwić się nad barbarzyńcą, usiłując zmusić go do mówienia.

- Na pierścień Isztar! Założę się, że ten cuchnący dzikus nie zna nawet shemickiego! - Tak. Ale, by najać się do prac przy mauzoleum, docierają tu przybysze z jeszcze odległej szych krain!

- Skąd przypuszczenie, że jest godzien pracować wspólnie z uczciwymi Shemitami?

- Cisza! - wykrzyknął oficer, przeszywając swych podwładnych wzrokiem.

- Słuchaj uważnie, cudzoziemcze! Twoje ciało i dusza są poważnie zagrożone. Jeżeli sądziłeś, że zdołasz przekraść się do kwater mieszkalnych i dołączyć do załóg budowlanych, popełniłeś olbrzymi błąd. Za takie świętokradztwo czeka cię sąd boży! - Zmarszczył brwi i skinął na swoich ludzi, którzy schwycili Conana pod ramiona i podnieśli go z ziemi.

- I co powiesz góralu? - Oficer dwoma palcami ujął Conana za podbródek.

- Co cię skłoniło, by tu przybyć? I co było przyczyną tego niefortunnego wypadku? Mówże. Może dzięki temu ocalisz życie!

W odpowiedzi Conan znów zaczął mocować się z więzami. Wyprostowany przewyższał o pół głowy strażników cmentarnych, którzy rozpaczliwie walczyli, by nie dać się barbarzyńcy strącić ze stromego nasypu. Jedynie dźgając więźnia swymi długimi, zakrzywionymi sztyletami zdołali go w końcu poskromić.

- Dość! To półgłówek albo niemowa! Zaprowadźcie go na wartownię. - Na rozkaz dowódcy strażnicy sprowadzili Conana w dół pochyłego nasypu. Potem pod bronią zaprowadzili go na wartownię, której wcześniej nie widział. Mieściła się na obrzeżach dzielnicy grobowców, na skraju miasta. Znajdowały się przy niej tajnie i strażnica, gdzie przy blasku pochodni czuwało dwóch wartowników. W oddali nad dachami baraków i nędznych lepianek majaczyły masywne mury miasta.

Podczas gdy czterech mężczyzn unieruchamiało skrępowane ręce Conana, a dwaj inni przytykali mu do brzucha czubki sztyletów, oficer władczym krokiem podszedł do bramy wartowni. Conan usłyszał, jak jeden z wartowników rzucił do dowódcy beznamyślnie: - Jeszcze jeden naruszający ustalone zakazy! Czy ma zostać

poddany torturom i nawleczony na pal, jak zwykle?

- Nie, ten zasługuje na nieco inne potraktowanie - wychrypiał dowódca.

- To barbarzyńca z Północy, skądinąd człek osobliwy. Już sam jego wygląd jest... zdumiewający. - Skinał głową w stronę więźnia, a wartownik zmierzył barbarzyńcę baczny spojrzeniem. - Dwór królewski z pewnością zechce wykorzystać go w ciekawszy i bardziej ucieszny sposób. My już z nim skończyliśmy. - Postawiwszy swój znak na woskowej tabliczce, dowódca oddał ją wartownikowi i obrócił się na pięcie.

Wartownik spojrział na Conana w migotliwym blasku łuczywa. - Czy mamy zatem przetrzymać go tu do rana? - rzucił do oddalającego się oficera.

- Nie. Poślij natychmiast po rydwan. - Mężczyzna o smętnym obliczu spojrział na Conana i odwrócił wzrok. - Zresztą i tak wątpię, byście zdołali go tu zatrzymać. On może być naprawdę niebezpieczny.

Conan słuchał w milczeniu; jego oblicze pozbawione było jakiegokolwiek wyrazu. Stojący za nim strażnik zaciągnął mocniej pęta krępujące jego nadgarstki. - Aach! To zbyt łatwe rozwiązanie dla takich jak on, łajdaków! - mruknął. - Nie ma co liczyć, że spotka go zasłużona kara. Nawleczmy go na pal i zostawmy pośród grobowców duchom umarłych! Niechaj one rozprawią się z nim jak należy!

Wtem za plecami Conana rozległ się głos innego strażnika.

- Ech, no i co z tego? Gry dworskie rychło pozbawią go życia. Jego chwile są już policzone.

## VII

### Abaddrańskie wieczory

Obudziło Conana echo rozbrzmiewających pod ziemią krzyków, szurania i łoskotu drzwi do lochów. Obudzenie oznaczało dla niego samo uniesienie powiek, siedział bowiem oparty plecami o ścianę maleńkiej celi. Niekiedy wtulał głowę w zagłębienie w kamiennym murze i ucinał sobie drzemkę, postanawiając oszczędzać siły na to, co gotował mu los. Odpoczywanie nie było proste, bowiem krępujące mu ramiona więzy połączone były z rzemienią pętlą przechodzącą pod jego unieruchomionymi nadgarstkami w górę kręgosłupa, aż do szyi. Gdy próbował rozluźnić ręce, pętla mocniej zadzierzgiwała mu się na szyi.

Mimo to burzliwe życie, zahartowanie w bojach i umiejętność przetrwania w najtrudniejszych warunkach pozwalały mu na krótki, urywany sen. Sądząc po kącie światła wpadającego przez pojedyncze okratowane okno, było już późne popołudnie. Zamrugał, gdy zaczął mu doskwierać palący ból. Bicie strażników osłabiło go, a ponieważ przez cały czas musiał opierać ręce o szorstką ścianę z tyłu, górna połowa jego ciała pulsowała tęnym bólem.

Gdy drzwi do jego celi zaskrzypiały i otwarły się, spróbował przetrzelać się naprzód i stanąć na nogi w pełnej gotowości. Zawiodła go jednak równowaga; znalazł się na klęczkach, zdezorientowany i niemal bezbronny.

Kamienna cela była niska i nie mógł porządnie się w niej wyprostować, by nie wyrznąć głową w łukowate sklepienie. O połowę niższe od niego drzwi zgrzytnęły i do środka na ugiętych nogach wszedł podstarzały strażnik.

- Twoja wieczerza, rabie! - postawił przy drzwiach dwie tace. - Za sprawą hojności naszego króla przynoszę ci wino i udziec z królewskiego stołu. Mam cię rozwiązać, abyś mógł najeść się do woli. Tylko uprzedzam, żadnych sztuczek! - Pokurcz przydreptał do Conana i wyciągnął rękę z krótkim, zakrzywionym sztyletem. - Gdy już zaspokoisz głód, możesz zażyć kąpieli i przyodziać się, by rozpocząć służbę na dworze Jego Królewskiej Wysokości.

Conan niewątpliwie spróbowałby dać staruchowi po łbie i uciec, ale tamten jednym zręcznym ruchem rozciął mu więzy i natychmiast wycofał się do drzwi. Zanim więzień zdołał pozbyć się rzemieni, drzwi znów się zamknęły, a szpetny strażnik szybko zaryglował zasuwę. Wkrótce Conan miał inny powód do zmartwień. Musiał rozmasować bolące piekielnie odrętwiałe ramiona, które po tak długim skrępowaniu dygotały jak w febrze i sprawiały Cymmerianinowi potworne katusze. Kiedy znów odzyskał czucie w rękach, zajął się jedzeniem. Udziec nie opuścił królewskiego stołu nietknięty. Wręcz przeciwnie, był obgryziony niemal do kości. Najwyraźniej, zanim dotarł do barbarzyńcy, musieli go skosztować wszyscy kuchcikowie i cała służba, aż po najpodlejszego chłopca stajennego.

Conan długo przeżuwał pozostałe na kości chrząstki i kawałki tłuszczu, po czym wysłał z udźca zimny szpik. Zamachnął się, zastanawiając się nad użyciem go jako broni, ale kość była zbyt krótka, ciężka i nie dość ostra, by mogła pełnić funkcję sztyletu. Cisnął go precz, by rozmasować bolące ramię.

Na drugiej tacy znajdowała się drewniana misa z wodą oraz czyste odzienie. Conan powąchał wodę i uznał, że jest dość czysta, by się w niej umyć, lecz do picia absolutnie się nie nadaje. Na ile mógł to uczynić w ciasnej więziennej celi dokonał więc pobieżnych ablucji. Jego odzienie zostało podarte podczas walki, i było też ubłocone, bo w celi było brudno, toteż zdjął je i włożył to, co mu przyniesiono - obcisły żupan bez rękawów z zielonego jedwabiu oraz czerwony bawełniany materiał, do owinięcia łądzwi.

Krzykliwe barwy i przeznaczenie jak dla atletów sprawiły, że Conan uznał ten strój za dość dziwny. Postanowił jednak zaryzykować i zatańczyć, jak mu zagrają. Bez wątplenia już wkrótce będzie musiał stawić czoło nieznanym dotąd niebezpieczeństwom, choć nie przejmował się nimi tak bardzo. Więcej czasu poświęcał na obmyślanie planu ucieczki, powrotu do twierdzy Otsgara i tego, co zrobi z owym plugawym zdrajcą, kiedy już dostanie go w swoje ręce. Nie ulegało wątpliwości, że to oberżysta w przemyślny sposób wydał go straży cmentarnej; na tę myśl walnął z całej siły pięścią w otwartą dłoń, mimo bólu, który w ten sposób wywołał.

Przed drzwiami celi powstało jakieś zamieszanie. Gdy odwrócił się w tę stronę, ktoś otworzył je kopniakiem, a strażnik-pokraka zachrypiał:

- Ach, wspaniale! Nasz gość najadł się i przyodział, jak mówi shemickie prawo. Jest gotów wziąć udział w grach dworskich. Pójdź przeto, jak każe nasz władca!

Conan wydostał się z celi szybciej, niż mógłby sobie tego życzyć obleśny staruch, to jednak na nic mu się zdało. Pokurcz ukrył się już za odzianymi w srebrne zbroje strażnikami pałacowymi, tak postawnymi, że z trudem mieścili się we dwóch obok siebie w korytarzu. Czarny człowiek z Keshanu i śniady, kędzierzawy Shemita wyciągnęli krótkie włócznie i wskazali Conanowi drogę, szturchając go grotami, jakby pędzili byka do rzeźni.

Bosy Cymmerianin szedł bez słowa, przygarbiony, bo sufit znajdował się zbyt nisko, jak na jego potężny wzrost. Gdy dotarł do spiralnych schodów, czekało tam na niego dwóch kolejnych strażników. Barbarzyńca posłusznie wszedł na górę, mając świadomość, że tuż przed nim i za nim znajdują się ostre grotki spiżowych włóczni.

W ten sposób przeszedł przez kolejne korytarze i przedpokoje pałacu w Abaddrah, ogromnego gmachu z kamieni i cegły, którego wnętrza zapierały dech. Po drodze napotkał wielu przyodzianych w drogie liberie służących. Na widok Conana usuwali się z drogi z obojętnością lub zniecierpliwieniem na twarzach.

Wreszcie znalazł się przed wysokim, łukowato sklepionym wejściem, przesłoniętym zdobioną cekinami aksamitną kurtyną. Strażnicy zmusili go, by wszedł do środka i wtedy barbarzyńca po raz pierwszy miał okazję ujrzeć dwór królewski w Abaddrah.

Było to wspaniałe miejsce. Po jednej stronie rozległego pomieszczenia wzniesiono podium dla członków królewskiego rodu. Pośród - ku zostawiono wolne miejsce, co pozwalało podziwiać wspaniałą mozaikę podłogi, wzdłuż ścian zaś ustawiono stoły z długimi, drewnianymi ławami. Siedziało tu już kilkudziesięciu shemickich dworzan, kolejni stopniowo wchodzili do komnaty. W pomieszczeniu rozbrzmiewał gwar rozmów, a przy stołach służba hojnie rozlewała wino ze złotych dzbanów.

Conan nie miał czasu by im się przyjrzeć, gdyż zaraz został odprowadzony na bok, do wielkiego, położonego nieco niżej, ogrodzonego murem pomieszczenia, gdzie znajdował się już inny więzień. Śniady Shemita przyodziany był równie krzykliwie i skąpo jak barbarzyńca. Przed murem stali dwaj strażnicy, odwróceny plecami do ściany komnaty. Przepuściwszy Conana przez szczelinę w murze towarzyszący mu strażnicy zajęli miejsca po obu stronach wejścia, dwaj pozostali zaś stanęli przy przesłoniętym kurtyną wejściu do sali.

W jamie nie było siedzeń ani poduszek, toteż Conan przykucnął obok swego kompana. Mężczyzna nie odwrócił się doń, tylko tępo wpatrywał się w przestrzeń. Mimo śniadej cery jego twarz wydawała się szara jak popiół.

Conan odezwał się doń po shemicku. - Zgromadzenie nababów, co?

Spojrzał na strażników, ci jednak w ogóle nie zwrócili uwagi na jego słowa. Shemita nie opowiedział, toteż Conan przeszedł na dialekt stygijski.

- Czy wiesz może, co na dziś dla nas zaplanowali? - Wciąż bez odpowiedzi. Szturchnął lekko Shemitę łokciem. Mężczyzna drgnął gwałtownie, ale łypnął tylko nań spoje łba. Zaraz potem Shemita rozluźnił się i ponownie wbił wzrok w przestrzeń.

Conan chrząknął i odwrócił się od niego. Skóra tamtego wydawała się chłodna i wilgotna w dotyku. Zupełnie jakby cierpiał na gorączkę bagienną lub trawił go dojmujący, paraliżujący strach. Ta druga ewentualność nie wydała się barbarzyńcy zbyt nęcąca, zwłaszcza iż wydawało się, że tamten wie coś, o czym on sam nie miał pojęcia, niemniej starał się zignorować owo niepokojące doznanie.

Pocieszał się myślą, że jeśli zmuszą go do walki z Shemita, pokonanie go nie powinno sprawić mu większych trudności. Rozejrzał się uważnie dokoła.

Dworzanie z Abaddrah wydawali się gadatliwi. Siedzieli za stołami i gawędzili nieprzerwanie, gestykulując przy tym co niemiara, lecz treść ich rozmów nikła w ogólnym gwarze. W przeciwieństwie do tutejszych twardych, ogorzałych robotników i wojowników wyglądali na zniewieściałych i zmanierowanych. Większość z tych ludzi było bledszych niż Shemici, których Conan miał okazję spotkać. Odzienie ich, choć skąpe, wyglądało na drogie i wytworne. Rzecz dziwna, lecz siedzący przyodziani byli skromniej i mniej krzykliwe niż możni. Podczas gdy rozlewający wino pocili się w swych białych bawełnianych tunikach, bo upał tego popołudnia był nad wyraz srogi, ich zasiadający przy stołach panowie byli niemal nadzy. Wiele kobiet od talii w górę nie miała na sobie nic, inne zaś nosiły tylko wąskie paski tkaniny zakrywające piersi, i poza tym obwieszane były drogimi kamieniami. Za wyjątkiem siedzących przy wejściu brodatych mężczyzn w długich szatach, którzy wyglądali na posłów z innego kraju, większość mężczyzn świeciła nagimi torsami, a ich opasłe brzuchy wylewały się ponad skórzanymi pasami kiltów.

Ebnezub, król Abaddrah, nie stanowił tu wyjątku. Rozparty na swoim tronie na podwyższeniu prezentował opasłe, blade cielsko, niczym wywleczone na brzeg krowa morska. Conan rozpoznał jego twarz z monet, które bito w Abaddrah i z tablicy na ścianie lochu, aczkolwiek tamten wizerunek przedstawiał władcę mniej otyłego i bardziej przypominającego istotę ludzką.

Odwrócił się i spojrzał na hebanową płaskorzeźbę ukazującą wysportowanego, muskularnego Ebnezuba, stojącego przed zburzonymi murami miasta; król wymachiwał wielkim toporem nad stosem bezgłowych ciał swoich wrogów. Nie słyszał, by ostatnimi czasy Abaddrah święciło jakiegokolwiek triumfy militarne. Spoglądając z rozbawieniem na spoczywającego na tronie władcę, myślał, że tych heroicznych czynów musiał dokonać dawno temu, naturalnie jeżeli w ogóle ich dokonał.

Teraz Ebnezub siedział jak otępiały i nieobecny, od czasu do czasu tylko ożywiał się, by podyktować coś młodemu pachołkowi, klęczącego u jego stóp z rysikiem i woskową tabliczką. Wypatrując oznak choroby monarchy, poza ogólnym rozleniwieniem, otyłością i wywołanym znużeniem stuporem Conan nie dostrzegł niczego.

Na podium obok króla zasiadała grupka osób uprzywilejowanych. Królowa Nitokar przykuła wzrok Conana silnymi rysami i mocno umalowanymi powiekami. Choć nie była już najmłodsza, należała do najbardziej skąpo odzianych kobiet w komnacie. Nieco skromności dodawał jej zdobiony klejnotami, sięgający niemal do pępka napierśnik.

Królowa siedziała obok Jego Królewskiej Wysokości Ebnezuba, choć w istocie górowała nad nim, gdy odbierała od służby smakołyki, których żądał, i wkładała mu je wprost do ust. Nieco mniejszą uwagę poświęcała dwojgu młodszym członkom rodziny królewskiej, pulchnemu, ciemnoskóremu, wyraźnie rozdrażnionemu chłopcu, rozciągniętemu na sofie u jej boku, i starszej dziewczynie, siedzącej nieco z boku, prawdopodobnie księżniczce lub królewskiej małżonce. Ubrana w opalizującą suknię bez rękawów i wysoki, zdobiony piórami diadem, była szczupłą, olśniewająco piękną i młodą, zapewne ledwie przekroczyła wiek zamążpójścia. Odwróciła wzrok od króla i królowej, wyraźnie znużona lub poirytowana ich rozpustnym zachowaniem.

Siedzący w fotelu po drugiej stronie mężczyzna, wydawał się bardziej władczy i potężniejszy od samego króla. Przyodziany był w długą białą, ozdobioną złotą lamówką szatę i złote sandały. Conan rozpoznał w nim Horaspesa, proroka, o którym tyle mówił Izajab, bowiem widział go i słyszał, jak zwracano się doń poprzedniego dnia. Siedział w lektyce z baldachimem na targowisku i jako kanclerz doglądał zakupu rzeczy potrzebnych przy budowie grobowca.

Choć nie miał olśniewającej sylwetki i pod złotą szatą wydawał się dość pulchny, roztaczał wokół siebie aurę władczości i ożywienia. W jednej dłoni trzymał oznakę swej funkcji, krótką złotą laskę. Nie rozstawał się z nią ani na chwilę, co najwyżej od czasu do czasu odkładał ją na podolek. Na jego bladym, obrzmiałym obliczu rozlewał się dobrotliwy wyraz, a prawie łyśa głowa, której potylicę zdobiły rzadkie kosmyki czarnych kędzierzawych włosów, przez cały czas się poruszała. Obserwował zebranych nieprzerwanie lub pochylał się, by wymienić jakieś spostrzeżenia z królem i królową.

Niekiedy rozmawiał też z siedzącym za nim człowiekiem. Chude, wysokie indywiduum o skórzastej twarzy nachylało się kornie, nasłuchując, ale mężczyzna nie uśmiechał się, ani też nic nie odpowiadał. W przeciwieństwie do pozostałych na podium był uzbrojony w krótką, złowrogo zakrzywioną szablę, zawieszoną u boku na wojskowych rapciach. Conan uznał, iż musi stanowić straż przyboczną i nie ochraniał wcale króla; przypominał sobie, że widział już tę beznamiętną, pociągłą twarz, majaczącą wśród cieni markiz na bazarze, tuż za prorokiem. Teraz mężczyzna siedział za jego plecami i chłodnym wzrokiem przepatrywał tłum.

Gdy Conan patrzył na niego, Horaspes rzucił coś krótko do Ebnezuba, a król pokiwał głową. Z wyraźnym wysiłkiem Jego Królewska Wspaniałość podniósł się na łokciu i machnąwszy tłustą ręką zaczął przemawiać. Początkowo wśród gwaru nie sposób go było usłyszeć, jednak Conan wychwycił kilka słów: - To wspaniałe zgromadzenie... zebrali się moi poddani... słów mego szlachetnego kanclerza Horaspesa. - Po tych słowach król sapiąc ciężko osunął się z powrotem na podium.

Na gest władcy dworzanie rychło się uciszyli, lecz monarcha przemawiał tak krótko, że skończył niemal w tej samej chwili, gdy przestali rozmawiać. Teraz, kiedy w sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał, podniósł się Horaspes. Z uśmiechem na ustach zlustrował tłum, jego biała szata nadawała mu niezmaczoną czystość. Głos miał silny i dźwięczny.

- O moja królowo, olśniewającej urody Nitokar, nadobna księżniczko Anit i ty, księżę Eblisie, synu i dziedzicu tronu królewskiego!

Horaspes przemawiał wytwornym shemickim, czyniąc co pewien czas stosowne pozy. - Szlachetni dworzanie i lojalni słudzy miasta-państwa Abaddah, posłuchajcie mych słów. - Wyszczrzył się do słuchających i unióśł obie ręce w górę, modlitewnym gestem.

- Jego Królewska Wysokość król Ebnezub, władca Abaddrah, wita was na tym przyjęciu, wydanym na cześć naszych dostojnych sojuszników, szlachetnych emisariuszy miasta Eruk!

Szerokim gestem wskazał grupę cudzoziemców w powłóczystych szatach, siedzących w towarzystwie rubasznych, sprośnych kurtyzan przy stole obok króla.

- Życzcie im jak najlepiej, mieszkańcy Abaddrah! Pomieszczenie rozbrzmiało głuchymi okrzykami i brzękaniem pucharów. W końcu Horaspes unióśł do góry prawą rękę i hałas ucichł. - Jego Królewska Wysokość w swej łaskawości zezwolił swemu pokornemu słudze, Horaspesowi, wygnaćcowi i byłemu stygijskiemu kapłanowi - tu przemawiający dotknął lekko dłonią piersi - poprowadzić dzisiejszą, jakże radosną uroczystość. Jestem ci za to dozgonnie wdzięczny, o Dostojny, a Łaskawy Królu! - Skłonił się nisko nieruchomemu królowi, po czym znów odezwał się do zebranych. - Już za parę chwil rozpoczniemy naszą tradycyjną rozrywkę. Potem podadzą posiłek, który oby nam smakował.

- Później zaś - Horaspes przerwał, a jego oblicze spoważniało - dla wiadomości naszych drogich przyjaciół z Eruk opowiem o czyhających na nas wszystkich zagrożeniach. Niektórzy to już zapewne słyszeli, niemniej obawiam się, że inni mogą być wciąż nieświadomi groźnych cieni, jakie kładą się na naszych żywotach, naszym dobytku, naszych duszach. Przeto raz jeszcze podzielę się z wami moją przepowiednią. Conana zdziwiły wypowiedziane przez Horaspesa słowa. Dostrzegł w nim nagłą, osobliwą przemianę. Zlustrował twarze dworzan dokoła, pociemniałe teraz za sprawą zapadającego zmierzchu. Kilka osób zachowało obojętność, większość jednak patrzyła na proroka z przejęciem lub potakiwała bezgłośnie, kiwając głowami.

- Najpierw jednak szlachetni mieszkańcy Abaddrah, nasza rozrywka, a potem posiłek! - Horaspes znów wypogodził twarz. - Dostojni goście, rozpoczniemy nasze tradycyjne gry dworskie!

W tej samej chwili uczucie zagrożenia wyrugowało z umysłu Conana wszystko inne. Wcześniejsza próba zapanowania nad lękami nie powiodła się do końca i poczuł pod sercem ukłucie niewidzialnego, zimnego jak stal ostrza. To głupie, zmitygował się. Po wielekroć stawiał czoło rozmaitym przeciwnikom i

nawet w boju nie odczuwał lęku. Czemu miałby bać się właśnie teraz? Mimo to poczucie nieznanego sprawiło, że włoski na jego karku zjeżyły się.

Rozejrzał się dokoła, przyglądając się strażnikom. Cała czwórka dyskretnie obserwowała kamienną nieckę, oczekując na najmniejszy, nieostrożny ruch. Drugi z więźniów, przykucnięty przez cały czas w tym samym miejscu, wpatrywał się w dal, odruchowo zacierając ręce na wysokości kolan.

Zaczęło się ściemniać i służący zapalili kaganki. W ich świetle Horaspes wskazał ręką ogorzałego cudzoziemca, który wszedł do komnaty tym samym co wcześniej Conan wejściem.

- Dziś wieczorem królewskim mistrzem jest znów Khada Khufi, słynny wojownik ze świątyni w Vendhii. Oto on! Nadchodzi!

Słowa Horaspesa wywołały burzę braw, którymi zebrani powitali nowo przybyłego.

Nagie, znaczone tylko przepaską biodrową śniade ciało lśniło od oliwy. Był krępy, dobrze zbudowany i muskularny, za wyjątkiem krótkiego kosmyka włosów na potylicy czaszkę miał gładko ogoloną. Pod pachami niósł dwa duże wiklinowe kosze. Dotarł do końca wolnej przestrzeni pośrodku komnaty i pochylił się, by postawić je na posadzce. Następnie ukląkł na jedno kolano i skłonił się przed królem.

- Przeciwnikami Khady Khufiego są ci tutaj ochotnicy. Pierwszy z nich to Elan, twardy pasterz kóz ze wschodnich gór.

Dwaj strażnicy weszli do otoczonej murem niecki. Jeden z nich stanął za przykucniętym więźniem i silnym szarpnięciem zmusił go, by się podniósł. Conan wyprężył się, chcąc zaprotestować, ale drugi strażnik zastąpił mu drogę i wymierzył włócznię w splot słoneczny. Zauważył, że dwaj pozostali strażnicy ustawili się w gotowości za nim, toteż zastygł w bezruchu.

Strażnik rąbnął Shemitę w plecy na wysokości nerek drzewcem swej włóczni, zmuszając do wyjścia na salę.

Gdy mężczyzna znalazł się w kręgu stołów, powitały go gromkie okrzyki. Wydawały się dziwnie nie na miejscu, zważywszy na obojętną postawę więźnia. Conan zaś przeniósł wzrok na Khadę Khufiego, aby zbadać, co jest przyczyną takiego wybuchu wesołości u zebranych. Vendhianin otworzył jeden ze swych koszy i sięgnął do środka, po czym wstał i odwrócił się do widzów. Brawa przybrały na sile.

Khada Khufi stał z rozłożonymi szeroko rękami, a wokół jego ramion wiły się dwa wielkie węże. Zapaśnik zaciskał mocarne palce na zielonkawo-czarnych, łuskowatych cielskach gadów, tuż za ich trójkątnymi łbami.

Były to pytony bagienne. Conan wiedział, że gady nie są jadowite. Miały jednak iście imponujące rozmiary; grubością dorównywały muskularnym przedramionom zapaśnika, a swą długością przekraczały jego wzrost. Wiły się leniwie w uścisku Vendhianina, przesuwając swe oleiste cielska po jego ramionach, a z ich paszcz wysuwały się czarne, ruchliwe, rozdwojone języki. Conan patrzył, jak mężczyzna o cynamonowej skórze unosi węże do twarzy, gładząc je pieszczotliwie i całując. Po chwili znów rozłożył ręce i uniósł je wraz z Wężami do pozycji bojowej.

Elan został pchnięty przez towarzyszącego mu strażnika. Ktoś wcisnął mu do ręki krótką, spiżową, najeżoną guzami maczugę, ale broń zwisła bezwładnie w dłoni mężczyzny.

Na pierwszy rzut oka widać było, że Shemita jest śmiertelnie przerażony. Szedł jak na ścięcie. Jakby poddał się przed walką.

Kiedy zbliżył się do Vendhianina, węże na rękach zapaśnika zaczęły odwracać łby i spoglądać na niego. Strażnicy eskortujący więźnia wycofali się. Mimo to, jakby za sprawą jakichś mrocznych czarów, więzień przeszedł jeszcze kilka kroków, zanim niezdecydowanie przystanął pośrodku galerii.

Khada Khufi zaczął powoli, bezszelestnie podkradać się naprzód. Z ugiętymi w kolanach nogami i sztywno wyprostowanym kręgosłupem, gdyż gady były dość ciężkie, przesuwał się naprzód, a łby węży kołysały się na wysokości oczu ofiary. Odległość między zapaśnikiem a wężem zmalała do kilku kroków. Wreszcie ten, którego nazywali Elanem, zareagował. Z jego gardła dobył się ciężki, drżący jęk. Rzucił niezdarnie pałką w nogi Khufiego i odwrócił się, by uciec. Jego prześladowca z niespodziewaną zwinnością przeskoczył nad rzuconą pałką i dwoma szybkimi susami dopadł uciekającego. Wtedy też całe jego ciało wyciągnęło się do przodu i w dół. Niczym czarna błyskawica powietrze przecięła ciemna smuga i z głośnym trzaskiem jeden z węży uderzył Shemitę w plecy, oplatając jego szyję i

ramiona.

Wnętrze komnaty przeszył głośny wrzask więźnia, który pod ciężarem węża zatoczył się do przodu. Nie przestał jednak biec, lecz przyspieszył kroku, usiłując uwolnić szyję od czarnych splotów.

Co nieuniknione, wpadł na jeden ze stołów. Dwaj strażnicy zastąpili mu drogę, by nie dopuścić go do siedzących przy stołach dworzan, lecz ich działania okazały się zbędne. Khada Khufi, choć bosy, już doganiał swoją ofiarę. Jego ciało raz jeszcze wyprężyło się w łuk.

Tym razem wąż odwinał się z jego ramienia jak bicz, ogon pozostał w dłoni zapaśnika, a przednia część gada owinęła się wokół kostki Shemity. Silnym szarpnięciem Vendhianin zbił Elana z nóg i nieszczęśnik runął na wyłożoną mozaiką posadzkę, wijąc się w opłotach dwóch gadów.

Na próżno się szamotał. Aż żal było patrzeć. Wił się i skręcał, wydając wysokie, przenikliwe wrzaski. W miarę jak pierwszy pyton coraz bardziej wzmacniał uścisk na jego szyi, a dźwięki stawały się coraz cichsze. Jadowite czy nie, węże były groźne, a zaopatrzone w długie zęby szczęki rozdzierały i szarpały ciało ofiary, podczas gdy muskularne cielska miażdżyły uwięzione w uścisku członki.

Stojący opodal Khada Khufi, z rękoma splecionymi na piersi, spokojnym wzrokiem zlustrował zdumione twarze dworzan, po czym omiótł spojrzeniem podest. Na dyskretny sygnał władcy zapaśnik rozłożył ręce i ukląkł przy ofierze. Cierpliwie wsunął dłonie pomiędzy zaciskające się sploty gada i głowę Elana. W chwilę potem jego barki naprężyły się potężnie i dał się słyszeć głośny trzask. Pasterz targnął konwulsyjnie nogami ostatni raz i znieruchomiał. Ebnezub raczył okazać swe miłosierdzie.

Dworzanie przez chwilę wymieniali spojrzenia. Byli jak urzeczeni. Po chwili zaczęli gromkimi okrzykami nagradzać zwycięzcę. Aplauz narastał coraz bardziej. Khada Khufi pokłonił się na wszystkie strony, podczas gdy Horaspes stanął na podium, aby znów zabrać głos.

Conan usłyszał jak siedząca przy pobliskim stoliku chuda kobieta w pierzastym diademie na głowie zwróciła się do swego przyjaciela. Mówiła głośno, by mógł ją usłyszeć mimo hałasu.

- O tak, wolę zapasy od walk z bronią. To takie... nieapetyczne. Nie cierpię rozlewu krwi! W tym momencie Conan nie potrafiłby powiedzieć, o czym właściwie myślał - miał w głowie mętlik i szumiało mu w uszach. Przeciągnął się i znów dały mu się we znaki obolałe i zdrętwiałe kończyny. Koniuszki palców przeszywało mu upiorne mrowienie, barki i uda miał jak odrętwiałe.

- Tak oto mistrz naszego władcy znów zaprezentował swój kunszt - rzekł Horaspes, niemal krzyżąc, by można było go usłyszeć w panującym dokoła hałasie. - Turniej jednak trwa, mamy bowiem jeszcze jednego śmiałka! To bezimienny barbarzyńca ze skutej lodem krainy na Północy! Powiedziano mi, że przewyższa naszego czempiona dzikością i wzrostem! Khada Khufi przygotowuje się na jeszcze trudniejszy sprawdzian swych umiejętności. Wystąp, śmiałku!

Na te słowa dwaj strażnicy odstąpili od ściany i koląc go w plecy grotami włóczni, zmusili Conana, by wyszedł na galerię. Barbarzyńca obrócił się na pięcie, odbijając ich spiżowy oręż w bok, choć przypłacił to lekkim draśnięciem przedramienia. Spiorunował ich wzrokiem. Strażnicy widząc dzikość w jego spojrzeniu stanęli jak wryci i opuścili włócznie. Barbarzyńca odwrócił się gwałtownie, minął trzeciego strażnika i wyszedł z kamiennej niecki. Wzrok wszystkich padł na niego. Szczególnie ciepło patrzyła na niego królowa Nitokar, która opierając się na ciele małżonka wyszeptwała coś do ucha Horaspesowi. Dworzanie spoglądali na Conana ze zdumieniem lub jawną pogardą; gdy postąpił naprzód, dały się słyszeć głośne śmiechy i szepty.

Khada Khufi nakrył oplecione wężami ciało pasterza derką i odciągnął na bok. Spojrzał na Conana i otaksowawszy go wzrokiem, uniósł wieko drugiego kosza i nachylił się nad nim. Gdy się wyprostował i odwrócił, od strony widzów rozległ się pomruk ekscytacji.

Tym razem ramiona zapaśnika nie były tak silnie obciążone, lecz nie ulegało wątpliwości, iż jego brzemień jest bardziej zabójcze niż poprzednie. Vendhianin trzymał bowiem w dłoniach dwie czerwone żmije, legendarne krwawe pętle ze wzgórz afgulijskich. Górale powiadali, że po ich ukąszeniu człowiek nie zdąży nawet zmówić ostatniej modlitwy do Erlika, by zapewnić swej duszy bezpieczne dotarcie do raju.

Węże nie były dłuższe od ramion, które oplatały, a na naoliwionej skórze

zapaśnika wyglądały jak delikatne koralowe bransolety. Mimo to nawet Khada Khufi traktował je z przesadną ostrożnością; trzymał je mocno palcami tuż za głową i nie odważył się ich ucałować, jak wcześniej pytonów.

Tymczasem Conan przeszedł przez środek galerii po spiżową maczugę porzuconą na posadzce po poprzednim pojedynku. Nie odrywając wzroku od zapaśnika, pochylił się, by ją podnieść. Broń była niezbyt przydatna, nie miał szans trafić nią przeciwnika w głowę lub ciało, ze względu na zasięg jego ramion, przedłużonych przez cielska żmij, a trudno powiedzieć, czy udałoby mu się powalić go jednym celnym rzutem. Mimo to postanowił z niej skorzystać.

Przyjawszy niską pozycję, jak kot szykujący się do skoku, Conan zbliżył się do Khufiego. Widzowie aż westchnęli w głos, zdumieni tym przejawem śmiałości, której zapewne dotąd nie przejawiał żaden „ochotniczy” uczestnik gier dworskich. Wojownik z węzami odwrócił się od koszy i derki, którą narzucił na trupa swego pierwszego przeciwnika. Stał naprzeciw Conana rozkładając szeroko ramiona, jak do jadowego uścisku, a jego posępne oblicze wykrzywił pogardliwy grymas.

Conan tanecznym krokiem rzucił się naprzód i jał uderzać swą pałką, z boku na bok, mierząc w łby żmij i potężne pięści, które je trzymały. Vendhianin uchylał się zwinnie, skręcając całe ciało lub cofając ręce, by znaleźć się poza zasięgiem ciosów. Wtedy Conan przypadł nisko do ziemi i okręciwszy się wokół swej osi, rąbnął zapaśnika z obrotu pałką w goleń.

Uderzenie nie było miażdżące i wojownik z węzami zamrugał tylko powiekami, mimo to cios go rozwścieczył, na co wskazywały wydymające się gwałtownie skrzydełka jego nosa. Conan zwinnie poderwał się z ziemi, ale zapaśnik wprawnym ruchem wyrzucił do przodu rękę, chłoszcząc żmiję jak biczem; karmazynowy pocisk z ociekającymi jadem zębami pomknął ku szerokiej piersi Cymmerianina.

Jedynie instynkt, bo ani szybkość, ani zajadłość nie mogły go ocalić, uchronił Conana przed ukąszeniem węża; musiała to być również zasługa jego przemyślnego planowania każdego posunięcia. Kiedy barbarzyńca odwrócił się w pół kroku, jego metalowa pałka uniosła się już, by odbić w bok lecącego ku niemu gada. Cios pałki odbił szkarłatną smugę od jego gardła i zmienił tor jej lotu, kierując ją do jej właściciela. W ostatniej chwili Conan wypuścił również maczugę, unikając ukąszenia w dłoń przez rozwścieczoną żmiję.

Widząc gada owiniętego wokół maczugi i zmierzającego jak burza w jego kierunku, Khada Khufi rzucił się w bok, dając popis swych umiejętności akrobatycznych i zdradzając szacunek wobec swej śmiertelnie groźnej broni. Nie wypuszczając z dłoni drugiej żmii przetoczył się przez bark. Z tyłu za nim pałka uderzyła w posadzkę i wraz z owiniętą wokół niej żmiją wtoczyła się pod jeden ze stołów. Siedzący na ławkach dworzanie podnieśli krzyk i rozpięchli się na wszystkie strony, usiłując uniknąć zetknięcia z kłami gada.

Tymczasem zwinny zapaśnik poderwał się na nogi i unióśł rękę ze żmiją wysoko, tak do ataku jak i do obrony. Nie zdążył jednak zrobić z niej użytku, za sprawą szybkości barbarzyńcy, który rzucił się naprzód i w dwóch krokach znalazł się tuż przy nim. Conan zacisnął dłoń na karku Vendhianina i stanął za jego plecami. Następnie napał na przeciwnika, by zbić go z nóg. Jedną rękę zacisnął na szyi zapaśnika, drugą zaś schwycił za nadgarstek dłoni, w której Vendhianin trzymał zabójczą żmiję.

Conan daremnie starał się utrzymać chwyt na śliskiej, naoliwionej skórze przedramienia zapaśnika i równocześnie nie dać się ukąsić ruchliwemu gadowi. W tej sytuacji zacisnął mocniej przedramię na jego grubej szyi. Równocześnie to odchyłał się w tył, to uchylał się na bok przed atakami żmii, której łeb wciąż tkwił zaciśnięty kurczowo w wielkiej, brązowej pięści zapaśnika.

Dopiero, gdy pojedynek przerodził się w bezprecedensową walkę o przetrwanie, w której wszystkie chwytaki są dozwolone, a przeżyć mógł jedynie silniejszy, Conan zaczął odczuwać skutki swego niedawnego uwięzienia. Jego ręce zrobiły się ciężkie i bezwładne nie tylko pod wpływem bólu, który podczas swego burzliwego, pełnego trudów i znoju życia nauczył się ignorować, lecz za sprawą ostatniej nocy i poranka, spędzonych w uciążliwych warunkach, w więziennej celi, do której wtrącono go, skрэpowanego.

W innej sytuacji mogłoby pokonać wszelkie przeciwności samą tylko siłą swej nieposkromionej wściekłości. Czyż nie gruchotał karków równie grubych i muskularnych jak ten, w bojach i pojedynkach, kiedy prawie ich nie widział, bo oczy zaćmiewała mu czerwona mgła barbarzyńskiej furii? Teraz wszelako nie



potrafił odnaleźć sił w obolałych, zdrętwiałych ramionach i omdlewających barkach. Podczas gdy szkarłatna śmierć raz po raz syczała mu tuż koło ucha, coraz bardziej zbliżając się do jego gardła, z ledwością mógł utrzymać chwyt na szyi przeciwnika. Czuł się na wpół przegrany, niczym pechowy wilk, którego wziął na rogi rozsierzdzone bawół.

Widzowie wyczuli to. Gdy druga żmija została przebita włócznią przez jednego ze strażników, dworzanie z miejsca się uciszyli, a niedawny hałas zastąpiły stłumione szepty i westchnienia. Setka pełnych napięcia twarzy obserwowała pojedynek zapaśników, oczekując śmierci, która wydawała się nieunikniona. Władca i jego świta patrzyli jak urzeczeni. Tylko Afrit z odrazą odwróciła wzrok. Król Ebnezub uniósł się nawet na łokciu, aby nie przeoczyć błysku zębów jadowych żmii, który oznaczać będzie koniec walki.

Conan czuł, że pod głodnymi spojrzeniami zaczyna tracić zdobytą na wstępie przewagę. Naoliwione, naprężone barki i szyja Khady Khufiego prężyły się i skręcały w jego rozpaczliwym uścisku.

Na szczęście Vendhianin nie mógł wypuścić żmii. Najwyraźniej zapaśnik nie dysponował odtrutką na jej jad ani na oślepiającą ślinę. Zjedną ręką opuszczoną i unieruchomioną przez duszący chwyt Conana, zapaśnik drugą musiał poświęcić wyłącznie na kontrolowanie zabójczej żmii.

Gad był wyraźnie rozjuszony walką. Jego paszcza zamykała się i otwierała raz po raz, ukazując długie blade zęby i ściekające z nich krople. Przezroczysty jad skapując na skórę Conana wywoływał na niej bólace, zaczerwienione pęcherze. Pokryte czerwoną łuską prężne cielsko gada odwinęło się z ramienia Khufiego i szamotało teraz w jego uścisku jak błyszczący od krwi, chłoszczący gniewnie na prawo i lewo biczą.

Nagle Vendhianin z impetem rzucił się naprzód i naprężył barki, usiłując przełamać chwyt barbarzyńcy. Conan poczuł, że jego ręce ześlizgują się po wydzielającej piżmowy odór, naoliwionej skórze zapaśnika, ale w tej samej chwili otrzymał swą kolejną szansę, gdyż ogon węża przeciął powietrze na wysokości szyi świątynnego wojownika.

Conan sięgnął oburącz, by schwycić wijącego się jak w ukropie gada, który musnął właśnie bark Vendhianina. W chwilę potem zmienił chwyt, krzyżując nadgarstki na wysokości nasady karku Vendhianina. W zaciśniętych kurczowo dłoniach ścisnął spory kawałek gadziego cielska, zadzierzgniętego mocno wokół szyi jego przeciwnika, jak cynobrowy sznur dusicieli.

Zapaśnik postąpił żwawo kilka kroków naprzód, wlokąc za sobą nie stawiającego oporu Conana, zanim zdał sobie sprawę, co się stało. Kiedy, trzymając wciąż łeb węża nieruchomo tuż przy swojej głowie, zaczął skręcać się i wić, usiłując się uwolnić, było już za późno.

Przyjawszy nową pozycję Conan zrobił użytek z mięśni, które do tej pory odpoczywały. Mocniej zadzierzgnął „garotę” na szyi Vendhianina.

Khada Khufi w przypływie szału wypuścił żmiję ponad ramieniem, w nadziei, że zdoła ona dosięgnąć barbarzyńcy. Gad jednak nie miał teraz zbyt dużego zasięgu, a Conan zyskał już znacznie większą swobodę i mógł uchylić się przed jego zabójczymi szczękami. Udręczony wąż nie kłapał już dziko żabami jadowymi, był cały napuchnięty i nie ruszał się.

Twarz Vendhianina również zaczęła ciemnieć i puchnąć. Coraz słabiej szurał stopami po płytkach galerii, podczas gdy Conan podciągnął go w górę i do tyłu w zabójczym uścisku dusiciela. Chrapliwy szept oddechu wydostającego się ze ściśniętego gardła ucichł zupełnie, wargi poruszały się jeszcze w bezgłośnych przekleństwach, a dłonie na próżno sięgały do tyłu, usiłując pochwycić bezlitosnego przeciwnika.

Twarz Conana, choć dotykała niemal jego barku, wydawała się zapaśnikowi niedosięga i niemal równie poczerniała z wściekłości, jak jego własna. Cymmerianin skoncentrował swe wysiłki na szamocącej się w ostatnich podrygach ofierze. Zmuszał swe obolałe dłonie i nadgarstki, by wytrzymały jeszcze kilka chwil, wiedział bowiem, że od tego zależy jego ostatnia nadzieja na zwycięstwo.

Mimo to, przez opary czerwonej mgły zasnuwającej wzrok dostrzegł kątem oka, jakieś poruszenie. Straże postąpiły naprzód, unosząc włócznie i przeniosły wzrok na królewskie podium, jakby oczekiwały rozkazów władcy. Czy mogą pozwolić, by ich znakomity zapaśnik zginął z rąk jakiegoś cudzoziemskiego przybłądy?

Conan obrócił się, unosząc szamoczące się ciało Khufiego nad sobą, w stronę dwóch zbliżających się strażników i królewskiego podestu.

Władca i jego świta patrzyli na niego ze zdumieniem, nawet młoda Afrit

nie mogła się powstrzymać i też spoglądała na barbarzyńcę spod oka. Oblicze Horaspesa sposępniało, najwyraźniej mężczyzna był zawiedziony przebiegiem pojedynku. Wargi królowej Nitokar jednak wykrzywił lekki uśmiezek, kiedy zżywieniem jęła szeptać coś królowi na ucho. Ebnezub energicznie machnął ręką i w tej samej chwili strażnicy wrócili na poprzednie pozycje.

Trudno powiedzieć, czy Vendhianin zobaczył, jak się wycofywali, czy po prostu utracił wszelką nadzieję. Oczy wyróciły mu się w oczodołach, ale jeszcze przez chwilę szamotał się, zajadłej niż kiedykolwiek do tej pory. Wypuścił z dłoni zwiotczałe już ciało żmii i spróbował wbić palce obu rąk pod napięty, pokryty czerwoną łuską sznur, wrzynający się w jego szyję. Bez powodzenia. Jego palce były zbyt grube. Nie zdołał zerwać dławiącej go gadziej pętli, nie zdołał też rozerwać zaciśniętych kurczowo, pobielających z wysiłku kłykci barbarzyńcy.

Tymczasem uwolniona z uścisku zapaśnika żmija odzyskała nieco swych niespożytych sił. Tępy gadzi mózg wyczuwał być może olbrzymie napięcie w niższych partiach ciała, kły wysunęły się na powrót z torebek zębowych i trójkątny łeb jak błyskawica przeciął powietrze. Conan patrzył ze zgrozą na atakującego gada. Nie był w stanie obronić się przed żmiją, gdyż obie ręce miał zajęte, a nie chciał rozluźnić dławiącego chwytu na gardle Vendhianina.

W chwilę potem sprawa się rozstrzygnęła. Łeb czerwonej żmii skręcił nagle w bok i jej zęby jadowe pograżyły się w uchu Khady Khufiego.

Gdy żmija ukąsiła zapaśnika, którego pociemniałe oblicze wykrzywione było w grymasie niewysłowionej udręki, jego usta rozwarły się w bezgłośnym, przeciągłym krzyku. Piana wystąpiła mu na wargi. Targnął konwulsyjnie całym ciałem, uwalniając się z uścisku Conana, który z odrazą odepchnął go od siebie. Ogon gada był nadal owinięty wokół grubej szyi Vendhianina, małżowina uszna mężczyzny nabrzmiała już od jadu niczym wielki szary, trujący muchomor. Khada Khufi uniósł jedną rękę, usiłując uwolnić się od zdradliwego gada, postąpił dwa kroki naprzód i padł na twarz. Wylądował ciężko na mozaikowej posadzce i w chwilę potem skonał, nie wydawszy z siebie już więcej żadnego dźwięku.

## VIII

### Prorok zagrożenia

Kiedy galeria rozbrzmiała gromkimi okrzykami, Conan stał strudzony i czujny pośrodku placu walki, zastanawiając się, jakie teraz mogły czekać nań zagrożenia. Strażnicy zakłuli żmiję, przyszpilając ją włóczniami do ciała Khufiego. Słudzy pospiesznie wywlekli nakryte derkami zwłoki i dwa puste wiklinowe kosze. Conan nie potrafił przewidzieć, czy nagrodą dla zwycięzcy będzie wolność, śmierć, czy coś bardziej makabrycznego.

Oszołomiony zmęczeniem i wypełniony wściekłością ujrzał, że od strony podium zbliżają się doń dwie uśmiechnięte służki. Były młode, ładne i odziane w krótkie wełniane tuniki. Szły, kołysząc zalotnie biodrami. Ujęły go za ręce i poprowadziły w stronę końca sali.

Idąc czuł na sobie przenikliwy wzrok lśniących, czarnych jak węgiel oczu królowej Nitokar. Jak sądził, to za jej sprawą był obecnie wiedziony ku podwyższeniu. Pozostali członkowie rodziny królewskiej spoglądali nań z łagodnym zainteresowaniem i tylko Horaspes łypał nań z wyraźnym rozdrażnieniem. Służki nie przyprowadziły jednak Conana do królowej, lecz do niskiego stolika przed podium, gdzie usadowiły go na miękkich poduszkach, opodal gości z Eruk. Stół znajdował się zbyt daleko od królewskiej sofy, by móc prowadzić swobodną rozmowę, przeto gdy tylko Conan rozsiadł się wygodnie, Nitokar jęła go po królewsku ignorować.

Ku ogólnej ucieście zebranych podano posiłek. Zjawili się słudzy niosąc na wielkich złotych tacach owoce, chleb i ser. Tace szybko opustoszały, gdyż siedzący na ławach biesiadnicy nakładali je na swoje talerze garściami. Następnie na stoły wjechały srebrne misy pełne sosów i puddingu; goście rzucili się na nie ochoczo.

Na koniec do sali wtoczono wielki spiżowy rydwan, gdzie nad paleniskiem gorejących, czerwonych węgla zawieszono na łańcuchach dymiące jeszcze cielsko wielkiego odyńca. Został on pokrojony i rozdzielony przez sprawnego, niemal nagiego mistrza kuchni, który, gdyby nie shemickie rysy twarzy mógłby uchodzić za starszego brata Khady Khufiego.

Na stół posłów trafiały lepsze kaski. Conan, przepłukawszy nieprzyjemne wspomnienia niedawnej walki dzbanem wina jał czym prędzej uzupełniać zapas nadwątlnych sił mięsiwem, chlebem i owocami.

Służki pozostały przy nim, choć mówiły niewiele, a jadły jeszcze mniej. Przez większość czasu pieściły go i rozmasowywały obolałe, naciągnięte podczas walki muskuły.

Siedzący blisko Conana jeden z koźlobrodych posłów z leżącego na północy Eruk wydawał się dość rozsądny. Barbarzyńca spróbował powitania w dialekcie kothyjskim, którego jak sądził, miejscowi nie powinni znać.

- Witaj, sąsiedzie. Niezła biesiada, co? Zda mi się, że ten tam, co wymachuje tasakiem do mięsa, walcząc z dzikim odyńcem, mógłby stawić czoła całej armii odzianych w zbroje Argosańczyków!

Emisariusz, który miał już niezłe w czubie i obłapiał jakąś rudowłosą dziewczkę, podążył za spojrzeniem Conana i roześmiał się.

- O tak. Wydaje mi się, że sam wysadził go z siodła w boju raz czy dwa. - Odwrócił się, by zerknąć na Conana i zmrużył powieki. - Ale ty nie Kothyjczyk, może pochodzisz z Nemedii?

- Z Cymmerii.

- A, góral. Cóż, pięknie się spisał, Cymmerianinie, przyznaję. - Uniósł puchar w uroczystym salucie, rozlewając wino na lewo i prawo. - Powiadam, dzielnie się sprawiłeś, pokonując tego diabła ze wschodu i jego węże! Choć miejscami było to, jak na mój gust, trochę zbyt barbarzyńskie. Taki pokaz byłby nie do pomyślenia pod - czas uroczystej biesiady w mym rodzinnym Eruk! - Zlustrował siedzących dokoła dworzan i ponownie przeniósł zmętniały wzrok na Conana.

- Zakładam wszelako, żeś nie walczył tu dzisiaj własnej woli. - Conan pokręcił głową. - Nie. Pojmano mnie, gdym wałęsał się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Posel chrząknął. - Ach, te południowe obyczaje... Obejrzał się przez ramię na królewskie podium, gdzie trwała zażarta dyskusja między parą królewską a przywódcą emisariuszy.

- Jednak, jak mówi powiedzenie, kiedy jesteś w Abaddrah... Wzruszył ramionami. - I co teraz stanie się z tobą?

Conan zmarszczył brwi i wychylił się ku niemu jeszcze bardziej, zerkając na dziewczki, aby upewnić się, że nie przysłuchują się rozmowie.

- Nie mam pojęcia - wyznał. - Chyba zaproszono mnie do stołu dzięki łaskawości królowej.

Posel uniósł brwi i roześmiał się. - Przeto życzę ci szczęścia! Conan przysunął się do tamtego tak, że niemal dotykał koniuszków jego kręczonej brody. - Dlaczego? Co o niej wiesz?

- Jest słynną rozpustnicą. To żadna tajemnica, wystarczy na nią spojrzeć. - Przeniósł wzrok na leżącą u boku króla Nitokar w skąpym, wyzywającym przyodziewku.

- I, jak mi powiedziano, nie ma co obawiać się jej małżonka. Stan jego zdrowia coraz bardziej się pogarsza, toteż nie w głowie mu teraz przejmowanie się niewiernością połowicy. - Posel mrugnął znacząco do Conana. - Ale mimo to byłbym ostrożny. Ostrzegano mnie, że lubi dość brutalnie zabawiać się z młodymi mężczyznami i że szybko się nimi nudzi.

Conan przyjął to ze spokojem. - A co z plotką, że jest trucicielką, zabiła poprzednią królową, a teraz chce w ten sam sposób zgładzić króla?

Na te słowa posel gwałtownie odwrócił się do Conana plecami. Nie wyglądał na zdziwionego, lecz spojrzawszy niepewnie na puchar i odstawił na stół. Jego życzliwa dotąd postawa, efekt działania wina, znacznie się oziębila.

- Jakże ci się wydaje, że ambasador z dalekiego kraju może wiedzieć cokolwiek na ten temat, wszak to wewnętrzne sprawy rodziny królewskiej. Jeśli to prawda, podejrzewam, że stanowi ściśle strzeżony sekret i - tu posępnie zmarszczył brwi - lepiej nie wywlekać tak groźnego tematu publicznie. Conan pokiwał głową. - Ale jeszcze bardziej niebezpiecznie jest go ignorować, - Posel zamrugnął potakująco, ponownie omiół wzrokiem jadło i napoje, ale nie wziął już niczego do ust. Conan uznał, że więcej już z niego nie wyciągnie i powrócił do towarzysztwa dziewczek służebnych.

Masując jego muskuły rozmawiały w prostym dialekcie shemickim. Conan objął je ramionami i zaczął podszcypywać, ku ich rozbawieniu. Nie posunął się jednak zbyt daleko, gdyż coś innego przykuło jego uwagę.

Kanclerz Horaspes zszedł z podium i ruszył na środek galerii.

Mijając stół posłów pozdrowił ich szarmanckim gestem, a Cymmerianina jawnie przy tym zignorował. Szedł pewnym, dumnym krokiem dzierżąc w dłoni krótkie berło, którym się wcześniej bawił.

Pośrodku sali ponownie odwrócił się strone ambasadorów i rodziny królewskiej. W ciszy, jaka zapadła, rydwan z resztkami dziczyzny wytoczono z sali. Większość służących opuściła galerię, zostało tylko kilku nalewających wino gościom. Horaspes odczekał, aż zrobi się całkiem cicho i wtedy przemówił:

- Królu i królowo Abaddrah, i wy cudzoziemscy goście! Nadszedł czas, bym spełnił jeszcze jedną ze swych wcześniejszych obietnic. Nie pragnę bynajmniej zanudzać uszu tak zacnej kompanii religijnymi kazaniami - uśmiechnął się, szeroko rozkładając ręce - i nie uczynię tego. - Opuścił ręce do boków, jakby ten niemiły temat uważał za zakończony.

- Mimo to jesteście ludźmi szacownymi, świadomymi władzy i odpowiedzialności, otrzymanej z rangi urodzenia, i każdy z nas żywo zainteresowany jest jej utrzymaniem, a także, jeżeli to możliwe, rozszerzeniem. Jesteście wierni naszemu królowi i shemickiemu stylowi życia. Ja również niedawno przybyłem do tego kraju.

Tłum gości odpowiedział pomrukiem potwierdzenia, w którym zabrzmiała być może również nuta ulgi, że monolog nie będzie miał wydźwięku religijnego.

- My, w Shemie, mamy przywilej dysponowania najgłębszą wiedzą, jaką posiada ludzkość. Poganie z północy i południa mogą wciąż oddawać cześć obłudnym, nędznym bożkom o imionach równie osobliwych i plugawych jak ich poczynania. - Erlikowi, Gwahlruowi, Orthyxowi, Gromowi... Prorok wymawiał obce sylaby powoli i z wyraźnym obrzydzeniem, co wywołało wybuch rechetliwego śmiechu u wszystkich. Tylko Conan spojrział na kapłana zimnym, bezlitosnym wzrokiem.

- Tu, w kolebce wiedzy, rozciągającej się majestatycznie po obu brzegach wielkiego Styksu, odkryliśmy i okiełznaliśmy prawdziwe moce rządzące wszechświatem, dwóch mocarnych bogów, których wieczny konflikt kształtuje przeznaczenie człowieka w tym życiu i w zaświatach.

Są nimi ukochany bóg - Słońce, spośród imion którego, tu, w Abaddrah, najbardziej czcimy Ellaela, i Seta, Nieśmiertelne Nemezis, którego przeraźliwymi inkarnacjami są szakał i wąż. Jednemu oddajemy cześć, drugim zaś pogardzamy, wszelako wiemy, że to ich odwieczna walka kształtuje porządek wszechświata.

Nasi mędrcy, dzięki swej głębokiej wiedzy, wytrwałej obserwacji niebios i stuleciom nauk w akademiach kapłańskich, zdołali wreszcie rozróżnić wspaniały porządek życia boskiego i śmiertelnego; od wielkich bogów poczawszy, poprzez pomniejsze bóstwa, które z łaski niebios władają nami na tym padole - tu mówca skłonił się nisko w stronę króla Ebnezuba - wreszcie przez moźnych, aż po najniżej urodzonych śmiertelników, którzy nam służą, oraz zwierzęta domowe.

Owo objawione nam prawo naturalne jest cudownie proste w swojej naturze. Dzięki światłu jego wiedzy podążamy za Ellaelem, głosząc jego wiarę, aby na tej ziemi i w innym życiu mogły szerzyć się dobro, prawda i sprawiedliwość. - Horaspes przerwał z namaszczeniem, rozkładając szeroko ręce. I nagle dobrotliwy uśmiezek zniknął z jego ust. Kapłan opuścił ręce wzdłuż boków. - W tej sytuacji trudno jest wyjaśnić wielką tragedię naszych czasów: dlaczego ci, co mieszkają na południe od rzeki, na terenach wielkiego imperium Stygii, mieliby oddawać cześć mrocznym siłom, podlegającym zniechęconemu Setowi!

Słowa proroka spotkały się z pomrukiem konsternacji ze strony zebranych. Wkrótce jednak prorok zaczął mówić dalej. - Jako Stygijczyk i były zakonny akolita oraz wygnaniec z tej krainy nocy często musiałem odpowiadać na te pytania. Jakież to złowrogie spalenie natury sprawić może, że cały kraj oddaje cześć złu? Jakaż plugawa moc sprawia, że Set ma tak wielką władzę nad tym krajem?

Horaspes machnął rękami, jakby przeganiał coś, co go dręczyło.

- Nie odważę się odpowiedzieć na te pytania wprost, gdyż moje wierzenia różnią się od tych, które wyznają moi krajanie. Może dlatego, że błędzą, nie mając, jak my tutaj, dzielnego i prawego władcy. Kiedy bowiem kapłani silną ręką wspierają rządzących, ich połączona władza jest zaprawdę wielka, tak wielka, że nawet wielki naród drzeń może przed zagrożeniem, jakie stanowią!

Nie potrafię zgłębić mroczniejszej strony stygijskiej nikczemności. Ujrzawszy ogrom ich zła i plugawości, wyparłem się onych bluźnierstw i, by ocalić mą duszę, umknąłem do bardziej przyjaznego kraju.

Mogę wam powiedzieć z doświadczenia, że ich oddanie złu jest równie

głębokie i szczerze, jak nasze poświęcenie dobru. Ich wiedza i arkana są równie zaawansowane jak nasze, a na dodatek poświęcili się oni zgłębianiu tajników sztuk, które my w Abaddrah potępiamy i których paraniem nigdy byśmy się nie zhańbili.

Wiemy wszyscy, jak silną dysponują armią i bogactwem, a jednak władcy Shemu nie obawiają się ich zanadto. W każdym razie nie lękają się ich tak bardzo, jak powinni. - Spojrzał posepnie na posłów z Eruk. - Tak się składa, że obecnie mamy pokój między tymi dwoma imperiami i niektórzy mogą uznawać ów stan za chwalebny. - Skrzywił się, jakby dając do zrozumienia, że ma na ten temat odmienne zdanie.

- W ten czas pokoju wiedza niezłomnie idzie naprzód. We wszystkich krainach hyboryjskich nie ma królestwa, które dorównywałoby nam w dziedzinie metalurgii i kamieniarstwa. Medycyna kwitnie jak nigdy dotąd. Kapłani Ellaela odkryli nowe techniki balsamowania zmarłych wielmożów i innych szlachetnie urodzonych, aby zapewnić ich duszom bezpieczną drogę w Zaświaty. Dzięki zdobyciom nowoczesnej nauki każdy szlachcic w tej sali może podążyć ku wieczności z całym swym dobytkiem, żywym inwentarzem i służbą, w nadziei, że zaskarbi sobie wysokie miejsce w świetlistej domenie Ellaela i będzie mu służył po wsze czasy z radością i oddaniem!

Pomyślcie jednak, moi współwyznawcy w wierze, czy zajmując miejsce wśród naszych czcigodnych przodków, będziemy w stanie zachować swoje wysokie pozycje i prerogatywy? Musimy być dobrze przygotowani, drodzy przyjaciele, i niezłomni w postanowieniu, by zdobyć w Zaświatach równie silną władzę jak ta, którą posiadamy tutaj.

Oto czas niepokojów społecznych, buntu i wypierania się prastarych ideałów. W tych chwalebnych czasach każdy podstarzały kupiec stawia dla siebie mauzoleum, gdzie gromadzi wszystkie swoje dobra na drogę w Zaświaty. Nawet najpodlejszy biedak jest w stanie uciuć grosz do grosza, by zapłacić za tania mumifikację i zebranie niedużego zapasu żywności w swej patetycznej nadziei na osiągnięcie Zaświatów. Wszyscy oni pragną wieczności. Czy nasze przygotowania powinny być zatem wspanialsze i wystawniejsze od innych?

Nigdy dotąd nie dysponowaliśmy równie wielką wiedzą w dziedzinie inżynierii i administracji. Potrafimy budować forty, które są w stanie oprzeć się atakom całej armii, i grobowce, które przetrwają całe tysiąclecia. Shemici, musimy wykorzystać te umiejętności, by zdobyć dla siebie miejsce w Zaświatach. Pamiętajcie, Ellael kocha silnych!

Pamiętajcie, w porównaniu z wiecznością ten świat jest niby jedna kropla wody wobec ogromu Styksu. Naszym jedynym celem na tym świecie winno być przygotowanie się do podróży w Zaświaty. Jeżeli dzięki należnym wydatkom możemy zapewnić sobie, ba, zaskarbić nawet pozycję po śmierci, czyniąc inaczej, popełnilibyśmy wielki błąd!

- Wstrzymaj się, kapłanie! Słowo, jeżeli łaska - rozległ się głos kogoś znajdującego się obok Conana. - Powiadasz Proroku, że te marne ziemskie problemy zabieramy ze sobą na tamten świat? - Mówiącym był poseł z Eruk, z którym Conan zamienił kilka słów przy wieczerzy. Przemógł swą niechęć i wątpliwości wobec wina, i teraz, gdy wychylił kolejne kilka pucharów, jego ochrypli, władczy głos stał się jeszcze donośniejszy: - Gdzie napisane jest o tym na świętych tablicach? Według mnie, Zaświaty to miejsce harmonii i pokoju dla ludzi, którzy jednoczą się w promieniach łaski Ellaela.

- Czcigodny pośle, pozwól że ci odpowiem... - zaczął Horaspes.

- Nie, kapłanie! Chcę dokończyć, com zaczął. - Ochrypli głos wysłannika zagłuszył słowa kapłana. Poseł odtrącił dłoń jednego ze swych kompanów, który kładąc rękę na jego ramieniu próbował go uciszyć.

- Jeżeli twoim zamiarem jest, by królestwo Eruk włożyło wszystkie swe bogactwa w budowanie fantastycznych grobowców i mauzoleów, oddając je w ręce stetryczających kapłanów, wiedz, że tracisz czas! Mamy wiele innych potrzeb, wymagających...

Kiedy poseł z Eruk ciągnął swój wywód, Horaspes podszedł do stołu z przeciwnej strony, zbliżając się do Conana. Prorok szybkim ruchem nachylił się ponad niskim, marmurowym stołem i jakby uspokajająco położył dłoń na ramieniu wysłannika. Mężczyzna gniewnie uniósł wzrok i nagle osunął się ciężko na poduszki. Horaspes zaś z przejściem wyszeptał mu prosto w twarz.

- Bracie mój, pojmuję, że trawi cię moc różnych wątpliwości. Upraszam cię jednak, abyś zachował spokój. Wkrótce wszystko wyjaśnię i zaspokoję twoją

ciekawość. - Machnął drugą ręką, w której trzymał krótką pałkę, w stronę zebranych. - Jest jeden dowód, jaki 'j mogę ci dać, dzięki któremu prawdziwie zwą mnie Prorokiem.

Mówiąc te słowa Horaspes nie rozluźnił uścisku na ramieniu emisariusza, który stał się dziwnie cichy i spokojny. Conan wyczuł coś osobliwego w milczeniu sąsiada i już miał ruszyć mu z pomocą, gdy dwie dziewczki słuźebne, które tuliły się doń, w przypływie przerażenia wywołanego widokiem Horaspesa wczepiły się w jego ramiona tak, że kompletnie go unieruchomiły. Zanim zdołał się ich pozbyć, kanclerz już się wyprostował i puścił posła.,

Eruka już się nie srożył. Tęnym, szklistym wzrokiem wpatrywał się w kapłana. W miejscu, gdzie dotknął go prorok, powyżej kołnierza długiego płaszcza podróżnego, gdzie ramię stykało się z ogorzałą od słońca szyją, Conan dostrzegł - a przynajmniej tak mu się wydawało - biały odcisk dłoni, jak ślad pozostały po wyjątkowo silnym ściśnięciu. Zaraz jednak mężczyzną zajęli się jego towarzysze i rudowłosa kurtyzana, a on sam najwyraźniej stracił chęć do dalszej wymiany zdań z Horaspesem. Kapłan tymczasem odwrócił się do zebranych.

- Abyście mogli dzielić ze mną prawdę prorocstwa, poprosiłem mego pomocnika Nefrena i jego niewolnicę, by zapalili w tej sali wonne kadzidła.

Na jego gest do galerii wszedł wysoki, szczupły, uzbrojony w miecz pomocnik zakonnika wraz z młodą słuźką. Oboje dzierżyli w dłoniach dymiące kadzielnice. Ruszyli wolnym krokiem pomiędzy stołami, trzymając w jednym ręku dziurkowane złote klatki, drugimi zaś, zaopatrzonymi w papierowe wachlarze, majestatycznymi ruchami kierowali skłębione, szare opary ku siedzącym na ławkach widzom. Conan zauważył, że na użytek króla rozpalono osobną kadzielnicę, ustawioną na podeście za jego tronem.

Kiedy chudy jak kościotrup Nefren go minął, Conan znów poczuł na widok tej beznamietnej bladej twarzy falę nieprzeparanej odrazy i począł machać ręką, by odegnąć od siebie wijące się jak węże opary dymu. Woń jednak, kwaśna i ostra zarazem napływała ze wszystkich stron, wdzierając się w nozdrza barbarzyńcy. Natychmiast zakręciło mu się w głowie, i odniósł wrażenie, że w oświetlonej blaskiem kaganków sali pojawiły się różnobarwne błyski.

Gdy pomocnik i słuźka wypełnili swoje zadanie, Horaspes podszedł do szerokiej, pustej ściany po drugiej stronie galerii. Uniósł w górę laskę. Służyła ona najwyraźniej również jako rysik, bo kapłan zaczął pisać nią na ścianie. Znaki miały krwistoczerwoną barwę i wyglądały jak faliste, charakterystyczne pismo używane na terenie Shemu.

Kiedy prorok skończył, Conan na próżno przyglądał się wyrytemu na ścianie słowu, dopóki nie usłyszał, jak jedna z dziewczek słuźebnych przeczytała je cichym głosem - Jazarat - wyszeptwała. Dzień zguby, o ile Conan był je w stanie przetłumaczyć. Dźwięk odczytywanych sylab rozbrzmiał wśród dworzan zebranych w galerii, niczym szum trzciny nad rzeką, poruszanych pierwszymi, zwiastującymi rychłą burzę podmuchami wiatru.

- Nie lękajcie się, krajanie - oznajmił Horaspes - gdyż nie objawię wam wszystkiego, co widzi me wewnętrzne oko. Oszczędzę wam najgorszego. Teraz patrzcie na te znaki, studiujcie je i zgłębiajcie ich znaczenie.

Chudy jak szczapa Nefren podszedł do ściany i wyprostowawszy się na swą pełną nienaturalną wysokość zgasił wiszące na niej kaganki. Gasił kolejno gorące knoty gołą ręką, nie okazując przy tym żadnych oznak bólu. Conan zauważył, że światło na galerii jęło przygasać, a mimo to napis wykonany przez Horaspesa stał się jeszcze wyraźniejszy, odcinając się jaskrawo na tle bezbarwnej ściany.

Wbrew sobie on też wpatrywał się w litery z przejęciem.

I nagle ujrzał, że litery zaczynają falować i kołysać się, wijąc się jak czerwone żmije, z którymi walczył wcześniej tego wieczoru. Krótkie włoski na jego karku stanęły dęba.

W chwilę potem karmazynowe znaki rozbłysły przed nim i rozprysły się, jak płonące liście, rozrzucone nagłym podmuchem wiatru. Ich zniszczenie zdawało się oznaczać równoczesny rozpad kamieni, z których zbudowana była ściana, lecz stało się to kompletnie bezgłośnie. Przez tak powstały postrzępiony otwór barbarzyńca mógł ujrzeć skąpane w słońcu pejzaże zmieniających się co chwila krain. Rozlegające się dokoła okrzyki zdumienia świadczyły, że pozostali w komnacie również widzieli te cuda; spojrzawszy przez ramię na strażników, których sylwetki były na wpół oświetlone jaskrawym światłem - ci wszelako stali nieruchomo i beznamietnie, niewzruszeni tym nienaturalnym wyłomem w formacjach obronnych pałacu. Zapewne zdawali sobie sprawę, że znajdują się w mocy czarów.

- Oto, szlachetni panowie, monument, jaki potrafiemy wznieść, bastion niezłomny z kamieni, ciała i krwi, triumfalne świadectwo zdolności władcy do zjednoczenia swych poddanych - symbol tego wszystkiego, co czcimy i szanujemy u wszechmocnego władcy.

Kiedy Horaspes przemówił, unoszący się w powietrzu kurz, przesłaniający mistyczny portal, rozwiął się, a Conan ujrzał przed sobą cudowną scenę, skąpaną w oślepiającym blasku słońca. Mimowolnie spojrział na okna galeryjki, aby potwierdzić, że za nim wciąż trwa noc, gdyż przed sobą miał scenę rozgrywającą się w upalny, słoneczny dzień. Poczł gorącą, pustynną bryzę i usłyszał dobiegający z oddali gwar głosów. O strzał z łuku od królewskiego podium grupa niewolników ciągnęła po piasku na drewnianych włóknach wielki głaz. Uszu Conana doszedł ich rytmiczny śpiew i trzask bata nadzorcy, w nozdrza uderzyła go słaba, choć wyczuwalna woń spoconych ciał. Jeżeli już człowiek pogodził się z cudem, że noc mogła nagle obrócić się w dzień, a miasto w pustynię, prezentowana scena przedstawiała całkiem pospolity obraz prac budowlanych. Prawdziwym cudem natomiast był widoczny w tle grobowiec, ku któremu niewolnicy ciągnęli głaz. Trójkątna ściana gigantycznego ziguratu, rozszczepiona była pylonami łukowatego wejścia wysokości dwudziestu ludzi, sklepienie łuku było właściwie na ukończeniu. Na odległych, pochyłych ścianach i rusztowaniach robotnicy uwijali się jak mrówki, a ich poczynaniami kierowały słabo słyszalne dźwięki trąb. Conan rozpoznał niektóre elementy grobowca Ebnezuba. Czy mogła to być ta sama budowla, tuż przed ukończeniem prac? Forma przywiodła mu na myśl mniejsze monumenty, które widział na wschodzie, w stygijskim Khemie.

- Tak to wygląda, każdego dnia, teraz i w przyszłości. Pokorna, oddana praca w niezmordowanych przygotowaniach do wejścia do innego świata. Ich wysiłki są powolne i żmudne, ale właściwie wykorzystane. - Horaspes stanął w blasku bijącym z otworu i machnął ręką, na co dał się słyszeć głośny szum i chmury pyłu, które pojawiły się znikąd, przesłoniły pustynny pejzaż.

Wzbiły się wysoko, aż południowe niebo poczerniało jak w nocy, piasek zaś jał wpływać do galerii, w której zebrali się dworzanie. Nagle wiatr ustał. Kurz opadł.

- Kiedy tak oddanych ludzi spotyka śmierć - oznajmił kapłan - nie jest to dla nich tragedią, lecz triumfem. Tak zasiewane jest ziarno następnego życia.

Tym razem niebo było ciemniejsze, scena przedstawiała kondukt pogrzebowy. Ukończona już ściana piramidy różowiła się w blasku świtu, wielkie bramy były otwarte na oścież, znajdujące się po ich obu stronach przedmurza wyglądały jak łapy sfinksa. W stronę grobowca zmierzał nie mający końca kondukt żałobników, rydwanów oraz poddanych, pragnących złożyć ostatni hołd odchodzącym. Na tle różowozłotego horyzontu odcinały się ozdobne trumny wiezione na lawetach i tłumy bogato odzianych krewnych oraz świta. Niewolnicy dźwigali zawiniątka pełne mających trafić do grobowca przedmiotów oraz miedzianych naczyń; uzbrojone straże prowadziły stada wołów i krów. Powietrze drżało od gwaru głosów, przepełnionych żalobną nutą, acz stanowczych. Powiew chłodnego porannego powietrza omiół policzek Conana. - Tak oto oddany lud służy swojemu władcy i swoim bogom. Żadne żądanie nie jest zbyt wygórowane, z pracy każdego człowieka trzy piąte trafia w Zaświaty. Posiadamy dość bogactwa i jest nas tak wielu, byśmy temu podołali, jeżeli tylko bada po temu chęci. Zadanie nie przerasta naszych umiejętności rzemieślniczych, i jak wam już wspomniałem, bracia, dzięki usprawnionej sztuce balsamowania wszyscy i każdy z osobna może zdobyć sobie łaskę nieśmiertelności. - Horaspes przerwał i odwrócił się, by spojrzeć na czarnoksięski pejzaż. Gdy to uczynił, szepty podziwu i uznania rozlegające się w sali zastawiły pełne niepokoju pomruki.

Przed grobowcem bowiem, w czarodziejski sposób ukazana została zebrany nowa grupa żałobników - kapłani akolici w czarnych kiltach. Jedni jęczeli sunąc naprzód w osobliwie przygarbiony sposób, podczas gdy ich bracia w wierze chłostali ich nagie plecy ogonami żywych węży.

Ich przywódca był chudy, ogolony na łyso mężczyzna w masce szakala. Śpiewał ochryplym głosem, w którym pobrzmiwały obce akcenty, jakąś prastarą pieśń, a w uniesionych do góry dłoniach trzymał rzeźbiony symbol w kształcie skrzyżowanych łbów szczerzących zęby węży.

- Kapłani Seta! - w sali rozległy się gniewne szepty. - Stygijczycy, bodaj będą przeklęci! - W istocie, Conan rozpoznał ich bez trudu; widywał Stygijczyków podczas swych wędrówek na południe.

Horaspes ponownie odwrócił się do zebranych, na jego twarzy malowało się

rozgorzyczenie.

- Zaprawdę, oczy was nie mylą, zacni Shemici. Wizje bowiem, które wam pokazuję, nie przedstawiają przyszłości, lecz teraźniejszość, nie pomocne rejony rzeki, lecz południowe. Tak właśnie, moi przyjaciele. Wiedźcie, że Stygijczycy od dawna już znają sekret nieśmiertelności i kultywują te same co my praktyki! Podczas gdy my przygotowujemy się radośnie, by służyć naszemu bogu, oni także się szykują. Pracują posępnie i z oddaniem ku chwale Nemezis.

Kapłan odczekał chwilę, by jego słowa dotarły do zebranych", po czym mówił dalej. - Przyjaciele moi, wiecie że darem proroka jest znać przyszłość i ja wam ją ukażę! Spójrzcie, bracia, oto dzień, który jest już bliski, lecz trudno jeszcze powiedzieć, kiedy dokładnie nastąpi! Bądźcie wszelako pewni, iż chwila jest bliska!

Na gest Horaspesa kurz znowu gwałtownie, niczym cyklon, uniósł się w górę, przesłaniając scenę pogrzebu wirującymi, rozszalałymi kłębowcami piasku. Wreszcie kurz opadł, nie do końca jednak, gdyż scena pozostała dziwnie rozmyta, jakby przyćmiona. Z zachmurzonego nieba na połać szarego, pocętkowanego piasku spływała blada, burzowa poświata. Był to niemal ten sam krajobraz co poprzednio, lecz wielki grobowiec odcinał się na tle nieba ze znacznie bliższej niż wcześniej odległości. Po niebie przesuwały się skłębione, burzowe chmury. Prócz niego nic się nie poruszało. W zasięgu wzroku nie było zwierząt ani ludzi, a gigantyczna budowla wyglądała na opuszczoną i zapomnianą.

Do uszu zebranych dobiegł dźwięk, z początku tak słaby, że prawie niesłyszalny. Głęboki jęk z wolna przybierał na sile, aż w końcu przerodził się w ogłuszający łoskot, przetaczający się przez połacie pustyni aż do pałacowej galerii. Był to dźwięk jakby wielkiej, niewyobrażalnej w swym ogromie trąby.

Wtem Conan zdał sobie sprawę, że dźwięk ów wydawały wrota wejścia do mauzoleum, które powoli otwierały się na oścież, dygocąc i skrzypiąc na nienaoliwionych zawiasach. Spiżowe skrzydła bramy rozwarły się, nie popychane przez żadną widzialną rękę, ciemności za nimi bowiem nie przenikało osobliwe światło pustyni. Wreszcie metalowe drzwi uderzyły o flanki kamiennej, wielopoziomowej fasady grobowca, a donośny, przenikliwy brzęk ucichł po dłuższej chwili. Spojrzenia wszystkich utkwione były w czarną czeluść wejścia, z której dał się słyszeć metaliczny turkot toczących się rydwanów bojowych, ciągniętych przez rumaki o ognistych ślepiach. Kierowali nimi posępni łysogłowi stygijscy szlachcice i wojowniczy kapłani, wymachujący w powietrzu postrzępionymi sztandarami ich imperium. Rumaki o rozwianych grzywach wydawały się upiornie wychudzone pod zbrojnymi rzędami; podobnie zresztą wyglądali ich woźnice, których oblicza miały przesadnie ostre rysy, jakby skóra na kościach ich czaszek została zbyt mocno naciągnięta. Mimo to rydwany bojowe potoczyły się z impetem naprzód, ich koła obite metalem lśniły od powbijanych w piasty ostrzy i wirujących sierpowatych broni.

Za rydwanami podążały kolumny stygijskiej piechoty. Uzbrojeni w długie piki o prostych i hakowatych grotach żołnierze maszerowali z niemal nadludzką werwą i wigorem. Do końca pochodu było jeszcze daleko, bowiem, jak dostrzegł Conan, za Stygijczycami z wnętrza piramidy śpieszyli łucznicy i konnica.

Wylewające się z czeluści grobowca potoki demonicznych wojowników ruszyły jak burza do boju z nieuzbrojonym tłumem. Słyszac dobiegające od strony pobliskich stołów coraz głośniejsze okrzyki zdumienia, Conan spostrzegł, że bezradnymi ofiarami Stygijczyków byli ludzie noszący fryzury i stroje Shemitów. Niektórzy z nich wolno, jak we śnie odwracali się, usiłując umknąć przed pogromem, inni dobywali mieczy, pragnąc się bronić, wszyscy jednak bez wyjątku wpadali pod koła rozpędzonych rydwanów, lub ginęli usieчени przez piechotę lub jazdę konną. Była to odrażająca w swej plugawości rzeź prawych synów Shemu. Tych co ocaleli i trafili do niewoli czekał los gorszy jeszcze od śmierci. Brodaty mężczyzna, odziany dostojnie i noszący się wyniosłej od innych, uniósł ceremonialny topór gubernatora prowincji i dumnie stawił czoła wrogom, by paść w kałuży krwi, rozplątany ostrzami stygijskich rydwanów; na widok ten dworzanie zareagowali jękami smutku i gniewnymi pomrukami.

- Spójrzcie uważnie, o szlachetni panowie! - Horaspes odwrócił się plecami do upiornej sceny, pozwalając, by inni obejrzel ją do końca. - To co widzicie dzięki memu darowi przepowiadania przyszłości, to wizja Wielkiego Dnia, przyszłości, która może nastąpić i nastąpi, jeżeli Shemici jej nie zapobiegną! - Wykonał krótki gest swoim rysikiem i odrażające sceny na ścianie zaczęły zacierać się i blednąć, w miarę jak nieziemskie światło traciło na sile.



- Zapytuję was bracia, czy owego fatalnego dnia, kiedy w powietrzu rozlegnie się dźwięk jakoby mosiężnego gongu, a wszelkie dzieła człowiecze przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie, kiedy otworzą się grobowce, a wody Styksu obróca się w czarny piach, czy tego dnia, Shemici, będziecie dość silni, by stawić czoło swym wrogom? Wiedźcie bowiem, że ten, kto zwycięży w owym ostatnim boju, będzie zwycięzcą po wsze czasy!

Światło za plecami proroka zgasło, szerokie magiczne okno rozszczepiło się na mniejsze kawałki. Zaraz potem znów stały się czerwonymi znakami, ściekającymi po ścianie i barwiącymi je niczym stopiony wosk albo krew. Gdy zaklęcie przestało działać, tłum zareagował intensywniej niż do tej pory. Rozległy się głośne okrzyki, wybuchy wściekłości i walenie w stoły. Kilku gości poderwało się z miejsc. Znów zapalono kaganki. W ich świetle widać było, że niektórzy z biesiadników mają w oczach łzy, a na ich twarzach maluje się grymas smutku i przygnębienia. Większość popatrywała gniewnie lub błagalnie na Horaspesa. Ten sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu bez słowa wskazał ręką ku odległemu podwyższeniu. Spojrzenia wszystkich skierowały się na króla Ebnezuba.

## IX

### Królewska nagroda

Król po raz pierwszy tego wieczoru podniósł się ze złotego siedziska. Chwiał się na nogach i przytrzymał się jedną ręką wezgłowia otomany. Królowa usiadła patrząc na niego i podtrzymała, ujmując go za ramię, podczas gdy dwaj strażnicy stali za plecami króla, gotowi pochwycić chwiejące się, niemal nagie cielsko, gdyby zaczął się zbyt niebezpiecznie przechylać. Ebnezub jednak po królewsku przeciwstawił się sile ciężenia, uniósł jedną rękę z oparcia sofy i dał znak, że zamierza coś powiedzieć.

- Niechaj nasi lojalni poddani nie lękają się... gdyż to, co ukazał wam przed chwilą kapłan, nie zwiastuje losu naszego wielkiego miasta Abaddrah. Rad dawanych nam przez proroka nie puszczamy mimo uszu. Odrzuciliśmy dążenia związane z dobrami doczesnymi i interesuje nas jedynie to, co czeka nas w Zaświatach.

Wiedźcie bowiem, iż z pomocą mistycznych ziół my również doświadczyliśmy wizji świetlistych obrazów, cudowności mających stać się naszym udziałem. Abaddranie, wasz król oczekuje ich z niecierpliwością. Wy również powinniście pragnąć odrzucić to życie i przebudzić się na drugim świecie. Wielki Ellael wie, że gorliwie przygotowujemy się na nadejście Dnia Zguby!

Głos króla, od początku niezbyt donośny, stał się świszczący, władca tracił dech. Opuścił dłonie, by się podeprzeć, a jego naga, obwisła pierś zafalowała gwałtownie. Nabrał powietrza i znów podniósł rękę, choć już nie tak wysoko. - Kiedy będziemy gotowi na przejście w Zaświaty, miejsce, które stanie się odtąd naszą przystanią, musi być najlepszym z możliwych, najwspanialszym i najpotężniejszym monumentem po tej stronie Wielkiej Rzeki. Żaden wydatek nie będzie zbyt duży. Dziś jeszcze nakazaliśmy zdobycie setki dorodnych rumaków, wraz z parobkami i zapasem siana, aby zostały zmumifikowane i mogły służyć naszym żołnierzom na wojnie oraz gwoli przyjemności. Wszystko jest przygotowywane - psy, koguty, kury i bydło. A także skrybowie i minstrele. W Zaświatach nawet najdrobniejsze potrzeby muszą być należycie zaspokojone! Jesteśmy przezorni i przewidujący. Nie lękajcie się o nasze dobro...

Choć entuzjazm Ebnezuba narastał, on sam szybko tracił siły. Głos króla gwałtownie przycichł, a rozlane cielsko jęło kołysać się niebezpiecznie i przechylać nad oparciem otomany. Królowa Nitokar wstała i wraz z dwoma strażnikami pomogła mu wrócić na miejsce. Król wciąż mówił coś zawzięcie, choć słyszeli go jedynie znajdujący się najbliżej niego, a gdy małżonka pochyliła się nad nim, jął energicznie gestykulować. Tymczasem głos zabrał Horaspes.

- Tak więc wszystko jest jasne. Państwo Abaddrah pozostanie zjednoczone za sprawą przewidującego i roztropnego króla. Da Ellael, że nam się uda.

Prorok ukląkł na jedno kolano i skłonił się ku podium.

- Bądź pozdrowiony po wiek wieków, Wasza Królewska Wysokość. Poddam, podziękujcie bogom, że w swej hojności obdarzyli was takim władcą! A wy, szlachetni cudzoziemcy, przemyślcie głęboko wszystko, co ukazałem wam tego

wieczoru. Ja tymczasem już się pożegnam. Życzę wszystkim spokojnej nocy.

Raz jeszcze zatoczywszy ręką szeroki łuk, Horaspes opuścił salę. Rozległy się głośne okrzyki, a aplauz wydał się Conanowi o wiele bardziej żywiołowy niż zwyczajowa reakcja na słowa panującego. Wstał wraz z innymi, ale nie pokrzykiwał radośnie, nie bił też dłońmi o uda; jego dwie towarzyski natychmiast zwróciły na to uwagę i postanowiły zatuszować ów drobny szczegół, dając istny popis żywiołowej wesołości i uznania.

W całej sali, pomijając stojących na baczność strażników, jedynie posłowie z Eruk nie dali się ponieść emocjom. Skłoniwszy się nisko przed królewskim podium wstali od stołu i wyszli wstrząśnięci, choć może nie do końca przekonani co do słuszności przesłania Horaspesa. Najbardziej milczący był niedawny rozmówca Conana, poseł wojskowy. Jego oblicze nad kozią bródką było blade, a oczy przeszkłone. Gdy towarzysze wyprowadzali go z komnaty, głowa mężczyzny była nienaturalnie przechylona na jedną stronę. Nie doszedł już do siebie po lekkim i niedbałym, jak się zdawało, dotknięciu proroka.

Gdy posłowie ruszyli w stronę wyjścia, Conan także podniósł się od stołu. Jednakże przydzielone mu dziewczęta przytrzymały go mocno za ramiona i nakazały czekać. Same nie dałyby mu rady, lecz w sukurs pospieszyło im zaraz dwóch strażników.

- Ależ, przybyszu z Północy, nie opuszczaj nas jeszcze! - Conan odwrócił się, zdumiony, że Horaspes zwraca się wprost do niego. Kanclerz przystanął, uśmiechając się jowialnie, a w jego oczach pojawiły się złowrogie błyski. - Oto noc twej chwały! Dzięki swym umiejętnościom uzyskałeś przywilej, by zasiąść u stóp królewskiej rodziny! Tej nocy możesz jeszcze ujrzeć wiele cudów, raduj się swą nagrodą! Nie zaprzepaść tej szansy! - Mogło się wydawać, że mrugnął porozumiewawczo do barbarzyńcy, ale natychmiast odwrócił się i podszedł do podium, gdzie królowa Nitokar powitała go ze swojego miejsca u boku króla.

Królowa przeniosła wzrok na Conana i w jej uśmiechu Cymmerianin spostrzegł nieposkromioną żądzę oraz bezwstydnie kuszącą propozycję. Spojrzenie kobiety sprawiło, że lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach, choć nie potrafił powiedzieć, czy był to dreszcz pożądania czy niepokoju. Ujrzawszy jednak, że strażnicy wciąż stali nieopodal, pozwolił, by uparte dziewczki służebne usadowiły go z powrotem na poduszkach i oplotły jego mocarne ramiona swoimi.

W sali prawie nie było już dworzan, a zasłona u wejścia została opuszczona. Na podium przyniesiono pełne wina dzbany. Podano również nowe porcje mięsiwa. Król Ebnezub leżał na otomanie w otoczeniu swej świty i rodziny, mamrocząc pod nosem i gestykulując zdawkowo, grubymi łapskami. Królowa nachylała się nad nim troskliwie, a ozdoby, które miała na sobie, ocierały się o jego twarz i pierś.

Wreszcie odwróciła się, by wyszeptać coś do swoich sług. Ci pokiwali głowami i oddalili się czym prędzej.

Po chwili powrócili niosąc dziwacznie wyglądające drewniane urządzenie. Niskie, pękate naczynie miało podstawę z bitego złota w kształcie płatków lotosu. Ze środka tego niezwyklego kwiatu wyłaniała się kula z przezroczystego szkła, wypełniona równie przejrzystym płynem. U szczytu kuli znajdował się złoty czop, z którego niczym nieziemskie pręciki kwiatowe wystawały giętkie rurki i zbiorniczki. Słudzy postawili swoje brzemie na niskim stoliku, obok króla, i odtąd zajęła się nim Nitokar. Z ozdobionych klejnotami kulek pachnidłowych, które nosiła u pasa, wsypała do otworów odrobinę różnobarwnych proszków, po czym srebrnymi szczypcami przeniosła z pobliskiego kosza koksowego kilka gorących węgli i umieściła w wyznaczonych miejscach.

Wkrótce z urządzenia popłynęły w górę smużki żółtego dymu, a płyn wewnątrz jał głośno bulgotać. Królowa odwróciła się do leżącego na otomanie małżonka i przyłożyła wykonany z kości słoniowej ustnik jednej z rurek do warg, pomiędzy których dobywały się niesłyszalne słowa.

Król Ebnezub zrazu jej nie zauważył. Poruszała kusząco ozdobnym ustnikiem przed jego nosem, wydychając kłęb wonnego dymu prosto w jego twarz, aż w końcu uniósł głowę, odnajdując jej spojrzenie. Włożyła ustnik między jego wargi, wyszeptała mu coś do ucha i przez chwilę manipulowała przy urządzeniu. Następnie ujęła drugą rurkę i dmuchnęła w nią mocno, a w szklanej kuli buchnęły w górę bąble żółtego dymu.

Opary musiały dotrzeć bezpośrednio do króla, gdyż monarcha sapnął głośno, jego ciało znieruchomiało gwałtownie, a z nozdrzy popłynęły smużki dymu. Na ten widok Nitokar uśmiechnęła się dziko i ścisnęła jego drżące ramię.

Nachyliła się, szepcząc coś długo i namiętnie wprost do jego ucha. Po chwili znów zadeła do fajki, wywołując kolejny spazm małżonka. Palce jego wolnej dłoni zaciskały się i rozwierały kurczowo, aż siedzący obok króla Horaspes nie ujął go dyskretnie za rękę.

Nitokar obserwowała doznania władcy z promiennym uśmiechem. Leniwie głaskała jego spoczone ciało i śmiejąc się wymieniała z Horaspesem żarciki.

Podczas gdy królowa odurzała swego małżonka, inni znajdujący się na podwyższeniu znaleźli sobie jakieś zajęcia. Prorok rozmawiał z królową, jego dzielny przyboczny Nefren nasłuchiwał z uwagą, wysoki niezdarny chłopak, sprawiający wrażenie aroganckiego, bezceremonialnie dokuczał służbie. W pewnej chwili wywołał drobne zamieszanie, grożąc jednej ze służek sztyletem dobytym z pochwy u pasa.

Dziewka w przerażeniu rozlała niesione trunki, starając się za wszelką cenę uniknąć błyszczącego ostrza. Za swą niezdarność otrzymała bolesną reprimendę od starszego służącego, który uderzył ją i odesłał szlochającą z sali. Królewski potomek nie został nawet skarcony.

Księżniczka przez cały czas siedziała na uboczu. Pisała coś rysikiem na tabliczce, nie zwracała uwagi na spektakl rozgrywający się opodal. Raz jednak spojrzała na rodziców z wyraźną zgrozą czy może odrazą, po czym spieszenie odwróciła wzrok.

Tymczasem król zapadł w stupor, ustnik wysunął się spomiędzy jego uśmiechniętych błogo warg, a oczy wywróciły się w orbitach, kontemplując uroki jakichś niewidzialnych krain. Królowa pstryknęła palcami i czterech silnych mężczyzn zajęło pozycję wokół otomany. Nachylili się, by podnieść zwiotczałe ciało. Wsunęli pod nie ręce i schwyli za nadgarstki, z wprawą dźwigając w górę opasłego władcę w utworzonej z ramion kołysce. Gdy Nitokar skinęła głową, słudzy wynieśli monarchę z sali, poprzedzani i ubezpieczani z tyłu przez uzbrojone strażę. Widząc, że feta dobiegła końca, pozostali na podium również podnieśli się z miejsc.

Dziewki pilnujące Conana uwolniły się z uścisku jego ramion. Gdy próbowały nakłonić go, by wstał, królowa odezwała się do swoich dwóch przybocznych, jej osobistych służących, o czym zdawały się świadczyć ich skąpe stroje. A także eunuchów, jeżeli zuchwałość ich spojrzeń i gładkość naoliwionych ciał mogła cokolwiek oznaczać. Zwróciła się do nich, nie odrywając wzroku od Conana; po chwili cała trójka zeszła z podwyższenia i ruszyła w stronę barbarzyńcy.

- No cóż, mój dzielny cudzoziemcze, bardzo zręcznie pokonałeś Khadę Khufiego! - odezwała się Nitokar głębokim, dźwięcznym głosem, równie ponętym jak jej wymalowane usta i brwi. - Przyznaję, że to dla mnie wielka ulga, byłam już nieco znudzona jego popisami z użyciem węży. Niewątpliwie po walce musisz być obolały i zeszywniały. - Stając przed nim z dwoma służącymi po bokach, wyciągnęła wypieszczoną, smukłą dłoń i ścisnęła jego ramię w zdumiewająco mocnym uścisku.

Conan starał się nie zadrzeć i nie cofnąć przed jej dotknięciem. - Nie, pani. Te dwie dziewczki bowiem rozmasowały należycie moje mięśnie. - Oglądając się dokoła ze zdumieniem ujrzał, jak kobiety zmierzają szybkim krokiem ku wyjściu.

- Musisz zatem udać się do mej komnaty i pozwolić, bym ja ukoila twój ból i zaleczyła naciągnięte mięśnie - oznajmiła Nitokar. - Wiedz, że posiadam dużą wprawę w sztukach uzdrowicielskich i mam wiele maści oraz olejków, które przywrócą ci wigor. - Zaciskała dłoń coraz silniej, a czerwone, ostre paznokcie wpijały się w jego skórę. Przyciągnęła go ku sobie. - Przy okazji mógłbyś mi również opowiedzieć, w jaki sposób doszedłeś do takiej wprawy w sztuce zapasów.

Conan pozwolił, by kobieta i dwaj mężczyźni poprowadzili go ku niedużym drzwiom w centralnej części sali. Nie miał wielkiego wyboru, choć mierziło go okrucieństwo kryjące się pod woalem zmysłowości królowej. Czuł na sobie wzrok innych osobistości, zimne rozbawienie Horaspesa, niemal nieskrywaną odrazę młodej księżniczki, która odwróciła się na pięcie i szybko wyszła, oraz cyniczne uśmiešky towarzyszące spojrzeniom odprowadzających go ku drzwiom. Dwaj przyboczni nie odstępowali królowej na krok, lecz nie dołączyła do nich straż pałacowa.

- Uwielbiam zapasy - ciągnęła Nitokar. - Ale tego Vendhianina nie znosiłam, te olejki, którymi się cały smarował, cuchnęły zjełczalym kozim masłem... - Przeszli po szerokim, wykładanym płytkami chodniku, ciągnącym się wzdłuż zadbanych ogrodów, pełnych wielkich, majestatycznych fontann; w sadzie

oświetlonym sztucznym światłem dostrzec można było uganiające się wśród gałęzi drzew różowe i żółte ptaki. - Khada Khufi był grubiański i prawie nie mówił po shemicku. Na dodatek był gburem, jak wielu spośród tych drogich, importowanych niewolników. Nigdy nie potrafił docenić mych szczególnych umiejętności. - U szczytu pochyłego zejścia znajdował się okolony marmurowymi kolumnami ganek, od którego ciągnął się długi, niknący w oddali korytarz.

Ruszyli dalej, a królowa kontynuowała swój monolog. - Wiesz, ludzkie uczucia to prawdziwa sztuka. Prastarzy uczeni przekazywali z pokolenia na pokolenie wiele cennych sekretów, choćby o maściach mogących wzmacniać doznania bólu lub, dla odmiany, rozkoszy. - Uniosła brwi i zaśmiała się w głos.

- Któż jednak wie, gdzie kończy się rozkosz i zaczyna ból? Czy te doznania naprawdę się różnią? - Nachyliła się konspiracyjnie do Conana, który poczuł, że dwaj przyboczni również przybliżyli się do niego.

- Mam na ten przykład bicz o pięciu końcach, a haczyki na każdym z nich posmarowane zostały różnymi substancjami, które dostając się do ciała wywołują odmienne sensacje. To doprawdy różnorodna, suta uczta bólu, feeria dojmujących doznań.

Każdemu, kto zaznał tych niezwykłych emocji, rzucam wyzwanie, by spróbował potem choć raz, z przekonaniem stwierdzić, gdzie przebiega granica między uniesieniem a bólem.

Gdy dotarli do wysokich, złożonych drzwi na końcu korytarza, Nitokar odwróciła się do Conana. - Naprawdę uważam, że to ci się spodoba.

Uniosła dłoń, by pogłaskać go po policzku. - Oczywiście gdy coś ma się stać twym udziałem, czy tego sobie życzysz, czy nie, równie dobrze możesz spróbować czerpać z tego przyjemność.

Jeden ze służących otworzył ciężkie odrzwia. Pokój za nimi przypominał raczej aptekę niż łożnicę, na stolikach stały rzędy słoików, fiolek i innych naczyń, a ściany obwieszane były dziwnymi urządzeniami. Dla Conana nie było to miejsce, do którego mógłby wejść z własnej woli człowiek zdrowy na umyśle.

Gdy królowa pociągnęła go za sobą, wyrwał się jej i z całej siły wbił łokieć w splot słoneczny idącego tuż za nim sługi.

Poczuł jak miękki, tłusty brzuch eunucha ugina się, a jego łokieć dociera aż do warstwy silniejszych mięśni w głębi ciała, usłyszał też głośne sapnięcie mężczyzny. Gdy sługa zgiął się wół, Conan odwrócił się i zdzielił go kolanem w twarz, po czym grzmotnął go jeszcze twardą jak kamień pięścią w nasadę karku. Mimo to eunuch nie usunął mu się z drogi, lecz chwając się na nogach postąpił naprzód, usiłując na oślep pochwycić Conana w pasie. Możliwe, że grubas znajdował się pod wpływem jakiegoś usmierzającego ból narkotyku Nitokar. Barbarzyńca schylił się, objął tamtego mocarnymi ramionami wół i choć mężczyzna jął dziko wierzgać nogami, podźwignął go w górę. Potem skręciwszy całe ciało, trzasnął głową eunucha o framugę drzwi.

- Ty nieokrzesany osiłku! Zobaczysz, będziesz cierpiał tak, że... zawołała Nitokar, ale nie interweniowała. - Straże, zbuntowany niewolnik. Łapcie go! Aach!

Umilkła, gdy obity przez barbarzyńcę sługa potoczył się pod jej nogi i wypchnął ją za próg. To dało szansę działania drugiemu eunuchowi. Ostrożnie ominął swoją panią, przeskoczył nad leżącym kompanem i pobiegł za Conanem.

Cymmerianin pognął w głąb korytarza, lecz usłyszawszy kroki służącego odwrócił się, by stawić mu czoła. Eunuch zdążył się uzbroić. Zabrał z komnaty królowej długi sztylet, którego faliste ostrze nie nadawało mu wyglądu oręża skutecznego w walce. Może miast budzić grozę miał po prostu inspirować doznania estetyczne.

- No chodź! - rzucił Conan do służącego. - Gdyby nie to, że już jesteś eunuchem...

Mężczyzna z gniewnym grymasem rzucił się w przód, trzymając nóż na wysokości pasa. Conan ciosem przedramienia zablokował pchnięcie, schwycił eunucha za rękę i szarpnął jak górze. Wyrwał nóż z dłoni służącego i z rozmachem chlasnął ostrzem na ukos przez brzuch tamtego, po czym poderżnął mu gardło. Czubek noża zahaczył o ścięgno pod brodą eunucha i ostrze pękło. Conan odrzucił okrwawioną ręką i rzucił się do ucieczki.

- Poddaj się barbarzyńco! Straże, brać go! Śmie przeciwstawiać się swojej królowej!

Nitokar ponownie umilkła pochylając się nad leżącym, lecz żywym jeszcze

niewolnikiem. Conan skręcając za załom korytarza, odwrócił się przez ramię i ujrzał Nitokar, która uniosła umazaną krwią dłoń do twarzy i przyglądała się jej wyraźnie zafascynowana.

Pomimo wołań królowej straże nie pojawiły się. Conan usłyszał jednak tupot kroków w korytarzu przed sobą. Rozpaczliwie poszukiwał innej drogi ucieczki. Jedne z połączonych drzwi w korytarzu były uchylone lub właśnie się zamykały. Bez wahania napał na nie barkiem, zaciskając pięści, by stłumić opór kogoś, kto mógł znajdować się w środku. Pchnięte silnie drzwi odrzuciły szczupłą postać w głąb pokoju, oświetlonego migotliwym płomykiem pojedynczego kaganka. Conan rozpoznał w jego świetle młodą kobietę siedzącą nieruchomo na podwyższeniu. Nadal odziana była w ciemnozieloną szatę. Włosy miała rozpuszczone i krótkie brązowe kędziory muskały jej kości policzkowe. W komnacie prócz niej nie było nikogo.

Dziewczyna mogła krzyknąć, ale tylko jęknęła i spojrzała na Conana. Być może szok wywołany jego groźną postawą odebrał jej mowę. Świadom, że jego szansę maleją z każdą chwilą, bezszelestnie zamknął za sobą drzwi i zaciągnął zasuwę.

- Ostrzegam cię, nie krzycz. Jeżeli nie będziesz stawiać oporu, nic ci nie zrobię. - Skinęła głową i nieznacznie spuściła wzrok. - Masz krew na dłoni - rzuciła cichym, lecz opanowanym głosem.

Spojrzał na swą zakrwawioną pięść. - Rzeczywiście. - Rozejrzał się po pokoju, a raczej łożnicy, w której nie było innych drzwi. Zauważył złotą miednicę, stojącą na stole i podszedł do niej. Na wpół odwrócony do dziewczyny, aby nie próbowała uciec, gdy się nachyli, zaczął doprowadzać się do porządku. - Na pewno słyszałaś krzyk w korytarzu.

Skinęła głową. - Takie dźwięki płynące z komnat Nitokar to nic niezwykłego. - Conan otarł mokre ręce o brzeg arrasu wiszącego na ścianie opodal.

- Jesteś córką króla?

- Tak. Mam na imię Afrit.

Z rozpuszczonymi włosami wyglądała prawie jak dziecko, choć rysujące się pod zielonym materiałem kształty były bez wątpienia kobiece.

Przeszła obok Conana z majestatyczną, arystokratyczną pewnością, podniosła miskę ze stołu i wylała czerwoną od krwi wodę do otworu odpływowego w rogu pokoju.

- Nie pytasz, czyja to krew? - rzucił Conan z lekkim rozbawieniem. - Nie martw się, królowa wciąż żyje...

- Tym gorzej! Nie lubię jej. - Afrit odstawiła miednicę na miejsce i spojrzała zuchwale w niebieskie, zimne oczy barbarzyńcy.

- Jeżeli solidnie jej dopiekniesz, zrobię wszystko, by ci pomóc.

- Tak, to naprawdę groźna zmija.

- Groźna? - Syknęła księżniczka i podeszła do Conana. - Ta suka otruła moją matkę, aby zająć jej miejsce u boku Ebnezuba, a teraz zabija i jego. Zatrzuwa swoim jadem cały dwór, a ja nie mogę nic zrobić, by ją powstrzymać! Choć dziewczyna była drobnej budowy, Conan wstrząśnięty jej emocjonalnym wybuchem uniósł rękę, usiłując ją uspokoić.

Ostatecznie jednak dotknął delikatnie jej twarzy i pogłaskał po włosach. Z oczu Afrit pociekły strużki łez.

- Już dobrze, uspokój się. - Księżniczka z oburzeniem odtrąciła jego dłoń i otarła wilgotne policzki.

- Ty głupcze! Czemu miałbyś przejmować się troskami potężnych? - Odwróciła się do niego plecami. - Oto ja, dziecko nieledwie, obnażam swą duszę przed człowiekiem z pospólstwa. Na dodatek cudzoziemcem, który pragnie jeno ocalić swe nędzne życie.

- To fakt. - Conan pokręcił głową. - Jeżeli nic się nie zdarzy, za chwilę wyjdę stąd przez tamto okno i nie będę cię już niepokoił. - Skinął w stronę otworu okiennego w ścianie naprzeciwko, przesłoniętego złoconymi, drewnianymi okiennicami. - Ale, powiedz mi, czy wszystkie plotki na temat Nitokar są prawdziwe?

Afrit wzruszyła ramionami. - Chyba tak. Ta wiedźma popełniła tak wiele potworności, że trudno byłoby wymyślić plotkę, która mijałaby się z prawdą. - Spojrzała na Conana wilgotnymi od łez oczyma.

- Była osobistym medykiem mojej matki i poprzez swe misterne knowania uczyniła z niej wrak człowieka, kobietę chorą, załamana, pożądaną wywarów i narkotycznych oparów, które ją koniec końców zniszczyły. Mój ojciec nie pomścił

jej śmierci. Obawiam się, że od dawna już był nią znudzony. - Księżniczka ze smutkiem pokręciła głową, głos uwiązł jej w gardle. - Nitokar bardzo szybko go uwiodła i urzekła tą swoją diabelską mocą. Jego dni są policzone i wszyscy dobrze o tym wiedzą, choć nikt nie odważy się powiedzieć tego głośno.

Conan zmarszczył brwi pytająco. - A gdyby ktoś z dworu ujawnił, że królowi podawana jest trucizna, zdemaskował trucicielkę i przerwał ten proceder?

- Ojciec umarłby jeszcze szybciej lub popadł w obłąd z braku wywarów przygotowywanych przez Nitokar. Kiedy spóźnia się z podaniem mu mikstur, króla ogarnia ślepa furia, a wtedy staje się naprawdę niebezpieczny. I żalosny.

- Co królowa chce w ten sposób osiągnąć? Czy może włączyć miastem po śmierci Ebnezuba?

Afrit westchnęła.

- Zgodnie z tutejszym prawem król jest władny wyznaczyć swego następcę. Obawiam się, że zamiast mnie, ojciec może przekazać władzę Nitokar i jej zdradzieckiemu pomiotowi, Eblisowi. Twierdzi wprawdzie, że kocha mnie nade wszystko na świecie. Kiedy tylko jest w stanie mówić, powtarza to raz po raz. Według jego słów nie jest w stanie pogodzić się z myślą, że los kiedykolwiek mógłby nas ze sobą rozdzielić. Jestem kobietą, lecz on wciąż uważa mnie za dziecko. Nie traktuje mnie poważnie!

- Hmm, zaiste śmiały plan. Nitokar musi mieć potężnych sprzymierzeńców na dworze.

- To prawda. - Afrit wybuchnęła gromkim śmiechem. - Ma najpotężniejszego sojusznika, Horaspesa, jedynego człowieka na świecie bardziej plugawego i przesiąkniętego złem niż ona sama.

Nagle księżniczka ucichła. Wraz ze swym gościem wsłuchiwała się w cichy odgłos kroków na korytarzu.

- Królowa wszczęła już zapewne poszukiwania - syknął Conan, przesuwając się w stronę okna.

- Nie, zaczekaj. Jeżeli cię szukają, będą pilnować wszystkich wyjść. Żadne nie będzie dla ciebie bezpieczne.

Zgasiała kaganek i szybkim krokiem przeszła przez pokój. W srebrzystym świetle księżycy wpływającym przez otwór okienny Conan czujnie obserwował księżniczkę, spodziewając się, że dziewczyna może go zdradzić. Afrit tymczasem rozpięła zapinki sukni pod pachą, na biodrze i przy kolanie, po czym odrzuciła ją precz, ukazując barbarzyńcy swe białe jak śnieg, nagie ciało, lecz już po chwili ukryła je pod założoną przez głowę cienką, bawełnianą koszulką. Następnie odwróciła się i skinęła ręką, przywołując go. Conan, którego oczy powoli przyzwyczaiły się do ciemności, widział ją coraz wyraźniej.

- Byłoby nierozsądnie, gdybyś teraz spróbował odejść. Gdyby tu weszli, udam, że śpię. Możesz ukryć się tutaj. - Zdjęła z posłania jedwabną narzutę.

- Często tak sypiam podczas największych upałów.

Conan usiłował dostrzec wyraz jej twarzy w słabym świetle płynącym od okna. Dźwięki z korytarza ucichły. - Jesteś gotowa zaryzykować, że odnajdą mnie tu, razem z tobą, w łóżnicy?

Wzruszyła delikatnymi, nagimi ramionami.

- Jak miałaś okazję zobaczyć, dziwne układy są w pałacu na porządku dziennym. Czemu mają plotkować, że jako jedyna sypiam sama?

Wślizgnęła się na posłanie i usiadła w skromnej dziewczęcej pozie. - Poza tym dobrze mi się z tobą rozmawia. Nie mam przyjaciół na dworze. Wszyscy tylko knują i brak mi odwagi, by podzielić się z kimkolwiek swymi przekonaniami.

- To niedobrze. - Conan usiadł na skraju łóżka, starając się nie zмяć koszuli nocnej dziewczyny. - Ktoś taki jak ty powinien mieć wielu przyjaciół.

- Dziękuję, Conanie, bo tak cię zwa, prawda? - Wydawało się, że zapłoniła się, gdy odwróciła wzrok w jego stronę. Skinął głową. - Wiesz jednak, że dwór w Abaddrah trawi ciężka choroba. Horaspes i królowa omotali dworzan swoimi czarami i teraz wszyscy na wypródki starają się im przypodobać.

- A tak, Horaspes! Zatem nie wierzysz w jego prorocтва?

- Nie. - Afrit pokręciła głową. - Ale to dopiero początek. Jego nauki rychło rozszerzą się na inne miasta, by skałać je, tak jak to uczyniły z Abaddrah, i nakłonić mieszkańców, by ronili krew, pot i łzy przy wnoszeniu kolejnych, nieużytecznych grobowców. Te jego brednie i magiczne sztuczki niewiele mają wspólnego z naszymi shemickimi wierzeniami. To mieszanina, spreparowana dla omamienia głupców i pospólstwa, i dzięki niej mają stać się gorliwymi wyznawcami proroka.

- To całkiem możliwe - potaknął Conan. - Horaspes żyje tu jak król i zyskał sobie wielką przychylność Ebnezuba.

- Owszem. Jego wpływy urosną jeszcze, gdy przejmie tron moja macocha. Już teraz pomaga mu urabiać dworzan wedle własnego widzimisię.

Afrit wbiła wzrok w ciemność. - A jednak nie mogę oprzeć się przekonaniu, że powodują nim jakieś głębsze, mroczniejsze motywy. Wydaje się taki spięty. Nie wyobrażam sobie, że może go satysfakcjonować pozycja doradcy wszechmocnego władcy, jak to bywa z większością kapłanów. - Spojrzała na Conana w zamyśleniu.

- To asceta, nie interesują go rozkosze cielesne. A ten jego przyboczny, Nefren, jest taki zimny i sztywny, jak trup...! - Wzdrygnęła się i otuliła ramionami, choć w pokoju było gorąco.

- Twoja sytuacja w całej tej kabale nie przedstawia się najlepiej - Conan przysunął się i lekko dotknął jej ramienia. - Mimo to zgodnie z prawem nie powinnaś się niczego lękać. Kobieta z twoją pozycją i twoimi darami powinna lada dzień prześcignąć Nitokar w sztuce prowadzenia intryg dworskich.

Księżniczka zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Modlę się, by tak było, Conanie. Nie jestem jeszcze kobietą i moja młodość stanowi dla mnie najcięższe brzemie. Próbuje się uczyć, ale czy starczy mi czasu? Conanie, przecież ty możesz mi pomóc!

- Ja? - Pochwycił ją, gdy oparła się o niego, a jej miękkie włosy musnęły jego bark. Napór jej ciała był gwałtowny i zdecydowany. - Niby jak?

- Zabij dla mnie Nitokar! Możesz tego dokonać. Jesteś silny i bezwzględny. - Odwróciła się do niego i patrząc prosto w oczy wydyszała: - Kiedy jej już nie będzie, znajdę jakiś sposób, by uzdrowić ojca. Idź do niej, już, teraz, zaraz. Dam ci nóż.

- O nie, księżniczko. Nie jestem zabójcą ani głupcem. - Conan pokręcił głową i stanowczo odepchnął ją od siebie. - I tak już wmieszałem się w wasze intrygi bardziej, niż bym sobie tego życzył.

- Proszę, Conanie. Zrób to. Nie dla mnie, lecz dla miasta! Umilkli znowu, bo w korytarzu rozległ się głośny tupot kroków, a potem ktoś poruszył klamką.

- Księżniczko! Księżniczko Afrit! Jesteś w pokoju? - spytał zduszony męski głos, zaraz potem rozległ się zgrzyt klucza w zamku.

- Schowaj się, szybko! - wyszeptała Afrit do Conana. - Mogą otworzyć drzwi od zewnątrz.

Odsuwając się od księżniczki, barbarzyńca bezszelestnie wślizgnął się za łóżko. W tej samej chwili mosiężna zasuwka uniosła się i przez otwierające się drzwi popłynęła struga światła z zapalanej lampy.

- O, księżniczko! Wybacz, że zakłócam twój spokój. Zbiegł groźny więzień. - Głos umilkł na chwilę, ale niespodziewany gość już po chwili otworzył drzwi szerzej i wszedł do komnaty. Był to młody strażnik w zdobionym grzebieniu z piór hełmie kapitana. Towarzyszyło mu dwóch gwardzistów.

- Mam rozkaz przeszukać wszystkie pokoje w tym skrzydle pałacu!

Afrit zasłoniła się uniesionym rogiem delikatnej, cienkiej narzuty.

- Kapitanie Aramas, właśnie spałam! Możesz być pewien, że nie ma tu żadnego zbiega.

Oficer stanął w progu. Był skonsternowany, a fakt ten bez wątpienia pogłębiały jeszcze rumieńce na twarzy Afrit i jej zdyszany głos.

- Wybacz księżniczko, ale muszę dokonać przeszukania. Jeżeli ukrył się tu bez twojej wiedzy, może grozić ci śmiertelne niebezpieczeństwo.

Aramas postawił lampę na stole, a dwaj gwardziści weszli do pokoju i rozpoczęli przeszukania. Otwierali szafki, zaglądali za zasłony, wyglądali przez okno. Wreszcie starszy i tęższy z dwójki gwardzistów odwrócił się do Aramasa. - Kapitanie, nie ma go tu. Nic nie wskazuje, by ktokolwiek wychodził przez okno... Ejże, a co to takiego?

Idący w stronę drzwi żołnierz nastąpił na brzeg narzuty zwieszającej się z posłania Afrit i potknął się o coś. Gdy nachylił się, aby pod nią zajrzeć, spod materiału wystrzeliła potężna dłoń i schwyciła go za gardło. W chwilę potem Conan energicznym ruchem strącił z siebie narzutę. Paroma kopnięciami odrzucił ją od siebie i wstał, nie rozluźniając dławiącego chwytu na gardle gwardzisty, drugą ręką zaś sięgnął po wiszący u jego pasa miecz.

- Nie, Conanie! Przestań, proszę cię! - Słowa Afrit oraz dotyk zimnej stali sztychów dwóch mieczy na szyi sprawiły, że Conan ustąpił. Odepchnął od

siebie na wpół uduszonego gwardzistę, który poczerwieniały na twarzy, łapiąc gwałtownie powietrze, słańiał się na nogach, a potem opadł na kolana, szczerząc groźnie zęby jak osaczony wilk.

- Nie podnoś się! Jeden ruch i nie żyjesz! - Kapitan Aramas spojrział z wyrzutem na Afrit. - Ależ, księżniczko, przecież mówiłaś, że nie ma tu nikogo.

Afrit puściła skraj narzuty, którą się zasłaniała i przepełzła po posłaniu w stronę Conana, aby go ułagodzić. Uniosła wzrok spoglądając na Aramasa i zapominając o fałszywej skromności.

- Spójrz na niego, kapitanie, i miej litość! To jeno biedny niewolnik walczący rozpaczliwie o życie. - Dotknęła dłoni ściskającej miecz.

- Kapitanie Aramas, obserwowałam cię, wiem przeto, że jesteś człowiekiem łagodnym i sprawiedliwym. Wiesz, w jakich okrucieństwach lubuje się moja macocha. Czy oddałbyś tego człowieka w jej ręce, by uczyniła z niego swą zabawkę? Oszczędź go, proszę!

Kapitan miał patrzeć na Conana, wpatrywał się w Afrit. Nie był w stanie oderwać od niej wzroku. I rzeczywiście, urodziwe oblicze i wdzięki rozkwitającego ciała przesłonięte cienką koszulką sprawiały, że nawet Conan zapominał na chwilę o mieczach dotykających jego szyi.

Oficer zaczerwienił się.

- Ależ księżniczko, cóż ja mogę?... Nie jest w mojej mocy... Afrit patrzyła mu prosto w oczy. - Kapitanie, dziś wieczorem podczas urządzonych przez królową Nitokar gier dworskich zabito niewolnika. Oddaj jego ciało strażnikom umarłych, a tego puść wolno. Powiedz, że zginął podczas próby ucieczki. Dopiero teraz Aramas spojrział na Conana.

- Pani, ten człowiek jest niebezpieczny. To cudzoziemiec i wprawny wojownik. Nie chciałbym puszczać go wolno.

- Więc trzymaj go pod strażą. Albo wyślij do prac w grobowcach. Z pewnością się tam przyda.

- O tak, jest bardzo silny. - Kapitan nie mógł oderwać wzroku od Afrit.

- Wiedz jednak księżniczko, że za niewykonanie rozkazu mogę zapłacić głową.

Afrit machnęła na dwóch gwardzistów, którzy sprawiali wrażenie niepewnych i nie do końca pojmowali, co się dzieje. - Ci ludzie są lojalni. Nie zdradzą cię. Zrób, o co cię proszę, a ja... zapewnię ci ochronę... i pomoc, na tyle, na ile będę w stanie.

Nawet jeśli nie był to rozsądny układ, kapitan nie zdawał sobie z tego sprawy. Dotknął dłoni Afrit, gdy ta zdjęła rękę z jego ramienia.

- Dobrze więc, pani. Niech będzie, jak zechcesz. Wyprowadzę go stąd. - Skierował miecz w stronę Conana. - Pamiętaj, masz być cicho. Jeśli piśniesz choć słowo, umrzesz. Ruszaj.

Obchodząc posłanie księżniczki i wychodząc z komnaty, Conan czuł na sobie jej pożegnalne spojrzenie. Przesłanie spojrzenia było jasne i wyraziste. - Pamiętaj o mnie.

X

Budowniczoie mauzoleum

W następnych dniach przyspieszono tempo prac nad Wielkim Grobowcem Ebnezuba. Ze szczytu olbrzymiego kamiennieo-ziemnego kopca dochodził głos trąb, trzaskały bicze nadzorców, zmuszających rzesze brązowoskórych robotników wyglądających niczym mrówki kłębiące się wokół mrowiska do jeszcze większego wysiłku. Ich szeregi powiększyli chłopci uciekający ze swych chudob w obawie przed wzbierającymi coraz szybciej wodami Styksu.

Tempo prac przyspieszono, bo jak głośiły plotki, pomimo nie słabnących wysiłków jego królowej i głównego medyka w jednej osobie zdrowie króla stale się pogarszało. Powiedziano, że dla ukończenia mauzoleum Ebnezuba, zanim wybiję jego godzina, potrzebne będą nie lada wysiłki.

Wśród dworzan natomiast krążyły plotki, jakoby potężny kanclerz Horaspes miał niebawem wyruszyć na pomoc do miasta-państwa Eruk, dokąd go zaproszono, i zanim wyruszy, by zasiał ziarno swej wiary w nieco żyźniejszej i bogatszej glebie chciał ujrzeć dzieło skończone lub prawie na ukończeniu.

Conan wspaniale zaaklimatyzował się wśród budowniczych grobowca. To zdumiewające, ale cudzoziemski wygląd, mowa i status zesłańca, sprowadzonego tu



przez gwardię pałacową sprawiły, że ominęła go rutyna, będąca chlebem powszednim tutejszych robotników. Nadzorcy rychno docenili jego postawną budowę i siłę, rezerwując dlań zadania wymagające wyjątkowej krzepy. Często prace te wykonywane były na wysokości lub w ciasnych pomieszczeniach, gdzie wielu słabszych ludzi nie mogło użyć całej swojej siły. Dla przyspieszenia tempa prac podejmowano często również kontrowersyjne i ryzykowne rozwiązania. Zakres robót i pośpiech satysfakcjonowały Conana bardziej niż powolna, monotonna harówka załóg, poza tym dały mu szansę zwiedzenia całego placu budowy i zasięgnięcia wielu informacji o samym grobowcu. Któregoś razu musiał młotem rozbić źle dopasowane wieko marmurowego sarkofagu, wewnątrz którego uwięziony został wyjący jak opętaniec kamieniarz. Kiedy indziej wezwano go do Świętego Kolegium Balsamatorów, aby pomógł słabowitym akolitom przenieść wielkie, owinięte bandażami, zmumifikowane zwłoki zmarłego notabla do złożonego sarkofagu. Naturalnie często rozmyślał o ucieczce. Nocą, zwinięty w kłębek w swej pozbawionej okien samotni, usypiał kojąc się myślami o tym, jak wróci do domeny Otsgara i porachuje zdrajcy wszystkie kości. Tym razem, fantazjował, nie odrzuci umizgów małej, lubieżnej Zafriti, naturalnie, jeśli tancerka jest jeszcze z Otsbarem i nie znalazła sobie jakiegoś bogatszego głupca, którego mogłaby przyprawiać o obłęd zazdrości swymi licznymi, rozpustnymi flirtami. Do ucieczki skłaniało Conana stale obecne zagrożenie ze strony pałacu. Nie sposób stwierdzić, kiedy królowa Nitokar ze swym znarkotyzowanym mózgiem, oscylującym na przemian między dworskimi spiskami a sadystycznymi rozkoszami dowie się o jego obecności i zleci natychmiastowe zabicie go.

Jeszcze gorzej byłoby, gdyby przypomniała sobie o nim księżniczka Afrit i ponowiła swą propozycję zgładzenia królowej. Podczas ich spotkania księżniczka wydawała się szczerą, rozsądną dziewczyną, jednak atmosfera pałacu przesiąknięta była złą, jadowitą aurą. Kto wie, może z czasem okazałaby się jeszcze groźniejszą wiedźmą niż jej macocha. Odkąd tu trafił, Afrit nie dała znaku życia, jeśli nie liczyć drobiazgu, który odnalazł pewnej nocy na swym posłaniu. Krótki, ostry jak igła sztylet, owinięty w znajomy, zielony jedwab spoczywał teraz ukryty pod jego przepaską biodrową. Broń mogła przydać mu się podczas ucieczki.

Mimo że okazji do ucieczki miał bez liku, pozostał na placu budowy. Nie był do końca pewien, dlaczego tak postępuje. Na pewno powodem nie były drobne wypłaty, które otrzymywał co dzień wraz z innymi robotnikami, gdyż znaczną część pieniędzy pochłaniały coraz bardziej rosnące koszty mleka i owsianki, posłania ze słomy oraz opłata za wypożyczenie sandałów ze skóry hipopotama.

Po części został tu dlatego, że panująca w tym miejscu woń bogactwa była w stanie zauroczyć każdego niepoprawnego złodzieja i łupieżcę. Nie wszyscy robotnicy dostawali głodowe wypłaty, nadzorcy zaś otrzymywali co miesiąc tyle, że pod ciężarem monet mógłby się ugiąć niejeden solidny wóz. Wykonując swe obowiązki Conan widział złoto, srebro, lapis lazuli, bursztyny, rubiny i karbonyks w takich ilościach, że mógłby kupić za nie sporej wielkości miasto na północy; niestety, skarby te miały spocząć po wsze czasy w trzewiach grobowca. Podczas prac budowlanych bogactwa te magazynowano w dobrze strzeżonej, zamieszkaney przez rzezimieszaków części obozu, której ogrodzenie zdobiły czerepy i kończyny złodziei, przyłapanych na próbie kradzieży. Conan z pewną konsternacją doszedł do wniosku, że nawet on w ciągu całonocnego plądrowania zdołałby wynieść zaledwie drobną cząstkę zebranych tu skarbów.

Oprócz pokusy ze strony nagromadzonych tu bogactw, Conana mamiła narastająca niepewność związana z samym grobowcem, aura tajemnicy, zdająca się spowijać całe to dzieło i nieustannie pobudzająca ciekawość barbarzyńcy. Czuł ją kiedy inni robotnicy opowiadali o dziwnych dźwiękach i cienistych kształtach, które napotykali niekiedy o zmierzchu dookoła grobowca - lub też za dnia, gdy szeptali między sobą albo zachowywali dziwne milczenie na temat niewyjaśnionych wypadków, które przytrafiały się robotnikom w niżej położonych tunelach, głęboko w trzewiach kamiennej budowli. Najbardziej jednak poczuł ją pewnego wieczora, kiedy zjawił się tu na inspekcję prorok Horaspes i przyglądał się pracom z wyrazem niezwykłej, dojmującej satysfakcji, jakby miały one sens i cel znany wyłącznie jemu.

Przeznacznie trzymał się wtedy na uboczu. Nie chciał, by prorok go ujrzał. Trudniej było mu jednak uniknąć spotkania z Nefrenem, który częściej odwiedzał plac budowy, dyskutując zawzięcie z architektami, przemieniającymi wyrysowane na owczej skórze plany mauzoleum w gigantyczny grobowiec z ziemi i kamienia.

Co się tyczy Nefrena, rzecz niezwykła, ale mimo ciemnej karnacji skóry sprawiał wrażenie, jakby unikał słońca. Zawsze towarzyszyło mu dwóch niewolników trzymających nad jego głową rozłożony pleciony baldachim. Gdy przez dłuższy czas musiał przesiadywać na świeżym powietrzu, mimo baldachimu nad głową młoda niewolnica w regularnych odstępach czasu namaszczała mu włosy olejkami i nacierała skórę balsamami, jakby chroniąc go przed podmuchami gorącego, prażącego wiatru.

Dziewczyna owa zawsze zwracała uwagę Conana, bo choć zachowywała się z powściągliwością i pokorą niewolnicy, w każdym jej ruchu wyczuwało się niepohamowaną, dojmującą odrazę wobec jej pana. Kiedy go dotykała, na jej obliczu pojawiał się mimowolny grymas wstrętu i przerażenia, wywołujący u Conana niewytłumaczalny ucisk w dołku. Nefren natomiast spoglądał na niewolnicę z sardonicznym rozbawieniem, naturalnie w takim stopniu, w jakim jego pobrużdżone, nieruchome oblicze zdolne było do wyrażenia jakichkolwiek emocji. Trudno powiedzieć co wywoływało w niej taki lęk, gdyż na ciele dziewczyny, bardzo skąpo zresztą odzianym i dobrze odżywionym, nie widać było śladów po ciosach bata.

Conan czuł, że osobliwość Nefrena wiąże się w jakiś sposób z nieokreśloną zagadką grobowca i zapragnął dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej. Któregoś razu, kiedy dziewczyna nabierała wody ze wspólnego zbiornika, podszedł do niej.

- Lękasz się swego pana. - Odezwał się w dialekcie stygijskim i uśmiechnął się. - Nic w tym dziwnego. Mnie także nie podoba się jego wygląd.

Kobieta spojrzała na niego oczami rozszerzonymi przerażeniem, a z jej ust popłynął dźwięk, jaki mogła wydać tylko osoba niema lub pozbawiona języka. Odwróciła się na pięcie i pobiegła co sił, rozlewając wodę ze swego mosiężnego naczynia. Siedzący poniżej Nefren usłyszał jej przeraźliwy krzyk i odwrócił się. Uniósł wzrok i mrużąc lekko powieki, spojrzał na Conana. Rozpoznał barbarzyńcę.

- Szykować się tam, obiboki! A teraz w górę! Ciągnijcie, wy nic nie warte węgorze pomioty!

Na rozkaz nadzorcy podeszwy ośmiu dziesiątków sandałów zaszurały na kamieniach i czterdzieści brązowych ciał naprężyło się niczym segmenty wielonogiego owada, wijącego się wzdłuż górnej krawędzi nie dokończonego grobowca. Skórzany wyciąg zaskrzypiał w naoliwionych blokach, a olbrzymi kanciasty głaz uniósł się z kamiennego podkładu pod kątem w górę, aż jego krawędź zaszorowała o jedną z trzech podpierających go belek.

- Stać! Tak trzymać! - rzucił nadzorca. Nie mocując liny robotnicy jęli ciągnąć z całych sił, utrzymując głaz kilka szerokości dłoni nad kamiennym podkładem.

- A teraz dźwignia! Tylko równo napierajcie, żeby nie narobić większych szkód.

Krępy półnagi nadzorca spacerował butnie w tę i z powrotem, ale nic więcej nie mógł powiedzieć trzem mężczyznom, którzy wsunęli długie drewniane tyczki w szczelinę obok głazu, usiłując oddzielić go od wpasowanego wcześniej drugiego bloku. Podszedł do krawędzi muru i łypnął na Conana, który zawisł na końcu liny, sondując szczelinę długim, drewnianym przyrządem.

- Żywiej tam, barbarzyńco! Cały zespół czeka.

- Ucisz się, kurwi synu! - Warknął Conan. - Sam nie zrobiłbyś tego lepiej, nawet gdybyś miał dość dużo zimnej krwi, by zejść tu na dół. Powiedz im, żeby mocniej podważyli.

Conan zwiślał na linie z niemal pionowej ściany grobowca, dzierżąc w dłoni przyrząd podobny do pogrzebacza, polecono mu bowiem usunąć odłamek kamienia, odłupany z jednego z bloków, który przeszkadzał w umieszczeniu głazu w przeznaczonym dlań otworze. Klin ów wpijał się teraz w pionową część otworu ciężarem podwieszono na linie głazu. Conan zawisł, zapierając się mocno stopami o ścianę i szarpiąc z całej siły, próbował wydobyć ułomek.

- Wychodzi! - zawołał. - Pchnijcie bardziej w bok. O, tak!

Conan wygarnął hakiem kamienny odłamek. Powód tej skomplikowanej operacji spadł, odbijając się z grzechotem od ściany mauzoleum, by spocząć na stercie potrzebnych belek poniżej. Wykute starannie bloki zetknęły się z łoskotem, miażdżąc końce dźwigni, zanim zdołano je wydobyć z otworu.

- Jeszcze jakieś mniejsze ułamki?... Nie? To opuszczajcie, tylko delikatnie.

Wbrew poleceniu nadzorcy i napiętym mięśniom załogi głaz runął z

impetem, od którego aż zaskrzypiał wyciąg.

- Nie! Na diabły Croma! Zaczekajcie! - Głos Conana ucichł w potwornym hałasie, z którym głaz wcisnął się na swoje miejsce. Gorące powietrze buchnęło mu w twarz, przepełnione kamiennym pyłem, drobinami żwiru i iskrami. Oślepiiony na chwilę stracił oparcie dla stóp i odepchnął się z całej siły w bok, by zawisnąć bezwładnie na naprężonej mocno linie. Gdy poczuł, że coś nad nim zaczyna pękać, obrócił się w powietrzu i machnął zaopatrzoną w hak łaską, aby zaczepić się o krawędź kamiennego bloku powyżej. Powoli, dłoń za dłonią, przesuwał się po drzewcu pod górę, aż w końcu przedostał się i usiadł na krawędzi muru. Przetarłszy wreszcie oczy obejrzał linę, na której wisiał. Zobaczył, że po otarciu o ostrą krawędź skalnego bloku, kiedy musiał salwować się ucieczką, została w dwóch trzecich rozcięta. Zaklął szpetnie i odwrócił się do nadzorcy. Osilek był już daleko i prowadził swój zespół w dół, po szerokich drewnianych drabinach, aby rozpocząć wciąganie następnego głazu.

- Czy to więzień Conan? - dobiegł go z tyłu czyjś głos. - Ej, ty, mam dla ciebie nowe zadanie.

Conan rozejrzał się dokoła i ujrzał, jak strażnik w pasie i płaszczu straży cmentarnej, macha nań i wskazuje drabinę wiodącą w głąb mauzoleum. Obok niego stał drugi mężczyzna, dobrze opłacany rzemieślnik, na co wskazywał krój i jakość jego bawełnianego kiltu. Conan wzruszył ramionami i wstał, zabierając po drodze sandały.

- Powinien się nadać - mruknął rzemieślnik. Był to młody, gładko ogolony mężczyzna, szczupłej budowy ciała, nie wyglądający na robotnika fizycznego. Nie imponował opalenizną, widać było, że większość prac wykonuje zwykle w pomieszczeniach zamkniętych lub pod ziemią. Conan zbliżył się i stwierdził, że tamten ma za pasem cyrkiel i suwmiarkę, tak jak ktoś inny mógłby nosić broń albo oficerską buławę. A więc był to kreślarz. Conan zaczął się zastanawiać, co człowiek jego profesji robi w takim miejscu.

- Barbarzyńco, to Mardak - oznajmił strażnik. - Będzie twym nadzorcą. Rób wszystko, co ci każe.

- Wypełniam szczególne zadanie, Conanie. Wymaga ono wielkiego zaufania i chęć, by wykonali je najlepsi robotnicy. Jesteś podobno jednym z nich. - Mardak wydawał się młodzieńczo otwarty i przyjazny, brakowało mu typowej wyniosłości wytrawnego rzemieślnika. - Większość tych, którymi kieruję, otrzymuje dodatkową zapłatę. Myślę, że ciebie to również obejmie. - Spojrzał na strażnika, a ten władczo skinął głową.

Conan przyglądał mu się przez chwilę sceptycznie, po czym wzruszył ramionami.

- To nie może być gorsze od zadań, które wykonywałem do tej pory. Prowadź.

Mardak uśmiechnął się szeroko i uścisnął dłoń barbarzyńcy, po czym zaczął: schodzić po drabinie na dół. Conan podążył za nim. Strażnik szedł ostatni. Wszędzie dookoła trwały gorączkowe prace, i roilo się niczym w gnieździe termitów, z którego zdarto wierzchołek, odsłaniając wewnątrz na działanie palących promieni słońca. W grobowcu trwała uporczywa krzątanina, przepełniona jednak radością; choć praca była ciężka a cel posępny i niepokojący, wręcz mistyczny, robotnicy wydawali się pogodni i niefrasobliwi. Byli to szczupli, ogorzali od słońca synowie rzeki, wielbiący życie i nawykli do ciężkich prac pod okiem srogich panów. Wykonywali znojne zadania ze stoickim spokojem, postrzegając je w najgorszym razie jako odmianę po harówce na polach i choćby tylko iluzoryczną szansę, by miast ciuć grosz do grosza na przetrwanie, raz w życiu zarobić przyzwoite pieniądze. Towarzyszące mężczyznom kobiety pracowały równie wytrwale jak oni. Niektóre z nich miały ze sobą małe dzieci. Wszyscy śpiewali i dźwięczne tony muzyki towarzyszyły nawet najbardziej znojnym pracom.

Przechodząc z jednej drabiny na drugą, by zejść niżej w głąb grobowca, Conan stwierdził, że w miarę jak nad jego głową zmniejszał się prostokąt nieba, cichły również śpiewy. Niebawem dotarli do pierwszych w mauzoleum służących do schodzenia wąskich szybów oraz galerijek, gdyż w kamiennej budowlu większość pomieszczeń i korytarzy wykuto w podłożu z miękkiego piaskowca. Mimo iż tu również roilo się od robotników, ci Shemici wydawali się cisi i posępni, jakby brakowało im dziennego światła. Od dawna już w górze nie było widać prostokąta nieba, a oni schodzili wciąż niżej i niżej. Drogę oświetlały im lampy oliwne zawieszane na ścianach. Powietrze było tu gęste od oparów oliwy, a przygarbieni,

spoceni kopacze tuneli przypominali skurczonych, odrażających troglodytów. Conan nigdy jeszcze nie zpuścił się tak daleko w głąb grobowca.

Mardak nie zważał na otoczenie, które było dlań czymś zgoła pospolitym.

- Zaczął mówić dla zabicia czasu.

- Jestem budowniczym, kreślaczem z wykszolenia. Teraz wszelako mam okazję wypróbować od początku do końca swe umiejętności, zarówno w tworzeniu projektów, jak i w budownictwie. - Spojrzał ufnie na Conana, czekając aż zwolnią dlań drabinę robotnicy wynoszący w wielkich koszach na plecach gruz. - Niektóre elementy projektu zostały pomyślane tak, aby zrealizowały je możliwie jak najmniejsze zespoły. Rozumiesz, to ma być tajemnica. Wiaza się z tym wielkie możliwości, nie tylko dla mnie, lecz również dla takiego jak ty robotnika.

Schodząc po podwójnej drabinie, Conan zmarszczył brwi.

- A więc będziemy pracować przy sekretnych pomieszczeniach grobowca? - Mardak skinął głową. - Przy najstarszym z nich. Stworzyłem projekt zamknięcia komnaty królewskiej. Raz zamknięta może być otwarta jedynie od wewnątrz, kiedy lud i jego świta przebudzą się do nieśmiertelności w Dniu Zguby! - Uśmiechnął się, stając się zarazem bardziej wylewnym. - Moja koncepcja jest zaprawdę genialna! Sam wkrótce się o tym przekonasz. Na życzenie kanclerza Horaspesa opracowałem unikalny mechanizm, sporządziłem wszystkie plany, a potem nadzorowałem budowę. Poszczególne części mechanizmu wykonywano w oddalonych od siebie szopach, a ci co je robili, nie wiedzieli, nad czym właściwie pracują. Teraz pozostaje jedynie połączyć elementy w jedną całość.

Conan nie wierzył własnym uszom. Serce zakołatało mu w piersi, gdy przypomniał sobie swoje stare plany splądrowania wielkiego grobowca. Odpowiedział jednak niespiesznie, udając, że temat ten nieszczególnie go interesuje.

- Kanclerz musi ci bardzo ufać.

- O tak. Obiecano mi... no, powiedzmy, że zostanę wynagrodzony po królewsku. W ostatnim etapie prac wszyscy moi robotnicy otrzymają premie, osobiście mam tego dopilnować. Co ważniejsze jednak, może to być krok ku rzeczom znacznie większym... Uważaj! Tu trzeba zachować szczególną ostrożność!

Schodzili gęsiego wąskim korytarzem, a drogę oświetlał im blask kaganka trzymanego przez strażnika, który szedł z tyłu za nimi. Dotarli do lampy ostrzegawczej, by stwierdzić, że drogę zagrodziły im stemple zabezpieczające jedną ze ścian korytarza, w której od podłoża po sufit ziały głębokie szczeliny.

- Osuwisko musiało mieć miejsce nie dalej jak wczoraj. Najlepiej byłoby zasypać cały korytarz, mimo to uważam, że damy jakoś radę się precyzyjnie.

Mardak precyzyjnie się ostrożnie pomiędzy ustawionymi pionowo belkami i ocalałą ścianą tunelu.

- Słyszałem o tych zawałach. Wielu dobrych ludzi straciło w nich życie.

Conan musiał nieźle się natrudzić, aby precyzyjnie się przez prześwit; miał wrażenie, że czuje, jak pod naporem jego ciała szczelina w skale zaczyna się poszerzać.

- Jak to, czyżby mauzoleum budowano na niedogodnym gruncie?

- Nie - odparł Mardak. - To zdarza się tylko w kilku miejscach, gdzie piaskowiec podłoża jest naruszony przez biegnące w nim starsze tunele grobowe. Nie lękaj się, komorze królewskiej nic nie grozi. Sprawdziłem ją bardzo dokładnie.

Poza odcinkiem wzmocnionym stemplami, z ich pasażem łączył się drugi, szerszy, biegnący pod kątem i oświetlony wiszącymi na ścianie lampami. - To główny korytarz, którym Jego Królewska Wysokość zostanie zniesiony do grobowca - oznajmił z dumą Mardak. - Idąc na prawo dochodzi się do wielkiej bramy głównej. Na lewo zaś do westybulu komnaty królewskiej.

Ruszył w dół, gdzie pasaż przeszedł w rozległe pomieszczenie o wysoko sklepionym suficie. Było szerokie i wysokie, choć nie tak przestronne jak zdobiona kolumnadą galeria w pradawnym grobowcu na pustyni, który teraz wydawał się Conanowi odległym wspomnieniem. Na tej otwartej przestrzeni zgromadzono podłużne bloki skalne, zapakowane w drewniane skrzynie, które z zapałem wyjmowało teraz kilku przydzielonych do tego zadania robotników. Przy przeciwległej ścianie widać było sporych rozmiarów łukowato sklepione wejście, ozdobione misternymi płaskorzeźbami.

- Tu właśnie, w samym sercu grobowca znajduje się nasze miejsce pracy. - Mardak odwrócił się do strażnika. - Wielkie dzięki. Mam już całą ekipę - rzekł tylko. Strażnik odpowiedział krótkim, zdawkowym skinieniem głowy. Od jakiegoś

czasu miał kwaśną minę, może raziła go otwartość, z jaką Mardak zwracał się do prostego, cudzoziemskiego robotnika. Odwrócił się na pięcie i dołączył do dwóch strażników strzegących pobliskiego korytarza.

Mardak doprowadził Conana do pozostałych robotników. - To najlepsi fachowcy w dziedzinie budownictwa. Potrzebowałem jednak kogoś takiego jak ty, obdarzonego wyjątkową siłą i długimi, mocnymi ramionami. Pracujemy w dość trudnych warunkach. - Uniósł głos zwracając się do pozostałych. - To Conan, ostatni członek naszej ekipy.

Pół tuzina robotników uniosło wzrok, aby na niego spojrzeć. Byli to twardzi, nawykli do ciężkiej pracy Shemici, na ich skórze w migotliwym świetle kaganków odcinały się białe smugi kamiennego pyłu. W ich spojrzeniach było coś posępnego, choć Cymmerianin nie potrafił orzec, czy to za sprawą prac, które im przydzielono, czy może faktu, że on, Conan był cudzoziemcem.

- Chcę, byście wszyscy pojęli naturę naszego zadania i związane z nim szczególne zagrożenia. A oto gdzie będziemy pracować. - Mardak przeprowadził ich przez zdobione płaskorzeźbami, łukowato sklepione wejście do krótkiego korytarza o niezwyklej kształcie, w którego ścianach widniały osobliwe rynienki i nisze. Conan mrużąc oczy przed blaskiem dostrzegł w oddali lśnienie turkusowych i alabastrowych mozaik, którymi wyłożone było zapewne wnętrze komnaty królewskiej. Wnętrze pomieszczenia było mroczne i dziwnie puste, oświetlał je tylko blask kaganka Mardaka. Kreślarz umilkł, unosząc wysoko lampę, by każdy z mężczyzn mógł się dobrze rozejrzeć. Choć w migotliwym blasku dostrzec można było półszlachetne ozdoby na ścianach i podłodze, jak dotąd, nie znalazło się tam nic naprawdę cennego.

- Nie wolno wam sprofanować tego miejsca, ani niczego stąd zabrać. Pod karą śmierci - ostrzegł Mardak..- Będziemy pracować przy wejściu.

Poleciał przynieść więcej lamp i jał opowiadać o osobliwościach projektu korytarza, wyjaśniając jego przeznaczenie oraz metody konstrukcji. Kiedy odrzwia zostaną zamknięte, wejście zablokują przemyślnie dopasowane do siebie kamienie, a te z kolei zaklinowane zostaną przez następne, niczym w khitajskiej układance - łamigłównce. Następne głazy opuszczane będą z wąskich zamkniętych szybów, utworzonych w korytarzu, i w efekcie powstanie u wejścia potężna zaporą grubości kilkunastu kamiennych bloków. Portal stanie się nie do sforsowania dla grabieżców, hien cementarnych, a nawet armii najeźdźców; kiedy król i jego świta przebudzą się w Dniu Zguby, wydostaną się z grobowca bez trudu od wewnątrz, usuwając ruchome głazy w odpowiedniej kolejności, na koniec zaś otworzą zamontowane na kamiennych zawiasach wrota.

Conan nie był w stanie wyobrazić sobie mechanizmu, ale pojmował, że prace będą musiały zostać wykonane od bramy w głąb grobowca, jako pierwsze opadną bowiem ostatnie z zamontowanych przez nich głazów. Główne niebezpieczeństwo, jak wyjaśnił projektant, polegało na tym, że mechanizm mógł zostać uruchomiony przedwcześnie. Gdyby tak się stało, nie tylko oni wszyscy ponieśliby śmierć, ale spowodowałiby również niewiarygodne utrudnienia dla kolejnych załóg.

Mardak skończył swój monolog i w ciągu godziny ekipa rozpoczęła pracę. Usunęli deski zabezpieczające głazy o specyficznym wyglądzie - większość z nich miała kształt melonów - po czym umieścili je w wyznaczonych miejscach. Conan pełnił w tym zadaniu kierowniczą rolę, kiedy bowiem tuzin ramion dźwigał w górę kolejny kamień, szczególnie silny mężczyzna musiał za pomocą łomu klinować w odpowiednim miejscu poprzeczni.

Od czasu do czasu Conan wpełzał do kamiennych szybów, by je oczyścić, i wraz z Shemitami przelewał pot, instalując tymczasowo drewniane spony. Mimo to towarzysze traktowali go z dystansem. Przyglądając się kompanom, którzy pracowali wspólnie, w milczeniu, lecz z niezwykłą wręcz efektywnością Conan stwierdził, że wobec siebie również zachowywali osobliwy dystans. Mardak zmuszał ich do wyczerpującej pracy, aż wskutek zmęczenia jednemu z mężczyzn przydarzył się wypadek i zmiażdżyło mu nogę.

Nadzorca o miękkim sercu długo ronił łzy nad tragedią robotnika, którego, jęczącego przeraźliwie, wyniosło z tunelu dwóch robotników.

Przyniesiono kosze z chlebem i daktylami oraz gliniane dzbany z winem, które po opróżnieniu miały pełnić funkcję nocników. Mężczyźni posilali się w milczeniu, obserwując zmianę warty przy przeciwległym końcu komnaty. Następnie rozesłali na podłodze posłania ze słomy i rozłożyli się na nich, rozprostowując zdętwiałe, obolałe kończyny. Przesłonięta lampy i zrobiła się noc.

Conan jednak wciąż był niespokojny. Nie mógł zasnąć, wstał więc i podkradł się w stronę komnaty. Obok przyściemnionej lampy, ze skrzyżowanymi nogami na podłodze siedział Mardak i popijając wino kreślił coś na woskowej tabliczce. Conan przystanął obok projektanta, a ten wyraźnie zaskoczony uniósł wzrok.

- Cóż, Mardaku, twoja blokada wejścia toż pewnością wspaniałą wynalazek. Nie mogę się doczekać, by ujrzeć go w działaniu. - Przycupnął obok kreślarza. - Mam jednak pytanie. Skąd wiadomo, że gdy nadejdzie czas, twój projekt nie zawiedzie? A jeśli nawet, skąd ktokolwiek będzie miał pewność, że wszystko poszło zgodnie z planem?

Mardak wyglądał na zmęczonego i wciąż poruszonego niedawnym wypadkiem, lecz uśmiechnął się do Conana. - Zbudowałem drewniany model i zademonstrowałem jego działanie samemu kanclerzowi Horaspesowi. Zadziałał więcej niż jeden raz, zanim spaliliśmy go gwoźli bezpieczeństwa. Prorok mi ufa i to wszystko, co muszę wiedzieć.

Conan skinął głową, rozważając słowa Mardaka. - Czy jednak zechce zaufać ci, gdy już będzie po wszystkim? Czy uzna cię za godnego dochowania tajemnicy? Czy zaufa nam wszystkim, którzy będziemy znać sposób zabezpieczenia największych bogactw monarchy?

Mardak uniósł brew. - Kiedy grobowiec zostanie zablokowany, ani my, ani nikt inny nie będzie w stanie dostać się do niego od zewnątrz, niezależnie od tego, czy poznamy sposób jego zamknięcia, czy też nie. - Uśmiechnął się i pokręcił głową. - Nie lękaj się, Conanie. Kanclerz solennie obiecał mi, że po zrealizowaniu projektu zostanie puszczonej wolno i otrzymam przyrzeczoną mi zapłatę. A skoro ja ocalę skórę, to czemu tobie miałoby coś się stać? A jeśli chodzi o to, czy mój wynalazek zadziała bez szwanku - projektant zerknął na lewo i prawo i nieznacznie obniżył głos - czy za tysiąc lat będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie dla czterech martwych, pomarszczonych mumii?

Conan zamyślił się nad tym przez chwilę. - Nie wierzysz zatem w przebudzenie umarłych w Zaświatach i nauki głoszone przez Horaspesa?

- Może jest w tym coś, w bardziej eterycznym, mistycznym znaczeniu - Mardak wzruszył ramionami - jednak z moim wykształceniem byłbym głupcem, gdybym przyjmował takie teorie na wiarę, tylko dlatego, że wyklada je jakiś prorok.

Conan zmarszczył brwi. - Czemu zatem ryzykujesz życiem, budując ten grobowiec?

- A dlaczego nie? To chwała. - Projektant z niecierpliwością wypił łyk wina i odstawił kubek.

- Najważniejsze jest, że spóółstwo w to wierzy, a król tego pragnie. Dzięki temu interes kwitnie, a dla takich jak ty czyja otwierają się nowe, wielkie perspektywy. - Mardak spojrział konfidencjonalnie na Conana. - To kwestia wiary innych ludzi, tak jak wartość pieniędzy. W gruncie rzeczy czym są tak naprawdę złoto i klejnoty? Nie możesz ich zjeść, przyrodzić się w nie, ani zbudować z nich domu. Czemu więc nie zgromadzić ich, jak tutaj, w podziemnych tunelach? Czy to coś złego?

Projektant znów rozejrzał się dokoła, aby upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje i nieco ciszej dorzucił: - Zrozum, nie żebym był chciwy. Podjąłem to ryzyko, bo mam sporą rodzinę, której jestem jedynym żywicielem. Dzięki tej fortunie mój młodszy brat będzie mógł pójść do szkoły zakonnej. Moje siostry zdobędą posag, a moi rodzice nigdy już nie będą lękać się nędzy. - Uśmiechnął się znowu i pokręcił głową

- Ale ja ci tu zawracam głowę, opowiadając o sprawach, które z pewnością cię nie interesują, a ty przecież potrzebujesz snu. - Wyciągnął rękę, aby uścisnąć ramię barbarzyńcy. - Dobrej nocy, Conanie.

Cymmerianin przemaszerował przez ciemny korytarz i ułożył się na swoim posłaniu. Wciąż nie mógł jednak zasnąć. Podparł się na łokciu, by spojrzeć na mężczyznę leżącego opodal. On również czuwał. Był to jeden z najstarszych robotników. Szczupły, łysy mężczyzna cieszył się wielkim szacunkiem u reszty Shemitów.

- Esfahanie, twarze twoich ludzi są posępne. Wiem, że musi być po temu jakiś solidny powód - wyszeptał. - Lękaś się, że zostaniemy uciszeni na zawsze przez straż cmentarną?

Starszy mężczyzna prychnął w głos, a jego paciorkowate oczy zalśniły w słabym świetle. - Nie wiem, cudzoziemcze, czy w krainach Północy rodzą się sami głupcy, ale jeśli spodziewasz się, że ktokolwiek z nas opuści to miejsce żywy,

zaiste musisz nim być. Skończonym głupcem. - Conan zaklął pod nosem.

- Cóż, cokolwiek dla nas szykują, możemy spróbować jakoś się przed tym ustrzec. Jeżeli o mnie chodzi, nie zamierzam tanio sprzedać swojej skóry! - Nie doczekał się odpowiedzi; najwyraźniej Esfahan uznał rozmowę za zakończoną, odwrócił się bowiem do barbarzyńcy plecami i znieruchomiał, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę.

W jakiś czas potem Conan również pogrążył się w niespokojnym śnie.

## XI

### Pod grobowcami

Poranek przyniósł ze sobą jak zawsze, zmianę wart, wygaszenie lamp i otępiełe bolesne przebudzenie. Po przełknięciu kilku łyków zimnego kleiku z kozim mlekiem i figami podjęli pracę pod czujnym okiem Mardaka.

Tym razem byli rozważniejsi, ale i bardziej wydajni. W kilka godzin ostatni kamienny blok został obsadzony na swoim miejscu. Zamontowano również drzwi. Mechanizm zegarowy, klepsydrę, w której piasek zacznie przesypywać się, gdy tylko zamkną się wrota, umieszczono w przeznaczonych dlań niszy i uzbrojony Mardak poszedł, by złożyć raport o zakończeniu pracy, podczas gdy Esfahan nadzorował rozmontowywanie przez Conana i pozostałych niepotrzebnych już stempli.

Zanim skończyli, wejście do komnaty królewskiej zmieniło się w zwyczajnie z pozoru wyglądający korytarz. Robotnicy zajęli się oczyszczaniem westybulu i usuwaniem zbędnych belek podporowych.

Conan zwrócił jednak uwagę na niepokojącą zmianę, jaka zaszła na zewnątrz. U wylotu centralnego korytarza zebrało się sześciu strażników cmentarnych, po jednym na każdego członka zespołu Mardaka. Z tyłu za nimi majaczyła upiornie znajoma postać wysokiego, nieugiętego przybocznego kanclerza, Nefrena. Osobliwy ochroniarz kapłana bacznie przyglądał się robotnikom, debatując równocześnie z kapitanem straży. Conan podszedł do Esfahana i mruknął cicho, odwracając wzrok, by starszy mężczyzna podążył za jego spojrzeniem: - Wygląda, wuju, że czas jest bliski. Straże zaczynają się zbierać. Pora, byśmy uczynili nasz nich.

- Co proponujesz, góralu? - Mężczyzna nie poruszył oczami.

Conan pokonał zniecierpliwienie i nie chcąc przyciągać niepotrzebnie uwagi, odrzekł półgłosem. - Jak to co? Walkę, ma się rozumieć. Uciekniemy lub umrzemy śmiercią godną mężczyzny. Spójrz, mam sztylet. Wyjął zza przepaski biodrowej krótki przedmiot owinięty w zielony jedwab i odwinął materiał, stając tak, by nikt prócz starszego mężczyzny nie mógł go zobaczyć.

- Powiedz swoim, aby uzbroili się w pałki.

Esfahan uparcie zaprzeczał ruchem głowy i przez cały czas unikał wzroku Conana. - Cudzoziemcze, stąd nie ma ucieczki! Jedyne, co możesz osiągnąć, to przedłużyć czas umierania, naturalnie jeśli nie jesteś szpiegiem. Lepiej użyj tego sztyletu, by skrócić sobie męczarnie!

Conan parsknął zdegustowany i odwrócił się. Ruszył pomiędzy grupkami robotników w stronę strzeżonego pasażu, trzymając sztylet poniżej biodra i odwracając ostrze tak, by rozbłysło w świetle kaganków, przykuwając uwagę Shemitów. Miał nadzieję, że żaden z nich nie krzyknie. Bez słowa lustrował ich twarze, wypatrując zrozumienia i poparcia. W ślad za nim podążyło kilku młodzików, żaden jednak nie wydawał się dostatecznie zdeterminowany.

Wyraźnie rozleniwieni strażnicy z zadowoleniem kontemplowali ostami etap prac skazanych na śmierć robotników. Stali w westybulu pod ścianami, samotnie lub po dwóch, i cicho o czymś rozmawiali.

Conan pomaszerował w ich stronę trzymając nóż za plecami. Jeden czy dwóch strażników uniosło wzrok, spoglądając nań z rozdrażnieniem. Byli jednak zbyt rozleniwieni, a barbarzyńca przeszedł z marszu w bieg tak szybko, że minął ich, zanim ktokolwiek zdążył zareagować.

Pognał w stronę bocznego korytarza prosto na Nefrena, gdyż dwaj strażnicy rozmawiający z kapitanem stali odwróceniem doń plecami. Kapitan usłyszał nadbiegającego Conana i odwrócił się, usiłując dobyć miecza. W ten sposób znalazł się pomiędzy Conanem a jego właściwym celem i to jego dosięgnął cios sztyletu. Ostrze musnęło tylko ciało, nie wyrządzając dowódcy większej szkody,

choć Conan poczuł, że jego pięść zgruchotała jedno lub dwa żebra. Kapitan zatoczył się na Nefrena, spychając go na ścianę.

Cymmerianin tymczasem minął już strażę i wypadł na korytarz, na ścianach którego wisiały zapalone lampy. Za jego plecami rozległy się zduszone okrzyki i tupot stóp, gdy straż cmentarna osaczyła resztę robotników; oglądając się przez ramię barbarzyńca stwierdził, że tylko on zdołał się przebić, niemniej jednak gromadka młodzieńców spowolniła pościg. Przyspieszył jeszcze bardziej i tunel rozbrzmiał echem jego kroków. Wiedział, że tuż przy wyjściu tunel będzie zatłoczony i postanowił wybrać jeden z węższych, bocznych korytarzy, by jego prześladowcy zmuszeni byli biec gęsiego. Przyjrzał się czterem wylotom korytarzy, mrużąc lekko powieki w rażącym żółtym świetle. Czy tylko mu się wydawało, czy też dostrzegł jakieś cienie poruszające się w półmroku? Wtem tuż przed nim pojawił się upiór, i na jego widok barbarzyńca stanął jak wryty.

Był to Mardak, jego młody nadzorca. Teraz wyglądał przerażająco. Oczy miał przeszkłone, twarz białą jak ściana, a podbródek i szyję, pokrywała zakrzepła krew, której ślady ciągnęły się od ust. Ramiona mężczyzny kończyły się na wysokości nadgarstków kikutami, które owinięto w białe niegdyś, a teraz czerwone od krwi bandaże. Powłócząc nogami szedł naprzód, podtrzymywany przez dwóch kapłańskich akolitów, z których jeden miał niedużą, złoconą szkatułkę.

Conan nie musiał do niej zaglądać, by wiedzieć, iż znajdowały się w niej dłonie i język nieszczęsnego budowniczego. Najwyraźniej Horaspes postanowił dotrzymać słowa i pozostawić wiernego sługę przy życiu.

Na widok wymachującego sztyletem olbrzymia akolici wpadli w panikę i wraz z kaleką zrejterowali do tunelu, Conan tymczasem jał zastanawiać się, co czynić dalej.

Oglądając się przez ramię stwierdził, że Nefren mimo zeszywniałych jak patyki nóg, wysforował się przed resztą straży i lada moment go dopadnie. Cymmerianin nie namyślając się długo wybrał znajdujący się najbliżej wylot wąskiego tunelu. Był to ten sam korytarz, który przemierzał dziś wcześniej.

W pewnej odległości od niego z krokwi sufitowych zwieszał się dyndający kaganek. Barbarzyńca pobiegł co sił, przeklinając przeszkodę i światło. Jedno i drugie mogło kosztować go życie. Prawie nie zwolnił omijając pierwszy stempel i obejrawszy się przez ramię spostrzegł doganiającego go Nefrena. Szczupły Stygijczyk bez trudu radził sobie w wąskim korytarzu. Zbliżał się, unosząc w prawej ręce miecz.

Zamiast rzucić się wstecz, Conan uchylił się i oplatając jedną ręką stempel wykonał szybkie, podstępne pchnięcie w brzuch Nefrena. Ostrze napotkało silny opór i w tej samej chwili miecz Stygijczyka trafił w drewniany pal odłupując długą drzazgę. Silne uderzenie nadwerężyło deski i naruszone kamienie. Conan usłyszał dobiegający z góry przejmujący trzask, chrzęst i zgrzyt, a potem poczuł, że podłoga pod jego stopami zaczyna się zapadać. Cały świat zawirosował, a przed oczyma zrobiło mu się ciemno. W krótkiej jak uderzenie serca chwili w myślach Conana jawił się tylko jeden uporczywy obraz - rozplątana cięciem sztyletu jedwabna koszula i brzuch Nefrena, z którego zamiast krwi popłynął cienki strumyk jasnego piasku i suchych wonnych ziół.

Ból i ciemność. Cisza, ciasnota i ból. Świat nabrał nowych, ograniczonych rozmiarów; Conan miał wrażenie, jakby tkwił w zaciśniętych szczękach wielkiej kamiennej bestii.

Spróbował podnieść głowę, ale ból pod czaszką tylko się nasilił. Poczuł chłodny piasek osypujący się po policzku. Jego ruch powstrzymała szorstka, ostra jak nóż kamienna krawędź, wpijająca mu się w kark. Ponownie oparł głowę na drobnym, kanciastym żwirze. Kamienne drobiny osypywały się jeszcze przez chwilę z jego ciała. Conan znieruchomiał, zastanawiając się, czy coś lub ktoś nie nadsłuchuje właśnie w ciemnościach, ścigając go. Nie było słyhać żadnych innych odgłosów, nie było również światła. Ale czy na pewno? Zwolna jał nabierać przeświadczenia, że oślepl. Zamrugał i lekko pokręcił głową, próbując wypatrzeć choć odrobinę światła. Bezskutecznie. Pulsujący w czaszce ból nie dosięgał jednak gałek ocznych, lecz promieniował od skroni. Prawdopodobnie więc barbarzyńca nie stracił wzroku, tylko znajdował się w kompletnej ciemności.

Po dłuższej chwili bezowocnego nasłuchiwania spróbował poruszyć podrapanymi, poobijanymi kończynami. Choć ze wszystkich stron otaczały go ostre kamienie, nie był kompletnie unieruchomiony i powoli, systematycznie zaczął wydobywać się z potrzasku. Lewą, swobodniejszą ręką obmacał przestrzeń wokół głowy, świadom, że jeden nieostrożny ruch może zmienić ciężki, zwisający nad



jego karkiem kamień w katowski topór. Z jednej strony, obok głowy wymacał dość sporą niszę. Wyginając kręgosłup w łuk, aż do bólu, powoli wyslizgnął się z pułapki i legł, dysząc z ulgą, na ostrych kamieniach. Choć następny ruch wykonał bardzo ostrożnie, wywołał istną lawinę kamieni. Barbarzyńca stoczył się wśród kaskad żwiru po kamiennym stoku.

Nie sturlał się daleko, a i kamyki nie były na tyle duże, by mogły mu zagrozić. Znieruchomiał dotykając obiema dłońmi płaskiej, zimnej powierzchni. Znow znieruchomiał, czekając, aż przestaną sypać się nań potoki żwiru. Ani śladu pogoni. Przeciągnął się ostrożnie i dotknął zranionej skroni. Obrażenie nie było zbyt poważne; głowa była śliska od krwi, lepkiej mazi, w której utkwiliły drobiny żwiru. Jął wolno przesuwając się na czworakach po kamiennym podłożu. Było równe i z pewnością nie powstało z przyczyn naturalnych. Barbarzyńca trafił do jeszcze jednego tunelu, dzieła rąk ludzkich, albo może potworów. Conan zadrżał, wspominając, co powiedział Mardak o korytarzach starych grobowców, ciągnących się pod mauzoleum Ebnezuba. Jednak wady królewskiego grobowca mogły przynajmniej na pewien czas ocalić mu życie. Nefren i jego silnoręcy zostali zmuszeni do przerwania pościgu lub, co również możliwe, zginęli podczas zawału. Naturalnie, jeśli Stygijszyk nie umarł po zadanych mu przez barbarzyńcę pchnięciu nożem w brzuch. Trudno jednak powiedzieć, czy istotę mającą w żyłach piasek zamiast krwi można w ogóle zabić.

Conan wzdrygnął się znowu. Ileż by dał, aby uwolnić się raz na zawsze od tych przeklętych czarów i intryg! Teraz wiedział już, że przydzielono go do drużyny skazańców Mardaka, gdyż został rozpoznany przez Nefrena. Najprawdopodobniej przyboczny doniósł na niego do Horaspesa. Zapewne to właśnie kapłan, a może nawet sama królowa wydała rozkaz przeniesienia, równoznaczny dla barbarzyńcy z wyrokiem śmierci.

Teraz, jeśli wszystko się ułoży, dojdą do wniosku, że zginął w zawalonym tunelu. Skądinąd może całkiem słusznie. Jeśli chciał zadać temu kłam, musiał działać. Ukryć się, czy coś w tym rodzaju.

Stracił sztylet, pomacał więc dłonią przed sobą i wyszukał nadający się do obrony zaostrzony ułomek kamienia. Zacisnął go kurczowo w poobijanej dłoni. Możliwe, że ścigający go strażnicy oczyszczają właśnie korytarz ponad nim i lada moment panujące tu ciemności rozświetli blask ich łuczyw.

Poruszył nogami i stwierdził, że jest w stanie się na nich utrzymać, choć nie wiedział jak długo. Pomacał dłonią nad sobą, nie dosięgając sufitu i ponownie ukucnął. Nie mógł ustalić jaki kształt czy długość miało to pomieszczenie, a nie odważył się krzyknąć, by wywołać echo. Nie wyczuł ruchu powietrza, w nozdrzach zaś miał jedynie woń suchego kurzu i starości. Popełził do przodu, szukając dłońmi rozpadlin i skalnych ścian.

Poza obszarem osuwiska podłoże pokrywał tylko kurz i wyschnięte na wiór truchła owadów, nienazwane relikty zamierzchłej przeszłości. Conan ostrożnie sięgnął dłońmi przed siebie, upominając się w duchu, że węże i skorpiony trzymają się zwykle blisko powierzchni gruntu, unikając zapuszczania się w głąb jaskiń czy tuneli. Nie spodziewał się napotkać tu jakichkolwiek żyjących istot. Wzdrygnął się więc, gdy jego dłoń dotknęła palców i rzemieni stopy obutej w sandał.

Po chwili zrozumiał, że stopa jest wykonana z kamienia i tak jak podłoże pokryta grubą warstwą kurzu. Sięgnął wyżej wzdłuż wypukłości kostki i zorientował się, że ma przed sobą relief, zdobiący płytę stojącego pionowo sarkofagu. Naturalnych rozmiarów postać w długiej szacie przedstawiała bez wątplenia osobę znajdującą się w trumnie. Cymmerianin obmacał masywną trumnę ze wszystkich stron. Ścianę, o którą była ona oparta, wykonano z wygładzonego piaskowca. Przesuwając palcami w górę, Conan pochylił się i dotknął miejsca, gdzie powinno znajdować się oblicze zmarłego. Odetchnął z ulgą. Była to twarz ludzka, a opuszki jego palców przez dłuższą chwilę muskały misternie przedstawioną na płaskorzeźbie gęstą, kędzierzawą brodę mężczyzny.

Stary shemicki grobowiec pozostawał nietknięty przez całe stulecia. Conan nie odkrył na wieku śladów użycia jakichkolwiek łupieżczych narzędzi. Płyta nie była rozbita ani popękana. Trudno powiedzieć, czy w środku mogła być jakaś broń. Otsgar z pewnością nie zawahałby się i splądrował zawartość sarkofagu.

Myśl o rywalu sprawiła, iż Conan przypomniał sobie, co było jego zasadniczym celem. Znow zaczął macać wzdłuż ściany w poszukiwaniu wyjścia, jakkolwiek szansę na odnalezienie go pod tonami skał, które tworzyły mauzoleum

Ebnezuba, były raczej znikome i Conan miał tego pełną świadomość. To co odkrył nieopodal, wprawiło go w głębokie zdumienie - szorstka krawędź rozdzielająca kamienne bryły ciągnęła się w poziomie i w pionie. Uznał, że musi to być wyjście. Kamienny portal wzniesiony nieco powyżej podłoża był na tyle duży, by mógł przecisnąć się przezeń nawet mężczyzna jego rozmiarów, oczywiście jeśli odpowiednio nisko pochylił głowę. Wejście wykonano toporniej niż resztę kamiennej komnaty, tunel był względnie nowy. A zatem grobowiec został mimo wszystko złupiony. W serce Conana wstąpiła nowa nadzieja. Znow zaczął wierzyć, że mimo wszystko odnajdzie wyjście z katakumb. Wszedł do tunelu i zaczął przesuwając się naprzód, wymacując drogę dłońmi.

Dotykając palcami ścian przeszedł dobrych kilka kroków w głąb korytarza. Nie natrafił jak dotąd na żadne odnogi czy załomy tunelu. Wtem jego stopa natrafiła na wygładzony niczym szkło kamień. Postąpił naprzód i wszedł do ciemnego pomieszczenia. Po krótkiej chwili macania dłońmi dokoła, stwierdził, że to jeszcze jeden grobowiec. A więc tunel nie prowadzi na powierzchnię, lecz łączy ze sobą dwie sąsiadujące komnaty grobowe. Co to za szaleństwo? Nadzieje w jego sercu nieco osłabły, choć w obecnej sytuacji mógł tylko kontynuować poszukiwania.

Okrzyknął po omacku komnatę i dotarł do kolejnego z grubo ciosanego tunelu. Był wykuty po części w podłożu i tworzył płytki, acz zdradliwy dół u podstawy ściany. Sądząc po kącie nachylenia ścian i śladach narzędzi, został wykuty od zewnątrz. Conanowi zaczęło świtać, że ktokolwiek tworzył te korytarze, przekuwał się od jednego grobowca do drugiego, a rozmiarów tego osobliwego labiryntu nie sposób było oszacować. Mimo to nie tracił nadziei, gdyż jak ustalili po śladach, zmierzał we właściwym kierunku, czyli do źródła podziemnej budowli. Nawet jeśli labirynt ów posiada jedno tylko nieduże i sekretne wejście, mógł je odnaleźć wykorzystując do tego swój barbarzyński spryt i intelekt. Świeżo wydrążonymi tunelami dotarł po kolei do kilku dalszych grobowców i nagle natrafił na odnogę korytarza. Nie była to jeszcze jedna komora, lecz tunel, o ścianach obrobionych toporniej niż pozostałe - pokryty tynkiem, który odpadłszy płatami zalegał na kamiennej posadzce po obu stronach. Tupnąwszy obutą w sandał stopą w podłogę, Conan usłyszał echo rozchodzące się falami w prawo i w lewo, co potwierdziło, że pomieszczenie ma kształt tunelu.

Dobrze więc, powiedział sobie w myślach. Ten korytarz musi dokądś prowadzić. Wybrał odnogę biegnącą, jak mu się zdawało, nieznacznie pod górę. Macając dłońmi ściany, z których pod jego dotykiem odpadały płaty tynku, przeszedł kilka kroków i nagle przystanął niezdecydowany, gdyż po obu stronach tunelu widniały mroczne wejścia. Sięgnąwszy w głąb nich stwierdził z ulgą, że to jedynie płytkie, niskie nisze o ścianach pokrytych odłóżkowym tynkiem, jak w pozostałej części korytarza. Kojarzyły mu się z niszami krypt albo świątyń, gdzie zwykle umieszczano posągi lub trumny. Te wszelako były puste. Nieco dalej w głąbi tunelu natknął się na kolejne nisze wykute w regularnych odstępach. Nie wszystkie były puste. W niektórych znajdowały się pomarszczone, odwodnione, wyschnięte na wiór mumie owinięte w lakierowane bandaże, które pod dotknięciami jego palców niszczały się i odpadały niczym zeschnięte liście. Conan nie badał napotkanych szczątków zbyt uważnie, ale odniósł wrażenie, że nawet jak na pradawne zwłoki, są kiepsko zachowane; niektóre z ciał wyglądały na rozprute, jakby wskutek niewłaściwego zabalsamowania, inne zaś poskręcane niczym gałęzie drzew zimą.

Obecność przerażających zwłok ucieszyła Conana. Uznał, że znalazł się w odnodze użytkowanego z dawien dawna grobowca, a co za tym idzie ma szansę na odnalezienie prowadzącego doń wejścia. Naturalnie, mogło zostać zablokowane lub zamurowane podczas ostatnich prac budowlanych. Conan nie wiedział, czy znalazł się już poza granicami mauzoleum Ebnezuba, i nie miał pojęcia, w jakim kierunku podąża. Nie znał odpowiedzi na te pytania. Nie wiedział także, co stało się z mieszkańcami pustych nisz, które mijał po drodze. Nie potrafił też powiedzieć, co sprawiło, że nagle zamarł w bezruchu i wstrzymał dech, nasłuchując w ciemnościach. Na pewno nie wywołało tego pojawienie się światła, gdyż mroku nie rozświetliła nawet jedna mała iskierka, jeżeli nie liczyć tych, które rozbłyskiwały pod jego czaszką. Musiał to być zatem cichy brzęk, zgrzyt metalu lub szuranie podeszew sandałów na kamieniach. Zmysły miał tak wyczulone, że wystarczyłby szmer, by je pobudzić. Barbarzyńca nasłuchiwał przez dłuższą chwilę, niczego jednak nie wychwycił. Kiedy w końcu dobiegł go, płynący z ciemności przed nim, szelest suchego materiału, zareagował natychmiast. Niemal

bezgłośnie wsunął się bokiem do jednej z płytkich nisz w ścianie.

Traf chciał, że była już zajęta. Barbarzyńca przydusił zeszlę, kruche szczątki umarłego do muru i czekał, bojąc się poruszyć, by mumia nie przewróciła się, zdradzając jego obecność. To miejsce, przynajmniej tymczasem, mogło mu posłużyć za kryjówkę, w ostateczności mógł zaatakować stąd osobę lub osoby idące korytarzem w jego stronę?– Wyjął zza przepaski biodrowej zaostrzony kamień i czekał.

Dźwięki były słabe, ale wyraźne. Kroki kilku osób. Żadnych głosów, tylko szuranie stóp na kamieniach i od czasu do czasu stłumiony brzęk uderzających o siebie metalowych narzędzi, broni albo poupychanych w workach łupów. Choć dźwięki nie były na tyle głośne, by można na ich podstawie ocenić odległość, idący bez wątpienia zbliżali się do niego. Conan nie mógł się już doczekać, kiedy ujrzy ogniki niesionych przez nich lamp, owe najcenniejsze świecące klejnoty w tym mrocznym trupim labiryncie.

Wiedział, że w świetle będą musieli go dostrzec, ale w głębi duszy chciał tego. Zastanawiał się gorączkowo, jak ma z nimi walczyć, gdyby zaszła taka potrzeba, a jednocześnie nie zgasić niesionych przez nich kaganków. Uniósł do ciosu zaostrzony kamień.

Tamci byli już blisko. Towarzyszące im szuranie i brzęk przybrały na sile, a Conan poczuł, jak krótkie włosy na karku i ramionach stają mu dęba. Było ich pięciu. Przeszli obok jego niszy i po chwili już zapadła cisza. Conan zobaczył, że żaden z idących nie niósł kaganka ani łuczywa. Ta świadomość zmroziła go do szpiku kości. Jakież człowiek mógł tak pewnie poruszać się w ciemnościach? Ale przecież nie oślepl, upewnił się raz jeszcze. Musiało być bardzo ciemno, wszak żaden z idących nie zauważył go. Zmysły, którymi się posługiwali, nie zdradziły im jego obecności, choć znajdował się na tyle blisko, że czuł towarzyszący im przejściu ruch powietrza. Musiały to być bez wątpienia jakoweś czary, lub też idący nie byli ludźmi, lecz żyjącymi w mroku bestiami. Na tę myśl Conan poruszył się nerwowo.

Dopiero wtedy poczuł, że coś wczepiło mu się kurczowo w plecy. Do tej pory przyciskając całym ciałem spoczywające w niszy truchło nie zwracał na to uwagi. Na wysokości ramion poczuł bolesny ucisk. Uznał, że tamci oddalili się już dostatecznie, i nie mogli go usłyszeć, toteż wychylił się do przodu, by uwolnić się od kościstego nieboszczyka.

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał. Umarły wychylił się do przodu wraz z nim, a ucisk kościstych ramion stał się nagle silniejszy. Sięgając ręką za siebie Conan zaklął pod nosem. Na wpół owinięta bandażem dłoń wpiła mu się w bark, a w szyję próbowały się wgrzyźć obnażone, wielkie jak u muła zęby trupa. Ten prastary umarłak atakował go!

Conan sięgnął rozpaczliwie za siebie, jednak nie zdołał przełamać mocnego, trupiego uścisku. W ograniczonej przestrzeni jego kamień był właściwie bezużyteczny, mógł nim jedynie poszturchać napastnika, przeto cisnął go precz. Następnie pochylił się gwałtownie do przodu, próbując uwolnić się od wczepiającego się w jego ciało stwora.

Istota była jednak silna. I piekielnie twarda. Była lekka jak piórko, a bandaże spowijające jej ciało niszczyły się jak stary papirus, lecz kryły się pod nimi twarde jak kamień kości i ścięgna, których mocy nie były w stanie przełamać jego grube, silne palce. A jednak Conan przez cały czas stawiał opór. Walczył, choć stwór powoli i nieubłaganie zacieśniał uścisk, przyciągając go ku sobie, jakby chciał wdrzeć się w jego ciało i zawładnąć nim.

Zataczając się bezwładnie na sąsiednią ścianę, Conan otarł się o nią bokiem, próbując uwolnić się od mumii, rozplaszczając ją o krawędź niszy. Zmusiło to zeszlę na wiór truchło do przesunięcia się w bok, i Conan zyskał możliwość dosięgnięcia go pięściami. Kilka razy jeszcze rąbnął kościotrupem o ścianę, czując jak pękają stare kości żeber, a ich ostre końce wpijają mu się w ciało. Jego nieumarły przeciwnik zdawał się o to nie dbać. Barbarzyńca wyczuwał osobliwą intensywność i celowość w sposobie, w jaki kościste palce prze- suwały się i zaciskały na jego ciele. Gdy udało mu się odepchnąć kościsty czerep od swojej szyi, poczuł muskające jego nagie barki kosmyki długich twardych włosów; dotknął dłonią diademę zdobiącego obciążnięte zeszlą skórą czoło i zacisnąwszy palce na zimnym metalu zrozumiał, że walczy ze zmarłą dawno temu kobietą.

W przypiływie paniki, jaka ogarnęła go na tę myśl, szarpnął z całej siły. Rozległ się głuchy trzask i czerep kobiety pozostał mu w rękę. Upuścił go na ziemię, przez cały czas wijąc się i miotając rozpaczliwie, by uwolnić się od

wciąż przywierającego doń i miażdżącego go w uścisku kościotrupa.

Kiedy uspokoił się w końcu, u jego stóp spoczywały pogruchotane, rozerwane na kawałki zwłoki starej mumii. Stał nad nimi dysząc z wysiłku. Nasłuchując z uwagą, na próżno usiłując otrzepać się z pokrywającego go od stóp do głów trupiego pyłu. Po dłuższej chwili odwrócił się i pobiegł w górę korytarza.

Po drodze mijał kolejne nisze, kolejne mroczne otwory i kolejne martwe istoty, których teraz nie odważył się już dotknąć. Zdał sobie sprawę, że postępuje nieostrożnie, ale był o krok od utraty zmysłów. Jego zdrowy rozsądek przygasał niczym płomyk świecy pod wpływem podmuchu mocnego wiatru. Wiedział, że nietrudno byłoby stać się bezmyślną, śliniącą się istotą, rozdrapującą sobie palce do krwi na szorstkich kamieniach ścian. Przystanął i wyteżył wszystkie siły, aby zapanować nad emocjami. I wtedy tunel wokół niego wypełnił się grzmiącymi odgłosami. Silne ręce pochwyciły go, a jego oczy oślepił jaskrawy blask.

## XII

### Łupieżcza wyprawa

Blask wschodzącego słońca przypominał różową poświatę, bijącą z wnętrza pieca do wypalania cegieł, ostrzegającą przed żarem, który sprząy całą krainę z nadejściem południa. O tej wczesnej porze światło lśniło najjaśniej na wschodnich murach Abaddrah, na pochylniach i rusztowaniach rzucającego nań swój cień niemal ukończonego grobowca. Słońce muskało swymi promieniami również szczyty odległych piramid, stygijskich grobowców wznoszących się na drugim brzegu wezbranego Styksu. Blask płynący pośród oparów mgieł znad rzeki malował je czerwienią niczym czubki rozpalonych w słońcu igieł. Zanim gorejący dysk Ellaela wzniósł się tak wysoko, że cienie palm daktylowych padły na ściany gospody Otsgara, bramy jej były już otwarte na oścież, a dziedziniec rozbrzmiewał turkotem kół i stukotem kopyt. Woźnica pokrzykiwaniem na służbę oznajmił swoje przybycie i domagał się należącego mu przyjęcia.

- Nuże tam, leniwe hultaje! Zajmijcie się końmi, a żywo! Są całe spienione. I ostrożnie tam, jak będziecie nosić te... ehm... słoje z przyprawami. Nie chcę, by została złamana choć jedna pieczęć. - Otsgar podał wodze stajennemu i zszedł z platformy rydwanu, który zakołysał się pod jego ciężarem. - Powoziłem niemal przez całą noc. Niech będą przeklęte te rozmokłe, błotniste grzędzawiska, które nazywają drogami! Przyszykujcie dla mnie chłodną kąpiel i miękkie, ogrzane łoże!

Strzepując błoto z kiltu, wszedł do gospody. Zignorował kilku rannych ptaszków, którzy zasiedli w izbie kominkowej.

- A gdzież moja mała Zafriti? Mam coś dla niej. - Zlustrował mezanin i schody, po czym z lekką konsternacją zatrzymał wzrok na stojącej nieopodal dojrzałej wiekiem służącej.

- Panie, pora jest wczesna. Pani jeszcze nie wstała; kazała przekazać, że spotka się z wami za parę minut...

- Jeszcze nie wstała... za parę minut... a więc to tak! - Otsgar sposepniał nagle i pędem wyminął służącą. - Znów się łajdaczy? Z kim, pytam, jest tym razem? - Jak na mężczyznę jego postury poruszał się nader żwawo. Przeskakując po dwa stopnie i klnąc pod nosem wbiegł po schodach na górę.

- Sobaczy się w mojej własnej łóżnicy! Kim jest jej gach, pytam? Jeżeli to ten gołowąs, Asrafel, powieszę go za uszy. Wiem o nim wszystko! - Otsgar dotarł do mezaninu i popędził po cedrowych deskach ku podwójnym drzwiom.

Miał zatrzymać się, z całej siły kopnął w drzwi obutą w sandał stopą. Trzasnął pękający rygiel i dwa skrzydła uchyliły się do środka, a Otsgar nie zwlekając przestąpił próg.

W pokoju rzeczywiście ktoś był. Pościel na łóżku była pomięta, na podłodze walały się elementy barwnego przyodziewku, lecz rozglądający się dziko dookoła Otsgar nie zauważył żywego ducha.

W drugiej części pomieszczenia stał ozdobny czteroczęściowy parawan z cennego drewna i masy perłowej przedstawiający polowanie na smoki w Kitaju.

- Otsgar, kochanie, to ty? - dobiegł zza parawanu głos Zafriti. - Aleś ty popędliwy! Gdybyś chwilkę zaczekał, zesłabym... Nim dokończyła, oberżysta

przeszedł już przez pokój i zacisnął dłoń na najbliższym panelu parawanu.

Z pewnej odległości mogło się wydawać, że jakaś siła odwróciła go nagle do tyłu, trudno było bowiem wychwycić wzrokiem pięść, która jak błyskawica wystrzeliła spoza lakierowanej, drewnianej ścianki i wyrzuciła go prosto w twarz.

Zaraz potem parawan runął na podłogę i ukazał się Conan. Był nieco wychudzony, ale doprowadzony do porządku i przyodziany w przyduży jak dla niego kilt. Zaciskając pięści i zgrzytając zębami barbarzyńca przeskoczył zwalony parawan i rzucił się na Otsgara, zostawiając Zafriti w rogu pokoju, gdzie ubierała się pospiesznie. Cymmerianin nieustępliwie podążał za Vanirem okładając go pięściami, podczas gdy tamten rozpaczliwie usiłował pochwycić go w swe mocarne ramiona. Impet otrzymywanych ciosów obracał Otsgara w lewo i w prawo; męczyzna coraz mocniej chwiał się na nogach.

Conan natarł jeszcze zajadlej, zasypując przeciwnika gradem ciosów i kopnięć, po których krępy góral zwałił się wreszcie na podłogę i znieruchomiał, choć trudno było stwierdzić, czy stracił przytomność, czy uznał po prostu, iż roztropniej będzie udać zemdlonego.

- Nie zabijaj go, Conanie. - Zafriti udało się przesłonić trochę nagość. Podbiegła i uklękła przy leżącym mężczyźnie.

- Ależ skąd, wcale nie miałem takiego zamiaru - odparł z gorzkim przekąsem Conan, rozmasowując poczerwieniałe, nabrzmiałe kłykcie. - Potraktowałem go łagodnie. Wiem, jak bardzo potrzeba ci jego bogactwa oraz umiejętności prowadzenia interesów czy działania w złodziejskim fachu.

- Bez Otsgara wszyscy bylibyśmy teraz na ulicy - dobiegł ich od progu mocny głos. Conan odwrócił się i ujrzał wchodzącego do pokoju Izajaba.

Shemita powitał go skinieniem głowy.

- To nie oznacza wszakże, że nie przydałoby się od czasu do czasu porachować mu solidniej kości.

Za Izajabem przybyli Asrafel i dwóch innych shemickich rzezimieszków, nowych najmitów Otsgara. Ujrzawszy swego mocodawcę leżącego bez ruchu na podłodze, mocno się zaniepokoiili. Nie dobyli jednak broni. Asrafel odesłał służących, którzy stanęli w progu, usiłując zajrzeć do pokoju. Zamknął uszkodzone drzwi i zablokował własnym ciałem, by się nie otworzyły.

Otsgar lekko poruszył głową, którą Zafriti ułożyła na skąpo przysłoniętym podołku. Otworzył oczy. - Moja turkaweczko... - Wymamrotał okrwawionymi wargami - jak mogłaś mnie zdradzić... znowu... w tak krótkim czasie od ostatniego razu... i to z tobą, Cymmerianinie! Z jakiej czeluści piekielnej wpełzłeś?

- Z tej, do której mnie sam wtrąciłeś, wieprzu! Długo i zapamiętałe rozmyślałem, w jaki sposób mógłbym ci za to odpłacić.

- Nie wiem, o czym mówisz. Jeśli masz na myśli mój wypad do dzielnicy grobowców, cóż... zostałeś pojmany przez własną niezdarność i nieostrożność!

- Łajdaku! - warknął Conan. - gdyby twój plan się powiódł, zostałbym zmiażdżony żywcem.

- Bzdura - wybełkotał Otsgar przez porozbijane wargi. - Skoro jednak tak uważasz i chcesz wyrównać ze mną rachunki, proponuję byś uczynił to tu i teraz.

- Unosząc lekko głowę znad podołka Zafriti rozchylił poły swej brudnej skórzanej kamizelki, obnażając szeroką pierś porośniętą jasnymi, kędzierzawymi włosami. - Zabij mnie i skończ, co zacząłeś, jeśli się odważysz.

- Dość tych bredni! - Izajab postąpił naprzód i pochylił się nad oberżystą.

- To na moją usilną prośbę Conan zgodził się pozostawić cię przy życiu. Ma dla nas propozycję intratnej wyprawy, która może się udać, jeśli i ty przyłożysz do niej rękę.

- To prawda - potaknął Conan, gniew w jego wnętrzu wygasał. - Gdybym nie spotkał Izajaba, Asrafela i ich kamratów wałęsających się w tunelach pod grobowcami, błędziłbym tam zapewne jeszcze teraz. Wszyscy oni widzieli to samo co ja i przyznają zgodnie, że nasze szanse są całkiem spore...

- Zapuszczacie się pod moją nieobecność do dzielnicy grobowców? - Otsgar podciągnął się do pozycji siedzącej, aby spojrzeć na Izajaba, i odtrącił dłoń Zafriti, która gładziła go po karku. - Czyś ty oszalał? Chcesz ściągnąć mi na głowę straż cmentarną i świątobliwych katów?

Izajab wzruszył ramionami.

- Ostatnimi czasy nie mieliśmy zbyt wiele do roboty, ty zaś miałeś wciąż jakieś pilne sprawy. Wprawni łupieżcy, jak my, nie lubią próżnować, a twoje

coraz częstsze przemytnicze eskapady nie napełniały naszych kies brzęcząca moneta.

- Powinieneś dowiedzieć się, co odkryliśmy - dodał od progu Asrafel. - Natrafiliśmy na sieć tuneli łączących prastare grobowce.

- Masz na myśli tunele łupieżców? - rzucił Otsgar pogardliwie, przerywając, by rozmasować bolące miejsce pod uchem. - Bez wątplenia nie jesteśmy pierwszymi ludźmi ani zwierzętami, które plądrowały te miejsca.

- Nie, to wykute w litej skale korytarze wielkości człowieka - odrzekł Conan. - Chcesz powiedzieć, że nic ci nie wiadomo o labiryncie korytarzy pod dzielnicą grobowców?

Otsgar powoli, ostrożnie, by nie nadwerężyć obolałej szyi, pokręcił głową.

- Nie, nigdy o czymś takim nie słyszałem. Drażenie w litej skale jest zbyt powolne i hałaśliwe, co potwierdzi każdy szanujący się łupieżca. W naszym fachu, jeśli nie udaje się nam sforsować drzwi do grobowca, po prostu rezygnujemy ze splądrowania go i znajdujemy inny, równie ciekawy obiekt. Izajab zna nasze metody. - Spojrzał na wymienionego z imienia mężczyzną i ochrypłym głosem dorzucił: - Czy zatem wyniesiono stamtąd wszystkie skarby?

Izajab splótł ramiona na piersiach.

- Niektóre z krypt i sarkofagów wydają się nietknięte, i możliwe, że wciąż znajdują się w nich cenne przedmioty. Zeszliśmy do podziemi starym sposobem, przez kocią kryptę przy północnym murze, a po odkryciu tuneli musieliśmy zachowywać się ostrożnie, by nie narobić hałasu. Nie zapuściliśmy się zbyt daleko, gdy natknęliśmy się w jednym z tuneli na Conana i nie zdażyliśmy zabrać stamtąd żadnych łupów...

- Taak, a gdybyście nawet obłowili się po królewsku i tak byście mi o tym nie powiedzieli - mruknął podejrzliwym tonem Otsgar. - Ale mów dalej.

- Cóż, tam na dole panuje bardzo dziwna aura, wyczuwaliśmy ją wszyscy bardzo wyraźnie. Conan, jak sam powiedział, natknął się na coś, co omal go nie zabiło. Nie chciał nam powiedzieć nic więcej na ten temat. - Cóż w tym takiego dziwnego? - Odparł z niewinną miną Cymmerianin. - W tunelach było ciemno, choć oko wykol. Właściwie sam nie jestem pewien, co mi się przytrafiło. Wydaje mi się, że niektórzy spoczywający tam umarli stali się... odrobinę niespokojni. - Powstrzymał dreszcz, który przeszedł mu po plecach. - Nie jest to jednak nic, z czym nie mogłaby sobie poradzić dobrze uzbrojona drużyna.

Otsgar pokiwał niespiesznie głową.

- Tak. To bez wątplenia efekt działania zaklęć zabezpieczających, ułożonych przez Horaspesa. Jeszcze jedno niebezpieczeństwo! - Wstał podpierając się o ramię wciąż klęczącej Zafriti. - Kolejny powód, byśmy porzucili myśl o tej łupieżczej wyprawie. Jeśli tak wam pilno zająć się czymś, mogę zlecić wam przeprowadzenie karawan tak, by omijały punkty poboru myta. - Otsgar spojrział na Conana. - Nawet tobie. Naturalnie, jeśli przyrzekniesz, że będziesz zachowywał się w tych progach godnie, jak przystało na prawdziwego człowieka honoru. Cymmerianin pokręcił głową.

- Czy nie doszedłeś jeszcze do siebie po laniu, które ci sprawiłem? Nie pojmujesz, że dzięki tym tunelom możemy zrealizować mój przewrotny plan splądrowania grobowca Ebnezuba? - Conan wyciągnął rękę, aby schwycić Otsgara, ten jednak sprytnie wycofał się za Zafriti.

- Sam nieświadomie dostałem się z wielkiego grobowca do labiryntu. Kiedy król umrze, dotarcie do jego grobowca od strony tuneli nie powinno sprawić nam większych trudności.

Otsgar pobladł i usiadł na łóżku, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Handel rozkręcił się wspaniale, interesy idą wyśmienicie. W obecnej sytuacji głupota jest nawet mówić o takich rzeczach. Zdajesz sobie sprawę, jak wielki jest teraz popyt na stalowe akwilońskie dłuta? Albo na nefryty z Turami, czy przednią argosańską skórę na bicze lub uprzęże dla niewolników? A cła na te towary rosną, wraz z nimi zaś rośnie cena moich usług, które polegają na omijaniu przez karawany punktów opłat celnych. Wiedz, że obecnie mogę zarobić więcej na budowie grobowca, niż na złupieniu ukrytych w nim skarbów.

- Jesteś pewien? - Conan wsunął palce za pas kiltu, i Otsgar aż się wzdrygnął na widok jego gestu. Cymmerianin nie wyjął jednak stamtąd broni, lecz medalion wykonany z lśniącego, żółtego srebra, inkrustowany skrzącymi się w słońcu klejnotami. - To cacko pochodzi ze skarbów zgromadzonych w mauzoleum - wyjaśnił Conan. - Wyłuskałem je spomiędzy bandaży mumii jednego z oficjeli

Ebnezuba, którego spotkał zaszczyt spoczęcia w tym samym grobowcu, co jego władca. Należą oni do najmniej znaczących spośród sług, którzy zostaną tam pochowani. Gdy umrze władca, precjoza takie jak to będą tam zwozić całymi stertami.

Zafriti wyrwała mu błyskotkę z ręki.

- Och, jakie to piękne! Mogę to zatrzymać, Conanie? - Kiedy skinął głową przyzwalająco, przytknęła medalion powyżej piersi i zaczęła krążyć po pokoju, przyjmując ponętne pozy, które według niej dodawały uroku świecidełku.

- Conan ma rację, Otsgarze. Nie wolno nam przepuścić tak dogodnej okazji! Możemy stać się bogaci niczym królowie!

Otsgar był najmniej zainteresowany kuszącym popisem tanecznym. Spuścił głowę, wbił wzrok w podłogę i westchnął z rezygnacją. Na dłuższą chwilę zastygł w bezruchu z głową podpartą na zaciśniętej pięści, jakby w splotach kobierca odczytywał swe dalsze losy. - Bez wątpienia, w grobowcach świąty królewskiej takich cacek będzie bez liku - odezwał się. - Ale powinniście zdawać sobie sprawę, że komnata królewska zostanie zabezpieczona o wiele solidniej.

- To fakt - potaknął Conan, siadając naprzeciw Otsgara, a rzeźbiony zydeł aż zaskrzypiał pod jego ciężarem. - Pewien sprytny konstruktor imieniem Mardak opracował zabezpieczenia, które raz uruchomione byłyby dla nas nie do sforsowania. Myślę tu o sześciu dziesiątkach dopasowanych kamiennych bloków, które zablokują korytarz, uwolnione przez mechanizm, zaopatrzony w zegar piaskowy. Gdy pracowałem przy budowie tego właśnie odcinka, wrzuciłem do klepsydry kamyk, aby piasek nie przesypał się z jednej komory do drugiej. Nie jest to jednak całkowicie pewne rozwiązanie. Najlepiej będzie, jeśli rozpoczniemy naszą akcję, zanim jeszcze grobowiec zostanie zamknięty, abym mógł zablokować mechanizm i byśmy mieli pewność, że przejście do komory królewskiej pozostanie dla nas otwarte.

Otsgar podniósł wzrok na Conana. Przyglądał mu się z rozbawieniem i nie skrywaną ironią.

- Zdobyta przez ciebie wiedza czyni cię użytecznym, Cymmerianinie. Więcej nawet, niezbędnym dla powodzenia naszej wyprawy. Mimo to twój plan wymaga przeprowadzenia wytężonych działań zwiadowczych i solidnych przygotowań. Teraz już pojmuję, do czego jestem wam potrzebny. - W zamyśleniu dotknął dłonią opuchniętej kości policzkowej.

- Jak na razie widzę, że uparłeś się, by mi nie ufać. To trudna i skomplikowana sytuacja.

Otsgar podrapał się po podbródku, delikatnie dotykając bolących miejsc, po czym odezwał się znowu. - Jest na to tylko jedna rada. Oto moja propozycja. Daję ci wolną rękę i moich ludzi. Ty poprowadzisz wypad, ja pozostanę tutaj i zajmę się swoimi interesami. W ten sposób nie będziesz musiał raz po raz oglądać się przez ramię i zastanawiać się, czy nie zamierzam wbić ci noża w plecy.

Conan uśmiechnął się pośepnie i pokręcił głową.

- O nie, nawet mowy nie ma, Otsgarze! Chcę, byś towarzyszył mi podczas wszystkich wypraw do grobowców. Zafriti także. Wiem, że ona nadal to lubi. - Spojrzał na tancerkę, a jej wilgotne wargi i roziskrzzone oczy powiedziały mu wszystko. - Dzięki temu będę miał pewność, że nie wydasz nas straży cmentarnej.

- Niech zaraza zeżre ciebie i twoje idiotyczne pomysły - zaperzył się znowu Otsgar. - Przez tę szaleńczą wyprawę mogę stracić więcej, niż możecie sobie wszyscy razem wyobrazić! Zlustrował oblicza swych podkomendnych, którzy przyglądali mu się cierpliwie.

- Nadarza mi się niepowtarzalna okazja, bym porzucił łupienie grobów i przemyt i stał się uczciwym karczmarzem, a musicie wiedzieć, że mam jeszcze dość oleju w głowie, by wykorzystać tę szansę. - Jego wzrok padł na Zafriti, stojącą tuż przy nim w wyzywającej pozie. Medalion zdążyła już ukryć w fałdach szaty. Tancerka powoli jęła masować czoło Otsgara.

- No dobrze - wchodzę w to, ale za połowę wszystkich łupów. Mam nadzieję, że zdajecie sobie wszyscy sprawę, z jakimi niebezpieczeństwami przyjdzie nam się zmierzyć.

Tej nocy i kolejnych, w gospodzie Otsgara prowadzone były gorączkowe, sekretne przygotowania. Raz po raz ktoś udawał się na jakiś wypad, ktoś inny wracał i relacjonował swoje spostrzeżenia. Na szczęście służba była dobrze opłacana i zajęta gośćmi, których odkąd lokalny handel kwitł w najlepsze, nie brakowało. W przeciwnym razie, mimo iż przywykli do przemytu prowadzonego przez swego mocodawcę, mogliby domyślić się, co obecnie planował, i w przypływie

trwogi wydać go straży cmentarnej.

Łupieżcy starali się zminimalizować ryzyko, pozostawiając lampy i narzędzia poza gospodą w zapuszczonej, starej krypcie, przez którą dostawali się do grobowców. Na wszelki wypadek przygotowali sobie wyjście awaryjne przez tunel grobowca, nieopodal. Gwoli ostrożności z gospody do dzielnicy grobowców docierali różnymi drogami, zwracając przy tym szczególną uwagę na liczebność, nawyki i trasy straży cmentarnej.

Raz wszelako, pod ziemią, w owych tajemniczych tunelach natknęli się na strażę, których obecności nie potrafili przewidzieć, ani zawczasu wypatrzeć. Niejednokrotnie musieli kryć się w mrocznych zakamarkach, podczas gdy milczące, lecz mimo wszystko czyniące pewien hałas drużyny mijały ich, nie dostrzegając intruzów. Często też dochodziły ich płynące wśród mrocznych korytarzy odległe stukania młotków i dłut, gdzie nienazwani robotnicy powiększali tunele tworzące labirynt podziemnych korytarzy.

Po wyjściu z grobowców, gdy nie musieli już zachowywać milczenia, łupieżcy gorąco dyskutowali na temat tajemniczych bywalców tuneli. Na ten przykład, czy tak samo nie zwracaliby oni uwagi na światło lamp, jak nie zważali na ich ciepło i oleistą, gryzącą woń. W kryptach nikt nie odważył się zdemaskować unosząc przesłone lampy, dziwne istoty bowiem, sądząc po brzęku broni i narzędzi, wędrowały dość licznymi grupami. Poznawszy tunele przy grobowcu Ebnezuba, Conan zaczął odwzorowywać ich układ i doszedł do wniosku, że stanowiły one najmniej uczęszczane obszary labiryntu. Być może przetrzaśnięto już je starannie, grobowce znajdujące się w tamtej okolicy splądrowano, skarby, które w nich zamknięto wyniesiono, a większość sarkofagów opróżniono.

Jeżeli, jak domniemywał Otsgar, w tunelach rzeczywiście buszowali grabieżcy nasłani przez Horaspesa, którzy łupili stare grobowce, by przenieść ukryte w nich skarby do nowego mauzoleum albo do skarbcza proroka, nie było w tym nic dziwnego, że działali oni w rozległej, starszej części nekropolii, rozciągającej się wokół podstawy wzgórza. To właśnie stamtąd dochodziły podejrzane odgłosy i tam kopano obecnie podziemne tunele.

- A co się tyczy tego, że kopacze owi zdają się nie potrzebować światła - wyjaśniał Asrafel - Horaspes kazał wielu robotnikom wyłupić oczy, aby nawykli do ciemności. Słyszałem, że kiedy traci się wzrok, inne zmysły stają się bardziej wyostrzone. Po Stygijczyku można się spodziewać takiego diabolicznego rozwiązania!

Co się tyczy niespokojnych umarłych, łupieżcy nie natrafili na żadne ślady potwierdzające owo zjawisko, a Conan od tamtego czasu nie powrócił już wspomnieniami do zdarzenia w niszy. Nie chciał wzbudzać zaniepokojenia u kompanów, ani niepotrzebnie ich deprymować. Miał już wcześniej do czynienia z nieumarłymi. Istota w krypcie musiała być jakimś starożytnym sukubem albo wampirzycą, która podjęła ostatnią rozpaczliwą próbę wyssania żywotnych sił ze śmiertelnika, który nieopatrznie się do niej zbliżył. Tak czy inaczej, większość grobowców okazała się pusta, doczesne szczątki ich właścicieli zebrano pewnie na taczki i wywieziono wraz z całym majdanem. To nawet lepiej, uznał Conan, dzięki temu mniej prawdopodobne, że powtórzy się sytuacja, jaka mu się przytrafiła.

I tak to szło. Nocami łupieżcy zapuszczali się do grobowców, za dnia zaś odsypiali nieprzespane noce lub wylegiwali się w swoich łóżkach w gospodzie.

Conan i Otsgar boczyli się wciąż na siebie i w dalszym ciągu, choć już nie tak otwarcie, rywalizowali o względy Zafriti. Tancerka wszelako zdawała się nie zważać na ich umizgi.

Co więcej, prowokowała mężczyzn nagłymi wybuchami afektacji do jednego lub drugiego. Trzecim pionkiem w tej grze był Asrafel, choć jak stwierdził Conan, młody Shemita słał jedynie do powabnej tancerki tęskne spojrzenia.

Zafriti przez cały ten czas tańczyła wieczorami, nocami zaś towarzyszyła łupieżcom w ich śmiałych wypadach zwiadowczych. Izajab wypytywał bywalców gospody o zdrowie króla i postępy w pracach nad mauzoleum. Informacje na oba tematy brzmiały dla łupieżców obiecująco - stan Ebnezuba pogarszał się nieustannie, a tempo prac nad miejscem jego wiecznego spoczynku ostatnio znacznie przyspieszono. Innym powodem pośpiechu była zapowiedziana podróż kanclerza Horaspesa na północ. Emisariusze z Enuk powrócili w rodzinne strony pełni gorącej aprobaty dla nauk proroka. Wszyscy poza doradcą wojskowym, który zmarł w drodze na nagłą, wyniszczającą chorobę. To kara boża za bluźnierstwa przeciwko prorocत्वom Horaspesa, głosiły plotki rozsiewane przez wiernych.

Pytając o przybocznego Horaspesa, Nefrena, Conan ze zdumieniem



dowiedział się, iż cieszy się dobrym zdrowiem. Wręcz tryska witalnością. W ostatnich dniach stał się szczególnym obiektem zainteresowania, gdyż udało mu się zdemaskować zdradziecki plan zniszczenia grobowca, polegający na osłabieniu przez sabotażystów fundamentów budowli w kilku kluczowych miejscach.

W mieście wrzało od plotek. Sabotażysta, cudzoziemiec i prawdopodobnie agent stygijski, stanął oko w oko z Nefrenem i ostatecznie zginął, gdy zawałiła się jedna z uszkodzonych przez niego ścian. Plotki wspominały wszelako o możliwych związkach przybysza z kapitanem gwardii pałacowej i innymi wysoko postawionymi na dworze osobami. Kanclerz obiecał królowi przeprowadzić w tej sprawie drobiazgowo śledztwo.

Owe pokrętne historie dały Cymmerianinowi garść gorzkich refleksji. Conan nie wątpił, że to on miał być rzekomym stygijskim agentem, a jego ucieczkę w sprytny sposób wykorzystano, by zatuszować słabości budowli i równocześnie rozniecić na dworze bojowe nastroje. Najwyraźniej szykowano się do polowania na czarownice. Ponieważ zdołał przeżyć, w śmiertelnym niebezpieczeństwie znalazła się księżniczka Afrit. Była wprawdzie niewinnym dziewczątkiem, lecz rozgrywała własną grę, kierując się osobistymi pobudkami. Tak czy inaczej Conan miał wobec niej dług. Ostatnio często o niej myślał.

Niepokoił go fakt, że nikt nie mówił o odniesieniu przez Nefrena jakichś obrażeń. Conan wiedział, że go zranił, choć oświetlenie w tunelu było wyjątkowo podłe, a jego myśli nade wszystko zaprzętała możliwość rychłego zawałenia się korytarza. A jeżeli jego przeciwnik nosił na brzuchu ochronny pas wypełniony piaskiem? Albo woreczek z solami i ziołami mający strzec go przed wszelkimi dolegliwościami? Nie, Conan pokręcił głową z zamyśleniem. Był pewien, że jego sztylet pogrążył się głęboko w ciele tamtego. Wyjaśnieniem była czarna magia, na tyle silna, że uczyniła Nefrena - czy był człowiekiem, czy nie - odpornym na ciosy zimnej, kuszającej stali.

Więści wstrząsnęły Conanem i przekonały go, by przez jakiś czas nie pokazywał się publicznie. Bądź co bądź wielu Abaddran sądziło, że nie żyje. Jego nagłe zmartwychwstanie mogliby przyjąć jako coś zgoła niepożądanego.

Któregoś wieczoru nadarzyła się wyjątkowo miła jego sercu okazja, Otsгар bowiem został wezwany do magazynu miejscowego kupca w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie. Oberżysta uparł się, by Asrafel pojechał tam wraz z nim. Conan nie mógł im towarzyszyć, gdyż musiałby opuścić swą kryjówkę, a Zafriti czekał wieczorny występ. W tej sytuacji Vanir musiał ustąpić i wyruszył w drogę, choć kłął przy tym szpetnie. Kiedy Zafriti skończyła swój występ, Conan czekał na nią w garderobie, by pomóc jej zdjąć instrumenty muzyczne i nader skąpy, choć ponętny przyodziewek. Przez dłuższy czas nie rozmawiali, aż wreszcie Conan jął wypytywać tancerkę o lata spędzone w Stygii.

- Czy będąc tam słyszałaś o Horaspesie? Skoro to Stygijczyk, czemu jest taki błąd?

- Powiadają, że był niewolnikiem, sprowadzonym jako dziecko do Ptejonu z jednej z krain Pomocy. Prawdopodobnie z Koryntii. - Zafriti nieznacznie zmieniła pozycję na sofie, która, pęknięta podczas pierwszej walki Conana z Otsгарem, przy byle poruszeniu przeraźliwie skrzypiała.

- Większość z tego, co o nim wiem, nie pochodzi z czasów mojego pobytu w Stygii. Byłam wtedy młoda i nie pociągały mnie intrygi natury politycznej. - Uśmiechnęła się kusząco do Conana i pogłaskała go po włosach. - Dochodziły mnie jedynie plotki od ludzi z Południa, którzy zamieszkali w tamtych stronach. Nawet jego krajanie nie mieli o nim dobrego zdania.

Trudno powiedzieć, co było przyczyną jego wygnania. Nikt nie wie tego na pewno. Tak to już jednak bywa ze sprawami, w które są zamieszani stygijscy kapłani. Mówi się, że był ambitny, a jego nauki miały na celu podzielenie i osłabienie opozycji, by całą władzę mógł skupić w swoim ręku. Jak teraz tak wtedy, głosił idee zmartwychwstania i życia po śmierci, czyniąc to, tak jak dziś, w śmiały, budzący trwogę sposób.

Był sprytny i wprawny w sztukach czarnoksięskich, ale w swej pysze rzucił wyzwanie wierze okrzepłej w tym kraju od tysięcy lat. Starsi kapłani wyparli się go; pozbawili go pozycji, a w końcu przysłali armią do jego świątynnych posiadłości wśród wschodnich wzgórz, za rzeką i w górnym jej nurcie. Ale nawet to go nie zniszczyło. - Przesunęła się lekko, podciągając zwój muślinu na gołe ramię, bo nocny wiatr był zdumiewająco chłodny. - Plotki mówią o wielkiej bitwie, w której armia stygijska poniosła znacznie większe straty niż poplecznicy Horaspesa. - Wzruszyła ramionami, jakby nie do końca wierzyła w

prawdziwość tej historii. - W końcu zmuszono go, by wszedł na pokład łodzi i udał się do Abaddrah. Teraz wszakże wydaje się, że jego ambicje przerastają to nieduże miasto.

- A co z jego poplecznikami z Południa? Czy wszystkich wyrżnięto w pień? Ze stygijska armia nie ma żartów.

- Dobre pytanie. O ile wiem, prorok przybył tu tylko z Nefrenem i kilkoma sługami. Później jednak zaczęto opowiadać pewne mroczne historie - otuliła mocniej muślinem oliwkowe ramiona i przytuliła się do Conana.

- Otszar zajmował się wtedy handlem rzeczonym i doszły go pewne plotki o barkach rozładowywanych nocami we wschodniej części miasta. Udał się tam z grupa silnorek, aby pozbyć się niepożądanego konkurencji. Powiedział mi potem, że ładunek owych barek stanowili ludzie, Stygijczycy. Wyglądali na bardzo wymizerowanych. Rzekomo mieli należeć do Horaspesa. Podejrzewam, że zostali balsamatorami i robotnikami pracującymi przy budowie mauzoleum.

Conan drgnął.

- To mogą być owi tajemniczy osobnicy, których słyszymy czasami w katakumbach - Ponieważ stale ukrywamy się przed nimi, nie potrafię potwierdzić prawdziwości tych spekulacji. Niemniej to ciekawa historia, chyba zapytam o nią Otszara. Albo lepiej nie. Gdybym wspomniał o tobie, pewno znów chciałby się ze mną zmierzyć.

- Czemu tak się nim przejmujesz? - zamruczała Zafriti, przeciągając się zmysłowo obok barbarzyńcy. - Jesteś dwakroć bardziej męski od niego.

- Wiesz, że nie lękam się go. Mimo to zamierzam odejść, zanim wróci. - Conan usiadł na sofie i zaczął się odziewać. - W tym przedsięwzięciu nasze życie zależy od sprawnego współdziałania. Sporo jeszcze wody upłynie, nim na dobre porachuję się z Otszarem.

Vanir musiał być tego samego zdania, bo choć Zafriti nie omieszkała poinformować go o swoim spotkaniu z Conanem, nie doszło między nimi do ponownego spięcia. Tej nocy i następnych łupieżcy zapuścili się dalej niż kiedykolwiek w głąb starych korytarzy. Wolny czas pomiędzy odpoczynkiem a wyprawami poświęcali na gromadzenie informacji i dopracowywanie planu.

Penetrując tunele pod wielkim grobowcem, odkryli pół tuzina potencjalnych wejść, włącznie z zapadliskiem, przez które wydostał się Conan. To i inne osuwiska zostały zabezpieczone stemplami i pod koniec prac budowlanych wypełnione, choć niezbyt solidnie, kamieniami i zaprawą. Napraw dokonali pośpiesznie robotnicy pracujący wewnątrz grobowca, choć nie ulegało wątpliwości, że ich mizerne wysiłki poprawiono później od dołu, wzmacniając wątpliwej jakości konstrukcję.

- A zatem cała ta masywność grobowca to jedynie pokazówka. Blichtr. Miraż. - Skomentował prawdę o mauzoleum Asrafel, gdy wrócili już do gospody. - Cóż za patetyczna farsa. Każdy, kto chciałby dostać się do środka, może to uczynić, wykonując solidny podkop.

- Całkiem prawdopodobne, że Horaspes zabezpieczy grobowiec od spodu magicznymi zaklęciami - rzekł Izajab, spoglądając znacząco na kompanów. - I kto wie, mogą się one okazać równie skuteczne jak kamienne ściany. A także długotrwałe. Nie wiemy jeszcze wszystkiego o ich zabezpieczeniach.

- Kimkolwiek są drążyciele tuneli, lękają się osuwisk tak jak budowniczo wieżej - zauważył Otszar. - Najwyraźniej chcą utrzymać swą obecność w tajemnicy.

Zdarzały się jednak miejsca, w których prowadzono między domeną tuneli a wyższymi partiami mauzoleum jakieś transakcje. Łupieżcy napotykali kamienne pochylnie, usypane w komorach grobowych w miejscach, gdzie ściany wydawały się szczególnie cienkie. Natrafiono tam na prostokątne, pionowo stojące płyty, będące w rzeczywistości przemyślnie wpuszczonymi w ścianę drzwiami, umocowanymi na ukrytych zawiasach. Po tej stronie blokował je ciężki kamień. Po odtoczeniu go i sforsowaniu drzwi, oczom łupieżców ukazały się sekretne korytarze wielkiego grobowca. Było to ich wymarzone, gotowe do użytku wejście. Tej nocy nie odważyli się zapuścić dalej, lecz opuścili krypty w tak silnym podnieceniu, że trudno im było zachować milczenie. W drodze powrotnej do gospody ryzykownie zrezygnowali z dotarcia do celu pojedynczo, różnymi drogami, miast tego udawali grupę podchmielonych birbantów. W gospodzie, gdy przez okno jęły wpadać do środka pierwsze promienie słońca, wznieśli wspólny toast przednim zimnym piwem i gromkim aplauzem powitali wykonany przez Zafriti zuchwały taniec zwycięstwa. Potem, ponieważ żadnemu z nich nie chciało się spać, udali się do pokoju

Otsgara, by ustalić ostateczny plan. - Nie wiem, co jeszcze możemy robić, jeśli nie liczyć czekania, aż ten tłusty tyran wyciągnie kopyta! - zawołał Asrafel. - W dniu jego pogrzebu ukrywamy się w kryptach. Później, gdy tylko skarb zostanie złożony w mauzoleum, a zewnętrzna brama zamknięta, wślizniemy się do środka i zabierzemy tyle, ile zdołamy unieść. Nic prostszego!

- Nie, to byłoby zwykłe marnotrawstwo - krzyknęła Zafriti. - Powinniśmy odwiedzać mauzoleum wielokrotnie, przez wiele kolejnych dni, a nawet tygodni, jeśli to będzie konieczne. Moglibyśmy ukryć skarby w którejś ze starych krypt, a potem stopniowo je stamtąd wywozić.

- Ale w ten sposób z pewnością nie uda nam się uniknąć spotkania z tymi, którzy krążą w tunelach - zaprotestował Conan, kręcąc głową. - Założę się, że oni mają swój własny plan na ograbienie mauzoleum. Zapewne działają z polecenia Horaspesa. Musimy ich uprzedzić. Uważam, że powinniśmy odbyć tylko jedną wyprawę do grobowca Ebnezuba, splądrować go najlepiej jak się da i nie liczyć, że jeszcze kiedykolwiek tam wrócimy. - Odwrócił się do Otsgara. - Znajdziesz kilku zaufanych złodziei, którzy podjęliby tak wielkie ryzyko?

- Może - odparł Otsgar, zbywając pytanie wzruszeniem ramion. - Ale uspokójcie się teraz wszyscy. Przede wszystkim musimy poznać rozkład grobowca, nie wolno nam tracić cennego czasu na błąkanie się po komnatach i szukanie skarbcza. - Łypnął spode łba na Conana.

- Nie zamierzam polegać na twój ej pamięci w tej kwestii i przechwałkach, jakobys potrafił otworzyć królewską komnatę. Musimy odbyć jeszcze jeden wypad, wejść do grobowca i spenetrować go jak należy, byśmy mądrze opracowali ostateczny plan działania. - Opróżnił kufel i z trzaskiem odstawił na stół. - Uważam, że dzisiejsza noc nadaje się do tego równie dobrze jak każda inna.

### XIII

#### Chwałą przemija

- Pogmatwane te nie kończące się korytarze! Dlaczego musieli wykuć ich aż tyle? - mruzczał Conan pod nosem, choć w zasięgu wzroku nie było ani jednego robotnika. Obaj z Otsgarem zgodzili się udawać niemych w obawie, że przez swój akcent mogliby zostać zdemaskowani jako cudzoziemcy. - Niektóre mają uroczysty charakter - odparł szeptem Otsgar. - Inne doprowadzają chłodne powietrze i służą przyspieszaniu mumifikacji. - Szedł w środku grupy trzymając wielką posrebrzaną skrzynię za tylne uchwyty, z przodu zaś podtrzymywał ciężki ładunek postawny Cymmerianin. Obaj mężczyźni nosili sztywne, ceremonialne, nawoskowane peruki, pod którymi kryli swe proste włosy. Oberżysta poświęcił również jasne wasy i włosy na piersiach, a piegowatą skórę przyciemnił barwnikiem. Gdyby tego przebrania było mało, mieli na sobie tylko kilty i sandały noszone przez niewolników. Arkę, którą dźwigali stanowił ozdobny kufer z magazynu Otsgara. W środku pod warstwą przedniego jedwabiu znajdowały się miecze, siekiery i łomy; łupieżcy postanowili, że rozsądniej będzie nie zostawiać sprzętu i broni wewnątrz grobowca, na widoku.

- Cicho tam, dochodzimy do kolejnego zakrętu - Izajab szedł na przedzie, za nim Zafriti i jeden z nowych najemników, dzierżący w dłoni pochodnię. Potem szli Asrafel i drugi najemnik z pochodnią. Zafriti udawała kapłankę, której towarzyszą akolici. Musieli wyglądać przekonująco, bo żaden z napotkanych po drodze strażników i robotników nie próbował ich zatrzymać.

- Niech mnie Erlik pochłonie, nareszcie wiem, gdzie jesteśmy - mruknął Conan, gdy pokonali załom korytarza. - Weszliśmy za wysoko, przed nami znajduje się centralna galeria. Możecie sobie popatrzeć, jak to wszystko wygląda.

Rzeczywiście, wkrótce wyszli z wąskiego korytarza na pozbawiony barierki podest, biegnący wzdłuż wszystkich ścian wielkiego podziemnego pomieszczenia. Od wylotu większego tunelu na wprost nich, pośrodku galeryjki na najmniejszy poziom prowadziło strome, kamienne zejście. Na samym dole można było dostrzec kilka pomniejszych wejść do tuneli. Migotliwy blask dymiących pochodni nadawał pomieszczeniu iście piekielny wygląd.

Gdy wyszli na mezanin, Conan spojrział w górę, gdzie ledwie parę dni temu można było dojrzeć rozgwieżdżone niebo. Teraz widać było jedynie olbrzymie, mroczne kamienne sklepienie, świadczące o tym, że grobowiec znajdował się już na

ukończeniu. Całą budowlę wzniesiono tak, by stworzyć wrażenie porażającego ogromu. Biegacz nieźle by się zziązał, przebiegając przez rozciągający się daleko w dole najniższy poziom. Conana i towarzyszy dzieliła od posadzki odległość dwunastu rosłych mężczyzn, od sklepienia dystans dwukrotnie większy. Podczas ostatniego etapu budowy całe pomieszczenie pełniło rolę wielkiego warsztatu, wszędzie rozstawione były stoły i sterty budulca. Nawet o tak późnej porze setki robotników wyznaczonych do prac przez kapłanów Ellaela harowało bez ustanku. Stwierdziwszy, że na podeście prócz niego nie było nikogo, Conan odezwał się znowu.

- Ta galeria to serce grobowca. Centralny tunel poniżej wiedzie wprost do komnaty królewskiej, a ten największy, u szczytu rampy, do głównych wrót.

- Spójrzcie! Złożone trumny! - Zafriti podeszła do skraju podestu, gdy jej wzrok przykuły lśniąca sarkofagi spoczywające na marach, poniżej.

- Tak - mruknął Izajab - ale są zbyt duże, by można je było stąd wynieść. Trzeba oskrobać je ze złota i to co uzyskamy w ten sposób, przetopić.

Skinął na rząd robotników, którzy pochylali się nad kamiennymi płytami, na których spoczywały nakryte tkaniną kształty. To stoły do balsamowania, gdzie wnętrzości zmarłych wyjmowano i wkładano do inkrustowanych klejnotami szkatuł. W ich miejsce zgodnie z ostatnimi radami Horaspesa sypano piasek i wonności.

Udający kapłana Shemita ruszył dalej, powolnym, dystygowanym krokiem.

- Na tych tam stołach skórę lakieruje się kilkakrotnie, po czym owija w bandażę, a między jego warstwy, niby rodzynki w torcie, wtykane są klejnoty i skarabeusze. A nawiasem mówiąc, dokąd teraz idziemy?

Z tyłu dobiegł go ochrypliwy głos Otsgara. - O ile wiem, te pochylnie to najkrótsza droga na dół.

Na te słowa Izajab zamilkł i, choć z pewnym wahaniem, pomaszerował dalej.

- Nareszcie prawdziwy sprawdzian naszego kamuflażu! - Dobiegł z tyłu nerwowy komentarz Asrafela.

Shemita miał rację, bo na stromiznie przed nimi wciąż trwały gorączkowe prace. Łupieżcy na powrót uformowali szyk i ruszyli z takim dostojeństwem, że nikt nie odważył się ich zatrzymać. Patrząc uważnie przed siebie minęli dwa kaganki gorejące nad wejściem do tunelu i skręcili na wielką pochylnię.

- Wycofajcie się! - Dobiegły ich z tunelu gniewne, gardłowe okrzyki. - Zróbcie przejście! Nie tarasujcie drogi!

Zdezorientowany Conan zaczął rozglądać się gorączkowo. Ujrzał srogie oblicza oraz grzebieniaste hełmy sześciu członków straży pałacowej. Za nimi szła inna, większa grupa, lecz ze względu na kąt, pod jakim patrzył, widział tylko ich stopy.

Posłusznie zszedł na bok, zmuszając Otsgara, by postąpił tak samo, podczas gdy Zafriti i jej eskorta minęli ich rażno. Po chwili byli już na dole. Dwóch strażników na ich widok stanęło na baczność. Zafriti i reszta spojrzeli ponad barkami strażników na wyłaniającą się z tunelu procesję.

Za drużyną straży szli noszowi z ciężką lektyką. Byli bosy, bez wątpienia dla wygody podróżowania ich właściciela, i szli przygarbieni, na ugiętych nogach, by pasażer lektyki nie zahaczył głową o sklepienie tunelu. Wkrótce wszyscy mogli ujrzeć, jak siedział rozparty w otwartej lektyce. Na ten widok zapało im dech w piersiach.

Był to bowiem Jego Wysokość król Ebnezub, władca Abaddrah. Monarcha wydawał się jeszcze bardziej chory, niż w dniu, kiedy Conan widział go ostatnio. Miał wymizerowany wygląd, skóra na tłustym ciele zwisała fałdami, a jej odcień był żółty niczym woskowa świeca. Jego oblicze rozpalało gorączkowe podniecenie, a małe gorejące oczka upajały się cudownościami, które rozpościerały się wokoło.

Gdy tylko król w swojej wyściełanej lektyce znalazł się przed wejściem do tunelu, noszowi na krótki, gardłowy rozkaz zatrzymali się. Niewolnicy, wyraźnie zmęczeni zejściem po stromej pochyłości, wykorzystali tę chwilę, by przeciągnąć swe zdrętwiałe ciała i poprawić tyczki, utrzymujące na ich barkach niepośledni ciężar króla i jego lektyki. Conan skrył się wśród swych towarzyszy, by uniknąć rozpoznania.

- Oto tyran we własnej osobie. - Usłyszał jak Asrafel mruczy do siebie. - Chciwa, mordercza bestia. - Buntownicze słowa wypowiedziane zostały niepokojąco głośno. Conan, który wciąż ugiął się pod ciężarem kufra, mógł go tylko szturchnąć i łypnąć groźnie spode łba.

Dowódca straży odwrócił się do Ebnezuba i powiedział coś zgnębnym tonem. Najwyraźniej niepokoiło go zejście po stromej rampie.

- Nie. Idziemy dalej - wychrypiał król w odpowiedzi, uniósł nawet rękę i wykonał niecierpliwym ruch jakby ponaglał noszowych. - Chcę dokładnie obejrzeć mój grobowiec, nim zamkną mnie w nim na wieki!

Oficer karnie odwrócił się w kierunku rampy i gromkim głosem zmusił do zejścia ostatnich maruderów. Wydał kolejny rozkaz i zaczął schodzić w dół. Noszowi pomaszrowali za nim. Okolona z dwóch stron wysokimi do kostek krawężnikami pochyłość była żłobkowana, co zapewniało oparcie dla stóp, i dostatecznie szeroka, by można po niej znieść ciężką lektykę. Idący z tyłu ponownie ugięli kolana i pochyliłi się, podczas gdy ci z przodu unieśli tyczki wysoko nad głowami, dzięki czemu królewski palankin był lekko tylko wychylony do przodu.

Gdy lektyka minęła ich bezpiecznie, ostatni ze strażników zszedł z mezaninu i podążył za nią. Conan odetchnął z ulgą. Wtem tuż obok niego dał się słyszeć głośny, metaliczny brzęk i krople palącego płynu spadły na jego obnażone nogi.

Zerwała się jedna z wielkich spiżowych lamp i potoczyła się po kamieniach, rozbryzgując strugę, rozpalonej dymiącej oliwy. Na szczęście strumień nie był dość szeroki, i nie przelał się przez sandały Conana i nie poparzył mu stopy. Olej popłynął w stronę rampy, po której schodził orszak królewski, i kamienie szybko pociemniały od rozlewającej się strugi paliwa, której powierzchnia płonęła niebieskim ogniem.

Conan upuścił kufer i przecisnął się pomiędzy wrzeszczącymi w głos łupieżcami, których gorączkowe przegrupowania zepchnęły go na skraj mezaninu. Odwrócił się w stronę ognistej strugi i ujrzał jak Asrafel, wybiwszy się naprzód, strącał stopą drugą spiżową urnę. Wyjąc jak opętany Shemita posłał ją śladem pierwszej.

- To dla ciebie, morderco mego ojca! - ryknął. - Śmierć tyranowi! Obyś utonął i spłonął w płomieniach równocześnie!

Drugi strumień połączył się z pierwszym, tworząc dymiącą ognistą kaskadę, której strużki zaczęły właśnie dosięgać tylnej straży orszaku władcy. Dotarł on zaledwie do połowy stromizny, a wysokość była zbyt wielka, by można było ryzykować skok. Wrzeszczący przeraźliwie żołnierze uskakiwali na boki przed płonącym potokiem. Nie mogli ani się zatrzymać, ani schodzić dalej. Niektórzy próbowali wskoczyć na niski murek ograniczający rampę, lecz podeszwy ich sandałów były śliskie od oleju i wszyscy tracili równowagę, by po chwili rozpaczliwych wysiłków z przeraźliwym krzykiem runąć w dół. Gdy potok ognia dosięgnął gołych stóp noszowych, kilku z nich podjęło heroiczną próbę utrzymania lektyki, jednak żaden człowiek nie był w stanie znieść potwornego bólu. Na widok drugiej, wciąż płonącej spiżowej lampy, noszowi z przeraźliwym wrzaskiem rozparczyli się na wszystkie strony. Lektyka przechyliła się w bok, a towarzyszący temu impet wyrzucił króla z jego siedzenia poza krawędź pochyłości. Obracające się ciało władcy runęło w dół, by z głuchym łoskotem paść na stos kamiennych płyt. Robotnicy stłoczeni dotąd przy głazach rozbiegli się na wszystkie strony. Kilku noszowych spadło tuż za swoim władcą, na samym zaś końcu runęła lektyka. Palankin roztrzaskał się o kamienie z przeraźliwym trzaskiem w drobne kawałki. Pozostali zbiegali na łeb na szyję po rampie, próbując umknąć przed rozpędzoną, odbijającą się od pochyłości urną.

- Hurra, tak kończą tyrani! - ryknął na całe gardło Asrafel, stając na skraju mezaninu. - Oto, jak upadają wielcy! Wielki tyran nie żyje! Przynieście łopaty i wrzucie to, co z niego zostało, do jego sarkofagu! - Izajab pociągnął go gwałtownie za rękę. - Zamilcz, głupcze, bo nas zdradzisz! - Spojrzał na wzniesione ku górze gniewne oblicza kłębiącego się na podeście galerii tłumu. - Choć raczej mało prawdopodobne, by mogli nas przeoczyć.

- Uzbrójcie się i jazda! - Conan uniósł wieko kufra i jał pospiesznie rozdawać kompanom miecze. Nieduży sztylet, który wybrała dla siebie Zafriti, wyglądał jakby mógł posłużyć jedynie do popełnienia samobójstwa.

Otszar schwycił Asrafela za kark i odciągnął znad krawędzi półki.

- Ruszaj, ty obłąkany zeloto! - wychrypiał. - Nie chcę, by cię pojмали. Nawet po twojej śmierci dotarliby do mnie. Gdyby nie to, sam tu na miejscu skreśliłbym ci kark!

- Czemu tak się pieklisz? - burknął Asrafel. - Ten wielki bufon wyciągnął kopyta. Teraz nie będziemy musieli długo czekać, aby złupić jego

grobowiec!

- Ty głupcze - jęknął Izajab. - Przecież Ebnezub tak czy inaczej nie pociągnąłby dłużej niż tydzień. Czemu nie pozwoliłeś, by jeszcze trochę pomógł się przed śmiercią?

- Zakładając, że on faktycznie wyzionął ducha. -, Otsgar obejrzał się przez ramię na rozwrzeszczany tłum, kłębiący się w miejscu upadku Ebnezuba. - Jeżeli tak, i jeżeli jakimś cudem zdołamy wymknąć się stąd nierozpoznani, wątpię, bym zdołał zebrać się na odwagę i wrócić tu, by go ograbić. Przez ciebie cały nasz plan może wziąć w łeb!

Kłócąc się, wycofywali się pospiesznie wzdłuż podestu. Robotnicy na drugim końcu mezaninu, którzy początkowo zrejterowali w obawie przed płonąca oliwą, wystraszyli się zabójców i nie podjęli pościgu. Na galeryjce poniżej jednak, członkowie gwardii królewskiej zaczęli z gniewnymi okrzykami niezdarnie wspinać się po śliskiej pochyłości rampy. Również z tunelu powyżej dochodziły pierwsze stłumione jeszcze wołania. Łupieżcy przyspieszyli ucieczkę.

Z drugiej strony pół tuzina kapłanów i strażników ruszyło pędem, by odciąć im drogę. Uciekający nie mieli złudzeń, że dotrą przed nimi do wylotu tunelu. Odrzuciwszy precz swoją woskowaną perukę, Conan pierwszy ruszył do walki. Napastnicy musieli poty - kac się z nim pojedynczo i dwójkami na wąskim występie skalnym i z góry skazani byli na przegraną, gdyż Cymmerianin runął pomiędzy nich jak wilk między owce. Złamał miecz pierwszego z napastników, a potem wyprał mu wnętrzności. Drugiego dźgnął w brzuch, nie musnąwszy nawet swoim ostrzem jego miecza. Uzbrojony kapłan, padł z rozplataną nogą. Runął natychmiast w dół, i choć rozpaczliwie próbował, nie zdołał chwycić się krawędzi występu, śliskiego od jego własnej krwi.

Tych, co rzucili się w dół, spotkał los łaskawszy niżli pozostałych, którzy zaryzykowali spotkanie z potężnym mieczem Cymmerianina. Zanim dotarł do wylotu tunelu, pod ścianą legły jeszcze dwa pogruchtane ludzkie strzępy. Gdy nie stało już przed nim przeciwników, Conan odstał na bok, by przepuścić w głąb tunelu pozostałych łupieżców.

- No cóż, nie dałeś nam nawet trochę powalczyć - wysapał do Conana Otsgar, popychając przed sobą Asrafela. - Czy zechcesz również pełnić obowiązki naszej tylnej straży?

- Oczywiście, ale wiedz, że będę deptał ci po piętach, by ustrzec się przed twą kolejną zdradziecką sztuczką - rzucił Conan. - A teraz ruszaj, a żywo, by prześladowcy nie zdołali nas rozpoznać.

Po wyczerpującym biegu wąskimi korytarzami Conan i Izajab zamknęli w końcu sekretne przejście i zamaskowali je ciężkim kamiennym blokiem.

Pościg został daleko w tyle.

Nie czekając, czy ktokolwiek zdoła odkryć ich tajemne przejście, łupieżcy wpadli do mrocznych czeluści krypt.

Ucieczka była pełna niebezpieczeństw i przeprowadzona prawie po omacku, kiedy bowiem upadła jedna z pochodni, Otsgar nie pokwapił się, by przystanąć i w jej miejsce zapalić lampę. Conan natomiast wyczuwał coś innego. Jakieś bliżej nieokreślone zagrożenie czaiło się w mrocznych zakamarkach i sprawiło, że powietrze, którym oddychali, wydawało się ciężkie i przesycone złowieszczą aurą.

Gdy tak patrzył za kołyszącą się hen przed nim pojedynczą pochodnią, po raz pierwszy tej nocy poczuł kwaśną woń własnego strachu. Słyszał szuranie i szelesty dochodzące z czarnych jak smoła czeluści tuneli za sobą, a kiedy przystawał, miał wrażenie, jakby lada moment z mroku miała rzucić się na nich czarna pantera czyhająca w czerni na nieostrożną ofiarę. Nie wyjaśniając niczego jał ponaglać pozostałych, by przyśpieszyli kroku, aż zdyszani i zasapani, wszyscy zaczęli biec przez posępny podziemny labirynt. Gdy wreszcie ujrzeli nad sobą rozgwieżdżony nieboskłon, Conan z impetem zatrzasnął za sobą drzwi krypty. Miał wrażenie, jakby umknął właśnie przed zagrożeniem dużo poważniejszym niżli miecz któregoś z jego śmiertelnych przeciwników.

#### XIV

##### Lament trąb

Dni po śmierci króla były w mieście porą osobliwego, cichego ożywienia. Mieszkańcy Abaddrah chodzili po ulicach w żałobie, z obciętymi niemal do gołej

skóry włosami i twarzami umalowanymi wedle starych praw na czarno lub niebiesko. Mimo to niektórzy z nich wydawali się dziwnie radosni i niemal entuzjastycznie brali udział w pospiesznych przygotowaniach do wystawnej ceremonii pogrzebowej.

W całym mieście słyhać było żałobne śpiewy kapłanów i lament mosiężnych trąb, stanowiący pożegnanie z władcą Abaddrah, a jednocześnie sławiący chwałę Jego Królewskiej Wysokości na drodze do wieczności. Kapłani ogłosili okres postu, choć trudno było mówić o poście w przypadku ubogich wieśniaków, którzy po stracie swego dobytku w niedawnej powodzi żyli tylko o chlebie i wodzie. Dekret ten miał raczej zaostrzyć ich własne apetyty na myśl o stypie, a raczej uczcie, jaka zostanie wyprawiona na cześć zmarłego władcy.

Królewski grobowiec, kolos wznoszący się niemal tuż za miejskimi murami zmalował jakby, gdy robotnicy zaatakowali go ze wszystkich stron, usuwając ziemne nasypy, podjazdy oraz rusztowania z ukończonych ścian z szarego kamienia. Kształt, który wyłonił się pod nimi, był raczej surowy. Wielki, kanciasty grobowiec miał strome ściany, zaokrąglone mury wsporne i spadzisty wierzchołek. Wysokie, wąskie, podwójne odrzwia ze spiżu - masywne szczęki, które w mistyczny sposób miały pochłonąć doczesne szczątki zmarłego władcy i wypluć go w innym świecie - skierowane były na wschód, w stronę miasta, i widać je było z każdego miejsca na zachodnim murze. Lud Abaddrah napawał się niezłomnym przekonaniem, że w pogodne dni widoczne jak na dłoni mauzoleum, będzie budzić trwogę Stygijszyków, tak jak monumenty ludu Południa wywoływały lęk w nich samych. Drewniane dźwigi i usunięte ze ścian mauzoleum podpory ułożono w stopy u rogów budowli, by z rozkazu kapłanów podpalano je każdej nocy; ich gigantyczne płomienie rzucały czerwone refleksy na zlane potem plecy robotników, którzy nieprzerwanie wykonywali swe czynności. Za dnia ze stosu unosił się gęsty dym, tworząc ponad miastem żółtawą chmurę.

Ukryty przez cały ten czas w sekretnym pokoju u Otsgara Conan nasłuchiwał nie cichnącego, zawodzącego lamentu świątynnych trąb. Po całym dniu baczego wyczekiwania, gdy nic nie wskazywało, że zostali zdemaskowani", pozostali łupieżcy opuścili kryjówkę i wyszli bez obaw na ulicę. Zafriti znów zaczęła tańczyć. Spośród nich tylko Conana kapłani nazwali szpiegiem i sabotażystą, a ze względu na jego niepośledni wygląd Cymmerianin łatwo mógł zostać rozpoznany.

- Gdybym tylko mógł jakoś pozbyć się ciebie, Cymmerianinie - rzekł do niego Otsgar. - To znaczy, gdybym mógł po cichu wywieźć cię z Abaddrah - dorzucił spieszenie - wówczas nic nie mogłoby połączyć moich ludzi ze śmiercią króla. - Oberżysta ze smutkiem pokręcił głową. - Nie lękaj się jednak, zadbam o wszystkie twoje potrzeby, dopóki nie wymyślę sposobu, jak można cię stąd bezpiecznie wydostać.

Conan nie odpowiedział; zdawał sobie sprawę, jak wielkim stał się dla Otsgara ciężarem. Aby uniknąć otrucia czy pchnięcia sztyletem przez protektora, od czasu swej ucieczki z grobowca sypiał raczej niewiele i jadł jeszcze mniej. Teraz apatyczny i zobojętniały osunął się ciężko na trzciniowy fotel stojący w pograżonej w cieniu części pokoju.

- Wiesz, że to ciebie, a nie Asrafela, oskarżono o zabicie Ebnezuba - ciągnął Vanir, sadowiając się obok prawie nietkniętej tacy zjedzeniem, stojącej na niskim drewnianym stole pośrodku pomieszczenia. - Kilku robotników rozpoznało w tobie stygijskiego szpiega, którego już od dawna poszukiwały tutejsze władze.

- Conan wzruszył ramionami. - No i co z tego? - odmruknął pośpiesznie. - Lepiej, że to mnie obwinia za śmierć króla, niżli tego zapalczywego gołowąsa, Asrafela, który pragnął jedynie pomścić śmierć swego rodzica. - Poruszył się lekko na fotelu.

- Crom mi świadkiem, że nie o takie rzeczy byłem fałszywie oskarżany. Równie dobrze mogę zawisnąć za zabicie tłustego wieprza, niż za nieistniejącego wołu!

Oparł skrzypiący fotel o ścianę z gliny i zamyślił się. - Właściwie, skoro mam tak niewiele do stracenia, równie dobrze mógłbym podbić stawkę. Kusi mnie, by zrealizować nasz śmiały plan ograbienia grobowca. Co ty na to? - Otsgar uśmiechnął się i patrząc na mroczną postać, pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Na kołyszące się cycki Isztar, Cymmerianinie! Niechybnie postradałeś rozum! Zapuszczać się do dzielnic grobowców, teraz, gdy zrobiło się tak wiele szumu... - Otsgar przerwał i wzruszył ramionami. - Za parę miesięcy albo może za rok, kiedy cała sprawa ucichnie...

- Kogo ty chcesz okpić, Otsgarze? - Zimne, niebieskie oczy błysnęły w

mroku. - Obaj wiemy, że gdy tylko wyzionę ducha albo opuszczę miasto, spróbujesz wdrzeć się do tego grobowca. Wtedy jednak będzie już za późno, byś zdołał zagrabić co wspanialsze skarby.

Przerwał na dźwięk gwałtownego pukania. Ktoś używał umówionego sygnału. Otszar wstał, by otworzyć drzwi, a raczej przemyślnie osadzony na ukrytych zawiasach fragment zdobionej misterną boazerią ściany. Do środka weszli Zafriti i Izajab. Gdy oberżysta zamknął za nimi drzwi, tancerka odezwała się entuzjastycznym tonem.

- Mam dobre wieści. Straż królewska nie ma pojęcia, jak zdołaliśmy im uciec, ani gdzie mogą nas szukać. Naturalnie twierdzą, że są już na naszym tropie, ale mówią to tylko, aby uspokoić ludzi.

- Nigdy nic nie wiadomo - odezwał się Conan nie wychodząc z cienia. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Horaspes sobie tylko wiadomymi sposobami zdołał odnaleźć nasz ślad w kryptach, a nawet dalej.

- Jeżeli nawet coś wie, zachowuje to dla siebie - odrzekł Izajab. - Kto wie, może tak naprawdę wcale nie chce nas dopaść. Na dworze wrze, wygląda na to, że Horaspes ma dość kłopotów, usiłując przedstawić całe zdarzenie jako plugawy spisek stygijskich czarnoksiężników.

- To prawda, na dodatek ludzie chcą jak najszybciej skończyć budowę, a pogrzeb jest już jutro. - Zafriti uklękła z gracją obok Otszara i położyła rękę na jego kolanie. - W pałacu panuje nieopisany chaos, chyba próbują przekonać królową, aby zezwoliła na ekshumację jej niedawno zmarłych bliskich i pochowanie ich wraz z Ebnezubem, w jednym grobowcu. Kilkunastu młodych żołnierzy utopiło się w sadzawce, w Świątyni, aby mogli zostać złożeni do grobu wraz ze swym władcą i służyć mu w Zaświatach. - Dziewczyna potrząsnęła kruczoczarnymi włosami ze zdumieniem. - Nawet w Stygii nigdy nie mieliśmy podobnie kłopotliwych sytuacji. Kapłani wyznaczyli, kto ma towarzyszyć władcy w jego ostatniej drodze ku wieczności. Nie było mowy o żadnych ochotnikach. - Wspomniałaś o królowej - wtrącił Conan - mówiłaś o starej, czy o nowej?

- Stara i nowa to jedna i ta sama! - Zafriti rozłożyła ręce. - Sukcesja została ustalona już dawno temu, zarówno przez samego króla, kiedy jeszcze żył, jak i przez aklamację dworu. Odtąd Abaddrah rządzi Nitokar, a raczej będzie rządzić, po pogrzebie króla i swojej koronacji. Współczuję tym, którzy uważali Ebnezuba za fatalnego władcę!

- A co z księżniczką? - zapytał Conan ze swego miejsca pod ścianą.

Zafriti zaśmiała się cicho. - Obawiam się, że to kolejna ofiara królewskich przepychanek. Może i ocaliłaby głowę, gdyby nie oskarżono jej oficjalnie o zdradę stanu.

- Zdradę stanu? Jak? Dlaczego? - Przednie nogi fotela Conana stuknęły o podłogę, gdy barbarzyńca wyprostował się gwałtownie.

- Nefren odkrył, że w sabotaż uwikłany był kapitan straży Aramas i ty, Conanie. Afrit została wmieszana w tę aferę tuż przed śmiercią Ebnezuba z powodu skrawka zielonego materiału, który znaleziono w grobowcu. Wiedziałeś o tym?

- Nie - odparł krótko Conan.

- Cóż, wiedziony głęboką, ojcowską miłością, odstąpił od ukarania jej. Mimo to skandal kosztował ją utratę całego poparcia ze strony dworu, na jakie mogła liczyć. - Tancerka rozejrzała się szybko dookoła, wyraźnie rozkoszując się tą informacją. - Zgodnie z tutejszym prawem Nitokar zostałaby pogrzebana wraz z Ebnezubem, aby w raju dbać o jego królewskie wygody. Teraz zgodnie z jego królewską Wolą przywilej ten przejdzie na Afrit. Nitokar zaś będzie musiała przejąć na siebie koszarne brzemie władzy nad całym Abaddrah.

- Mieszasz, kobieto, mów jaśniej. - Conan wychylił się do przodu na fotelu. - Chcesz powiedzieć, że Afrit ma zostać pochowana wraz z królem?

- Dokładnie. Zgodnie z jego rozkazem zostanie umieszczona w grobowcu żywa, by jej nadobne młode ciało pozostało nie tknięte. Przykują ją do sarkofagu Ebnezuba złotymi łańcuchami.

- Taak, królowa nieźle to sobie obmyśliła - wtrącił Izajab. - Teraz koronę odziedziczy jej syn, Eblis, który choć małoletni, zapowiada się na jeszcze większego tyrana niż jego matka.

- To niewiele znaczy - Otszar wyrzucił ogryzek owocu i czknał. - Mogę prowadzić interesy w Abaddrah, niezależnie od tego, kto nim będzie rządził. Istotne jest to, by w żaden sposób nie powiązano tej zbrodni z nami. No, przynajmniej na razie. A teraz, na pewien czas, zawiesimy naszą działalność...

- Zawieszaj sobie co chcesz, tchórze - warknął z ciemności Conan. - Bądź



przeklęty, bojaźliwy, dwulicowy Vanirze. - Zaciskając dłoń na rękojeści miecza, zerwał się z fotela. - Wiedz wszelako, że ja złupię jutro ten grobowiec, tak jak planowaliśmy! Po tym, jak mnie zdradziliście, Afrit ocaliła mi życie i nie pozwolę, by te psy pogrzebały ją żywcem!

Łypnął gniewnie na pozostałych, dostrzegając w ich twarzach wyraz kompletnego zaskoczenia. - Ocaleją albo zginę, jeśli będzie trzeba!

- Odłóż ten rożen i usiądź - rzekł dziwnie spokojnym, wręcz beznamiętnym tonem Otsgar. - Nie obchodzi mnie los twojej ukochanej, Conan. Ani mnie, ani nikogo innego tutaj. Zrozum, nie możemy pozwolić, byś wypuścił się na tak szalony wypad. Niechybnie zostałbyś schwyty i wzięty na tortury, lub uciekając ściągnąłbyś nam na głowy pościg. - Pokręcił głową niemal ze znużeniem. - Nie pojmujesz, że zagroziłbyś w ten sposób nam wszystkim? Ryzyko jest zbyt wielkie. Wszyscy moglibyśmy zapłacić życiem za twoją nierozwagę.

- Jesteście tak dobrzy w szacowaniu ryzyka?

Rozległ się szelest stali o skórę. Conan wyjął z pochwy miecz, którego od dwóch dni nie wypuszczał z rąk. - Pokażę wam, co znaczy ryzyko! Jeśli chcecie mnie zatrzymać, uczynicie to teraz! - Spojrzał na nich spoza ostrza, a w jego oczach rozbłysła żądza walki. - Albo zaczekacie tutaj i wydadcie mnie straży cmentarnej, jeśli sądzicie, że nie opowiem im wszystkiego, co wiem o waszych ciemnych sprawkach! - uśmiechnął się do całej trójki, szczerząc zęby w szaleńczym grymasie - albo chodźcie ze mną, a uczynię was bogatymi! Znamy drogę, przygotowania zostały poczynione. Co wybieracie?

Otsgar usiadł i oparł dłoń na rękojeści szeptetu, łypiąc gniewnie na Cymmerianina. Zafriti spojrzała na swego mocodawcę z wyrazem starannie skrywanego podniecenia na pięknym, śniadym obliczu.

Izajab wzruszył tylko ramionami, ale nie odezwał się nawet słowem.

- Z wami czy bez was, i tak dzisiaj tam pójdę - rzekł Conan z niezłomną pewnością siebie. - A jeśli ktokolwiek spróbuje mi w tym przeszkodzić, to Crom mi świadkiem, srodze tego pożałuje.

## XV

### Wrota wieczności

W dniu pogrzebu i koronacji lud Abaddrah zebrał się w alei, ciągnącej się od pałacu aż do zachodniej bramy. Byli obecni prawie wszyscy. Większość chłopów miała ze sobą tobołki z całym dobytkiem, ocalonym z powodzi. Bo choć, jakby z woli boga, poziom Styksu w noc śmierci Ebnezuba zaczął się obniżać, rzeka wciąż pozostawała niespokojna i wieśniacy odłożyli powrót do domu do czasu zakończenia królewskiej uroczystości pogrzebowej. Przed południem zebrało się ich dość, by zająć cały świeżo oczyszczony plac przed wielkim grobowcem. Ludzie skupiali się garstkami nawet na wznoszących się wysoko skarpach pobliskich kanałów.

Tłum zachowywał godną i dumną postawę. Ludzie wiedzieli, że są świadkami odejścia istoty, której natury niemal nie pojmowali, istoty równie odległej i wspaniałej jak słońce. Wkrótce jednak będą świadkami przejęcia tronu przez drugiego, równie tajemniczego półboga.

Idący w kondukcje pogrzebowym lub czekający na miejskich murach szlachetnie urodzeni wydawali się pogrążeni w głębokim skupieniu lub modlitwie. Wiedzieli, że przejęcie władzy po szalonym królu przez kierowaną przez fanatycznego kanclerza szaloną królową przyniesie zarówno wiele możliwości szybkiego wzbogacenia się, jak mnóstwo okazji do utraty wszystkich dóbr, ogólnie jednak zapowiadało moc niepewności.

Kiedy kondukt pogrzebowy wyruszył w końcu z dziedzińca i ruszył aleja, tłum bez szemrania rozstał się na boki, by przepuścić idących. Na czele w rytm wojskowych werbli maszerowała falanga gwardii królewskiej, a wyraz determinacji na twarzach żołnierzy wystarczał, by stojący im na drodze wycofali się bez potrzeby użycia dodatkowych argumentów w postaci pałek lub halabard. Była to sama elita, ochotnicy pobłogosławieni osobiście przez Horaspesa, zmierzający wraz ze swym władcą do grobowca, gdzie zostaną zamurowani żywcem, by doczekać uwolnienia przez króla w Dniu Zguby i poprowadzić go do chwalebnych podbojów w Zaświatach.

Za nimi niesiono w orszaku czekających na pogrzebanie wraz z władcą

zmarłych notabli i oficerów, konie i nałożnice; toczyły się rydwany ze spoczywającymi w trumnach woźnicami, szli czwórkami niewolnicy dźwigając sarkofagi z ciałami łuczników i włóczników, a broń wojowników umocowana była na wiekach skrzyń. Znaleźli się tu wszyscy najprzedniejsi wojownicy, którzy odeszli W ciągu ostatnich lat, a także zmarli niedawno rekruci. Spektakl ten sprawił, że tłum z dumą zaczął szemrać, poruszony widokiem potęgi militarnej swego miasta.

Potem przyszła kolej na prowiant i różne zwierzęta - całe stada namaszczonej wonnościami, ozdobionych wstążkami owiec i bydła; przeróżne naczynia i przedmioty codziennego użytku. Niewolnicy nieśli kosze z jadem i dzbanki z napojami, dźwigali również jaskrawo ozdobione trumny z ciałami niewolników. Orszak zdawał się nie mieć końca, taką prezentację bogactwa i wspaniałości większość oglądających ów spektakl widziała po raz pierwszy i ostatni w życiu.

A był to zaledwie początek. Teraz pojawiły się dobra doczesne króla. Jego wysadzany skrząciami się w słońcu klejnotami, mało używany rydwan, ciągnięty przez szóstkę idealnie dobranych, srebrno cętkowanych koni. Niesiony przez cztery dziesiątki niewolników, model królewskiej barki, na tyle duży, że mógłby popłynąć przez Styks, wyposażony w meble pokryte złotem, laką i kością słoniową.

Pojawiły się również trzy wytworne trumny królewskich faworyt, niesione przez odziane w przejrzyste szaty niewolnice, które śpiewały rzewne, żałobne pieśni. Na koniec pojawił się sam król Ebnezub.

Zniszczona podczas śmiertelnego wypadku lektyka, bo nie nadawałaby się do transportu masywnej trumny. Niesiona teraz była co najmniej dwa razy dłuższa, wsparta na twardych, mocnych żerdziach, które wszelako wyginały się wyraźnie pod niepoślednim brzemieniem sarkofagu i monarchy, tak że ustawieni najbliżej noszowi niego, choć najniżsi, przez cały czas musieli się mocno schylać.

Przywilej przeniesienia władcy do grobowca tradycyjnie należał się najbardziej szanowanym wielmożom. Szlachetnie urodzeni mężowie nie przywykli jednak do wysiłku fizycznego, toteż przyodziani w krótkie, skromne kilty żałobników sprawiali wrażenie, że nie podołają temu zadaniu. Na szczęście przydzielono im silnych niewolników, których ramiona dźwigały większość ciężaru. Dzięki temu arystokraci, choć uginali się pod ciężarem sarkofagu, mogli poruszać się z typową dla nich godnością i wyniosłością.

Na szczęście spojrzenie tłumu przykuwała sama trumna. Była zaiste wspaniała. Lśniącą od złota i platyny stanowiła istny majstersztyk rzemieślniczej roboty, zarówno pod względem wielkości jak i drogocennych ozdób, które na niej umieszczono. Powierzchnia była tak gładka, że odbite od niej promienie słońca boleśnie raziły oczy i nie sposób było wpatrywać się w nią dłużej. Ci, którzy popełnili ów błąd, przez wiele następnych dni i nocy widzieli przed oczyma wirujące po widoki; plotki głosiły, że kilka osób oślepiło zupełnie. Odbite od skrzyni promienie słońca zalewały tłum. Na widok sarkofagu ledwie wydawali głośnie okrzyki zachwyty, a to, co ukazało się później, przeszło niemal zupełnie bez echa. Niewielu zwróciło uwagę, gdy pojawiła się młoda, bosonoga dziewczyna, odziana w długą lichą koszulinę, uginająca się pod ciężarem zwieszających się z jej nadgarstków złotych kajdan, których ornamenty korelowały i zarazem osobliwie kłóciły się z ozdobami królewskiego diademu na jej czole.

Szła zdecydowanie, z lekko pochyloną głową, odwracając wzrok od skrzęcej się oślepiającym blaskiem królewskiej trumny.

Złamany torturami mężczyzna, idący u jej boku, był jeszcze bardziej żalosalną postacią w brudnych, postrzępionych łachmanach. Ongiś dumny i wyniosły, teraz ledwie powłóczył nogami, i tylko ramiona dwóch niewolników chroniły go przed upadkiem. Dziewczyna podchodziła do niego od czasu do czasu i dotykała jego dłoni lub ramion, jakby próbując go pocieszyć. On jednak zachowywał się tak, jakby w ogóle jej nie zauważał.

Zebrani wiedzieli, że mają przed sobą Afrit, córkę władcy, ukaraną za knucie zdradzieckiego spisku, oraz byłego kapitana jej gwardii, Aramasa, który był jej współnikiem. Mało kto przejmował się ich losem czy potępiał za to, co uczynili.

W owym pełnym cudowności dniu, kiedy ważyły się losy dalece ważniejsze od ludzkich, Afrit była po prostu za mało ważna i zbyt bezsilna, by mogła skupić na sobie ich uwagę.

Tak czy inaczej uwaga zebranych skupiła się zaraz na osobie królowej Nitokar, pozdrawiającej tłumy ze swojej lektyki i rozsypującej na prawo i lewo miedziane i srebrne monety. Żałobny strój królowej starannie podkreślał jej

wdzięki - czarny głęboko wycięty stanik uwydatniał mocno talię, a spódniczka podkreślała smukłość nóg. Zgodnie ze swym zwyczajem, na znak szacunku wobec zmarłych, Nitokar uczerniła sobie również powieki. Nie wyglądała na zasmuconą ani poruszoną; zamaszystymi ruchami rozrzucała monety na lewo i prawo, pozdrawiając gromko tłumy, które rażno rzucały się po hojną jałmużnę.

Fotel lektyki Nitokar był niski i lekki, przeznaczony do szybkiego transportu, niosło go sześciu przystojnych, sztywno stąpających niewolników.

I tak oto kondukt pogrzebowy posuwał się naprzód. Dalej szli niżsi rangą notable, niosący podarki dla króla, które miały być zło - żonę w grobowcu. Zamykająca orszak straż tylna szła znacznie zwawiej i swobodniej niż przednia, żołnierze wiedzieli bowiem, że po ceremonii powrócą do pałacu. Wielu zwracało uwagę, że w kondukcie brakuje kanclerza Horaspesa i jego sługi Nefrena. Oficjalne wyjaśnienie brzmiało, iż prorok pracuje w samotności nad ważnymi zaklęciami, mającymi zagwarantować pomyślność i bezpieczeństwo królewskiej sukcesji. Mimo to pojawiły się również plotki, jakoby wywędrował on na Północ, gdyż teraz, gdy jego dzieło zostało ukończone, tu w Abaddrah nie miał już nic do roboty.

Tak czy inaczej ludzie tłumnie przyłączali się do konduktu, który opuszczał właśnie miasto przez bramę zachodnią. Wrota te, nie tak wielkie jak brama główna, wychodziły na dzielnicę grobowców i używane były wyłącznie podczas ceremonii pogrzebowych. Wkrótce orszak dotarł do wielkiego placu na skraju dzielnicy grobowców, zmuszając tłumy do cofnięcia się. Ludzie natychmiast zaczęli wdrapywać się na pobliskie groble, by mieć jak najlepszy widok. Przy ogromnym mauzoleum gromady mieszkańców i kondukt żałobników wydawały się śmiesznie małe. Tłumy ludzi wyglądały jak spieniona piana, obmywająca sterczącą z morskich odmetów skałę. Niesiona ku mauzoleum trumna Ebnezuba przypominała srebrny okręt, wznoszący się na wzburzonych ludzkich falach. Gdy kondukt zbliżył się do grobowca, wokół jego podstawy rozbrzmiały trąby. Dał się słyszeć donośny, dobiegający ze środka zgrzyt metalu i szczęk kołowrotów. Grube jak męskie ciało spiżowe odrzwia, ozdobione fryzami przedstawiającymi chwalebne rządy Ebnezuba, zaczęły się otwierać, po raz ostatni tej wieczności, jak szeptały między sobą zgromadzeni.

Wierzeje rozwarły się szeroko, gdy straż przednia konduktu dotarła do wejścia do mauzoleum. Żołnierze przeszli przez próg i wstąpili przy dźwięku fanfar w mroczną czeluść. Na ten widok rozległy się i głośne lamenty, i owacje, których echo rozbrzmiało pomiędzy murami miasta a mauzoleum; pomruki zebranych ścichły dopiero, gdy wśród głębokich cieni zniknął sarkofag Ebnezuba.

W grobowcu żołnierze oraz prowiant i sprzęty zostali rozdzieleni do odrębnych pomieszczeń. Przewidywano trudności związane ze zniesieniem w dół stromych tuneli ciężkiego sarkofagu władcy. W grobowcu czekała już nowa zmiana niewolników, mających zastąpić zdyszanych notabli. Zadanie to okazało się jednak nad wyraz trudne i spowodowało całkowite zablokowanie ruchu w głównym korytarzu i częste postoje tylnej części konduktu. Koniec końców postanowiono nie ryzykować powtórki z fatalnego wypadku Ebnezuba na pochyłej rampie. Gdy trumna dotarła do galerii środkowej, przymocowano ją linami i wolno opuszczono po pochyłości na drewnianych prowadnicach.

Kolejne opóźnienia nastąpiły w niższym tunelu, jeszcze gorsze i dłuższe zaś, gdy lśniąca trumna znalazła się w komnacie królewskiej, gdzie pod ścianami ustawiono całe stosy skrzyń ze skarbami i precjozami. Sklepienie sali lśniło w blasku lamp jak rozgwieżdżone nocne niebo.

Wniesiona do tej pełnej przepychu i bogactw komnaty trumna miała zostać wstawiona do czekającego tam sarkofagu i zamknięta ciężkim kamiennym wiekiem. Wreszcie, kosztem bardziej lub mniej poważnych obrażeń kilku niewolników, zadanie to wykonano, a mieniący się złotem sarkofag zniknął pod pokrywą z zimnego kamienia. Królowa Nitokar nie posiadała się z wściekłości.

- Szybciej, lenie parszywe! - ponaglała niewolników.

- Zostawcie, co przynieśliście, i jazda z powrotem! Pozostawiwszy swą lektykę i noszowych w środkowej galerii, królowa krążyła w tę i z powrotem po wyłożonej wspaniałą mozaiką posadzce królewskiej komnaty. W dłoni miała długi, prosty bat, którym przedtem poganiała noszowych, teraz zaś smagała nim na prawo i lewo, chłoszcząc pierzchających niewolników równie gorliwie, jak wcześniej rozdawała monety.

- Te świecidełka nie są dla mnie nic warte. Niech zgniją tu, obok tego tłustego wieprza! - Smagnęła batem podstawę sarkofagu.

- Och! Mierzi mnie już przebywanie w tych grobowcach. Takie tu przeciągi. Miasto czeka, bym objęła w nim rządy!

- Królowo moja, czy mogę zasugerować... byś pohamowała się odrobinę w ten święty dzień,? Jesteś wszak teraz w miejscu świętym. Odziany w błyszcząca szatę, arcykapłan Ellaela, wysoki mężczyzna z wyraźnym brzuszkiem, jedyny jej towarzysz w tej chwili, stał teraz dość niepewnie obok królowej.

- Mam się hamować? Dlaczegoż to monarchini miałyby się hamować?

Nitokar odwróciła się i uniosła bat, jakby chciała smagnąć go po policzku. Gdy cofnął się trwożliwie, wybuchnęła śmiechem.

- Nie, kapłanie nie musisz się lękać. Potrafię się hamować i czynię to. Jeśli jednak mój obecny stan psychiczny działa na ciebie deprymująco, odejdz, nie będę cię zatrzymywać. Są tu jeszcze inne pomieszczenia. Poślę po ciebie, gdy komnata będzie gotowa do zamknięcia. - Wasza wysokość, moje miejsce jest tutaj, obok Was i króla.

- Nie, odejdz. - Postąpiła krok w jego stronę i mężczyzna cofnął się. - I niech twoi kapłani nie czają się u wejścia. Chcę zostać sama z mą ukochaną córką, bym mogła pożegnać się z nią po raz ostatni.

Patrzyła jak kapłan, raz po raz kłaniając się nisko, opuszcza komnatę. Po jego wyjściu odwróciła się w stronę wielkiego sarkofagu, gdzie milcząca i zrezygnowana klęczała księżniczka Afrit. Brązowe kędziory włosów opadały na jej ciężkie od kajdan nadgarstki, połączone złotymi łańcuchami z otworem w kamiennej podstawie trumny. Na obliczu dziewczyny, bladym jak koszula, którą nosiła, nie było śladów łez. Widniał na nim jedynie wyraz całkowitej rezygnacji.

- Tak oto, moje dziecko, już wkrótce pozbędziesz się mnie na zawsze. Pozbędziesz się wszystkich ludzi, a także trosk i kłopotów całego zewnętrznego świata, zostanie ci tylko twój dziecięciniały ojczulek nieboszczyk. - Królowa poklepała obłą boczną ścianę sarkofagu.

- Ach, zapomniałam o twoim współniku, popleczniku w zdradzieckim spisku przeciwko mnie. Możesz sobie z nim rozmawiać, póki ci tchu w piersiach starczy. Ja odbyłam już z nim dość długą i rzekłabym, dość wyczerpującą pogawędkę - wskazała batem na dziwnie skrzyconego Aramasa, który z rozdziawionymi ustami siedział pod ścianą opodal, przykuty żelaznymi kajdanami opasującymi jego kostki do złoconego kamiennego bloku. Siedział skulony, ale widać było wyraźnie sińce i nie zagojone rany na jego ramionach i goleniach. Najwyraźniej musiał być strasznie torturowany.

- Zaiste okropne to, gdy młoda dziewczyna spiskuje przeciwko własnym rodzicom - ciągnęła Nitokar, ignorując niewolników, którzy wciąż wnosili skarby do komnaty. - Co uczyniło cię tak twarzą, moje dziecko? Żałuję, że nie mogłam poświęcić ci więcej czasu, by matczyną opieką i surową dyscypliną zyskać sobie jeśli nie twoją miłość, to przynajmniej szacunek. Wiem, dyscyplina potrafi działać cuda. Tak jak w przypadku tego tam, Aramasa. Z początku był twardy i nieprzystępny; to za twoją sprawą tak zhardział, że gotów był wystąpić przeciwko prawowitej władczyni tego miasta. Wkrótce jednak zaczął skomleć i błagać o prawo wyjawienia mi swych najskrytszych sekretów. Wył i wyrzaskiwał twoje imię na całe gardło. O tak, wiem, w jaki sposób należy postępować z młodymi mężczyznami. Z tobą także bym sobie poradziła, ale twój ojciec zawsze był temu przeciwny. Chciał zachować cię nieskalaną. Nawet po jego śmierci nie miało spotkać cię nic złego. Ciekawe, w jaki sposób mógłby teraz temu zapobiec? Nitokar zaśmiała się i cięła Afrit batem przez ramię. Księżniczka syknęła w głos i przyłożyła dłoń do ramienia, na którym pojawiła się krwawa, nabrzmiała pręga.

- Ale, cóż to, księżniczko? Kiedy królewski trybunał zdecydował o twoim losie, nic nie wspomniano, że masz zostać pogrzebana w tym mauzoleum w jakimkolwiek przyodziewku. Ściągaj to! - Nitokar rzuciła się naprzód, schwyciła za rąbek koszuli Afrit i pociągnęła silnie. Cienki materiał pękł niemal na całej długości, a dziewczyna krzyknęła, szarpiąc krępujące ją okowy.

- O tak! Spróbuj teraz ukryć swój srom! - Nitokar znów zaczęła wymachiwać batem, chłuszcząc Afrit po obnażonych nogach i plecach. - Oto, co powinno cię spotkać, gdy tylko zaczęłaś donosić na mnie ojcu!

Księżniczka uchylała się jak mogła, usiłując raz i drugi dosięgnąć swej prześladowczyni kopnięciami, ale wobec kłusającego bata i zjadliwego języka była zupełnie bezradna. Wreszcie królowa uspokoiła się, a szlochająca Afrit osunęła się ciężko i oparła plecami o podstawę sarkofagu.

- No i co się tak gapicie? - Nitokar odwróciła się w stronę pary niewolników, którzy, kompletnie zaskoczeni przyglądali się batożeniu

księżniczki. Królowa uniosła w dłoni bat. - Skoro jestem waszą królową, musicie nauczyć się być równie ślepi jak niemi! - Wrzasnęła na całe gardło za pierzchającą parą.

Nitokar nie pozwoliła swojej furii wygasnąć. Teraz skoncentrowała swą uwagę na maltretowanym Aramasie, który po raz pierwszy uniósł wzrok, jakby uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

- O, ocknąłeś się... Czy jesteś gotów ponownie rozpocząć swe umizgi? Skoro tak, to proszę, zasłużyłeś na całusa. - Pochyliła się i smagnęła go batem po policzku. Mężczyzna nie uniósł nawet dłoni, by się obronić, tylko bez słowa odwrócił wzrok.

- Widzisz, moje dziecko? To się nazywa oddanie! - Odwróciła się i wyszczerzyła do Afrit. - Nawet ogara nie dałoby się lepiej wytresować. Daj mi tylko czas... A, któż to znowu? - Królowa odwróciła się w stronę drzwi, w których pojawił się mężczyzna w stroju straży cmentarnej.

- Nie wzywałam straży! Ja tu dowodzę i panuję nad sytuacją!

- Na moje szczęście, tak ci się zdawało. - Intruz obejrzał się przez ramię i skinął głową do kogoś na zewnątrz. Potem znów spojrzął na królową i dobył miecza. Zadzwięczała wysuwana ze skórzanej pochwy stal. Wysoki, mocno umięśniony pod cienkim, szarym płaszczem mężczyzna poruszał się z gracją górskiego kota. - To ty, Conanie! Przeklęty, sprawiający wieczne kłopoty uciekinier! - W głosie Nitokar pobrzmiwał pospołu gniew i niepokój.

- Straż! Straż! Do mnie! Jest tu zabójca!

Conan roześmiał się rubasznie, nie próbując nawet jej uciszyć. Z tyłu za nim pojawiły się dwie głowy w hełmach straży pałacowej. Miast jednak pospieszyć władczyni z pomocą, mężczyźni ruszyli wzdłuż stołów i skrzyń ustawionych pod ścianami, wybierając co cenniejsze skarby i wrzucając świecidełka do worków.

- Tak, psy - zawołał do nich Conan - bierzcie co chcecie, musimy stąd zaraz zniknąć.

- Co? Jak śmiesz profanować grobowiec króla! - Nitokar aż zatrzęsała się z wściekłości. - Ośmielisz się pozbawiać mego drogiego męża skarbów, które przysporzą mu chwały w Zaświatach? - Spiorunowała wzrokiem łupieżców. - Odejdźcie natychmiast, a obiecuję wam, że odczekam chwilę, zanim wezwę mych sojuszników.

Conan roześmiał się znowu.

- Gdyby twoi poplecznicy wiedzieli, co jest dobrym rozwiązaniem dla tego miasta, zamurowali by cię w tym grobowcu. Wątpię, czy są wśród nich tacy, którzy choć przez chwilę nie pomyśleli o bardziej lub mniej dyskretnym pozbyciu się ciebie.

Patrzył, jak łupieżcy wychodzą z pełnymi workami, a na ich miejsce zjawiają się dwaj inni.

- Ty plugawy złodzieju! Łotrze spod ciemnej gwiazdy! Za te słowa każę cię ćwiartować żywcem na środku głównego placu Abaddrah, rozpalonymi do białości nożami! - Królowa obruszyła się. - Wszyscy moi poddani, od tych najbardziej szlachetnych po najpodlejszego woźnicę czy żebraka, sami oddani całym sercem. A najbardziej z nich bohater tego kraju prorok Horaspes. - Skrzyżowała ramiona tak, że bat trzymała teraz przy boku. - Pod jego przewodem doprowadzę Abaddrah do świetności, której to miasto dotąd nie zaznało.

- Takiej jak wojna ze Stygią? - Conan spojrzął na nią spod zmrużonych powiek. - Ciekawe, jakie plany ma ów kapłański intrygant jeżeli chodzi o ciebie i twoje rządy w tym państwie. - Odwrócił się na moment, by spojrzeć na wychodzących z komnaty, objuczonych ciężkimi workami Izajaba i Asrafela. - Tak czy inaczej, to już nieistotne. Twoja rola wkrótce się skończy. Korona trafi na głowę kogoś bardziej rozsądnego od ciebie. I normalnego.

- To wielka hańba, Conanie. - Nitokar opuściła ręce do boków, obserwując go. - Skończ z tym buntem i zostań mym nałożnikiem. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam, wiedziałam, że jesteś niepospolitym mężczyzną. Sprawię, że przeżyjesz doznania, o jakich dotąd nie miałeś pojęcia. Może nawet przekroczyś granice, nieznane innym śmiertelnikom, granice bólu, rozkoszy i ekstazy! - Uniosła dłonie do piersi i wyciągnęła je ku niemu zapraszająco. - Moglibyśmy poznawać te sekrety wspólnie. - Wpatrywała się głęboko w jego oczy, gdy do niej podchodził.

- Nie, widzę, że powzięłaś już decyzję i tylko jedno masz w głowie. Zamierzasz mnie zamordować, tak jak to uczyniłaś z moimi niewolnikami.

Czekała na niego, z rozchylonymi lekko wilgotnymi, kuszącymi wargami.

- Zrób to Conanie! Nie daj się jej omamić! - Stojąca tuż za królową

Afrit szarpnęła krępujące ją łańcuchy i jęknęła z bólu. - Mojemu ojcu składała takie same plugawe obietnice!

Conan uniósł miecz nad głowę. - Nie. - Ostrze ze świstem przecięło powietrze obok głowy Nitokar i spadło na ogniwa złotego łańcucha, w miejscu gdzie łączyły się one z kamiennym sarkofagiem. Rozległ się głuchy brzęk, gdy stalowa klinga przecięła miękki metal i okowy opadły na posadzkę.

- Już ci mówiłem, Afrit. Nie jestem mordercą. Jeżeli chcesz się kogoś pozbyć, musisz nauczyć się to robić sama. Nie zamierzam brudzić sobie za ciebie rąk.

Z przeraźliwym krzykiem uwolniona księżniczka rzuciła się na macochę, rozrywając jej skórę ostrymi jak szpony paznokciami i okładając bransoletami kajdan. Królowa nie użyła bata; zaskoczona i bezradna wobec gwałtownego ataku dziewczyny zaczęła głośno krzyczeć. Miotła się bezradnie, aż w pewnej chwili potknęła się i upadła. Afrit wykorzystwała tę sytuację i pociągnęła królową za włosy wlokąc po podłodze i kopiąc gdzie popadnie.

- Choć lubię widok walczących kobiet, muszę przypomnieć ci księżniczko, że nie ma na to czasu. Musimy się stąd wynosić. Skończ z tym, i to szybko. Potem ty i twój kapitan możecie pójść ze mną. - Conan sięgnął do pasa i wyjął prosty sztylet z mosiężną rękojeścią, po czym rzucił go trzonkiem w stronę Afrit. Sztylet przelatujący łukiem od barbarzyńcy do księżniczki zalśnił osobiście jeden jedyny raz.

Afrit puściła czarne loki Nitokar, aby schwycić oburącz rzuconą jej broń. I nagle krzyknęła, puszczając sztylet. Wbiła wzrok w swoje dłonie, które poczerwieniały, jakby wskutek silnego poparzenia. Nóż spadł na posadzkę, dziwnie zniekształcony. Conan, patrzył ze zdumieniem, jak jego sztylet rozpląwa się z wolna w dymiącą kałużę roztopionej stali. - Bardzo przepraszam. - Zza pleców Conana dobiegł znajomy, donośny głos z charakterystycznym shemickim akcentem. - Nie cierpię tanich, kuglarskich sztuczek, ale czasami bywają przydatne, choćby tylko po to, by przykuć uwagę widzów.

Conan odwrócił się, podążając za wzrokiem obu kobiet, i zamarł w bezruchu. Do komnaty wszedł odziany na biało Horaspes oraz jego nieodłączny towarzysz i przyboczny, Nefren.

## XVI

### Dzieci nocy

Prorok uśmiechnął się protekcjonalnie do Conana, a jego wyższy kompan obejrzał się przez ramię. Horaspes wyglądał na pewniejszego siebie i bardziej władczego niż kiedykolwiek, Nefren zaś nie zmienił się ani na jotę; śniade oblicze pozostało nieruchome, w oczach malował się wyraz jakiegoś osobliwego ciągłego lęku lub zaskoczenia.

Conan czekał w napięciu. Przyjął już pozycję walki, dobył również miecza. Z tyłu, za nim, Afrit i Nitokar przestały się szamotać i bić. W czasie nie dłuższym niż jedno uderzenie serca ich twarze zmieniły triumf na rozpacz. Jedynie kulący się w kącie Aramas nie zareagował w żaden widoczny sposób na odmianę sytuacji.

- Cóż to, góralu, czemuś tak spochmurniał? Martwisz się losem swych chciwych przyjaciół na zewnątrz? - Horaspes wydawał się tak jowialny, że jego puciołowata twarz niemal promieniała.

- Nie widzieli nas, wiedz bowiem, że mamy swoje sposoby na omijanie najbardziej czujnych straży, że o tych nie wspomnę. - Kapłan rozłożył szeroko ręce. - Postanowiłem ich przeto nie niepokoić. Wkrótce i tak spotka ich zguba, gdy tylko spróbują wydostać się z katakumb.

- Królowo Nitokar, moja droga sojuszniczko, wygląda na to, że przybyłem na czas, by zapobiec śmierci kolejnej przedstawicielki królewskiego rodu. - Prorok z łagodną dezaprobatą pokręcił głową. - Jak zawsze jesteś nazbyt porywcza, zapalczywa i nieostrożna.

Królowa poczerwieniała, z przeraźliwie potarganymi włosami podniosła się powoli. - Ależ Kanclerzu, to była jedynie próba skarcenia przez matkę jej wiecznie krnąbrnego dziecka. Z twoją pomocą wkrótce położę temu kres. - Schwyciła Afrit za nadgarstek, a dziewczyna cofnęła się natychmiast, przeklinając. - Nie, królowo, zaniechaj swej pomsty! Odtąd ja zajmę się

wszystkim! - Nitokar spojrzała na niego i Horaspes dodał cierpliwie: - Popieram twe rządy, bo jesteś mi potrzebna w kierowaniu sprawami Abaddrah. Taka była zresztą umowa. Spodziewam się wszelako, że zachowasz przynajmniej pozory należytą królowej godności.

Mimo łagodnego tonu, wyczuwało się w nim władczą nutę.

- A teraz idź już. Dołącz do swych niewolników i kapłanów w galerii głównej, gdzie poleciłem im czekać. Główny korytarz jest pusty. I jeśli można prosić, zrób coś ze swymi włosami - dokończył prorok, uśmiechając się obłudnie.

Rzecz dziwna, Nitokar wykonała polecenia proroka bez cienia sprzeciwu. Jak przypuszczał Conan, poddawała się człowiekowi dysponującemu większą potęgą i bardziej od niej bezwzględnemu. Gdy mijała Cymmerianina, ten wyciągnął rękę.

- Dlaczego mielibyśmy pozwolić jej odejść? - zwrócił się do Horaspesa. - Czemu nie mielibyśmy po prostu zabić was trojga i pójść dalej swoją drogą?

Prorok patrzył na Conana i jakby od niechcienia wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz, bym raz jeszcze zaprezentował ci kilka moich sztuczek, proszę bardzo. Nie mam nic przeciwko temu. Ale wiedz, że nic w ten sposób nie zyskasz.

Conan zamilkł. Nie chciał ujrzeć, jak jego miecz zamienia się w dymiącą kałużę roztopionego metalu, jak wcześniej sztylet. Cofnął rękę, pozwalając Nitokar przejść. Ta wszelako odwróciła się i spojrzała na Horaspesa.

- Czy mam wezwać strażę? - spytała.

- Nie - prorok pokręcił głową. - Nie chcę, by ktokolwiek dowiedział się o tym barbarzyńskim najściu. Wyprowadź innych z grobowca i odpraw ceremonię zamknięcia wrót. Wszystkie dary i precjoza są już na swoich miejscach. Jak tylko uporamy się z naszym problemem - tu wskazała ręką Conana i księżniczkę - zamknę królewską komnatę raz na zawsze. A potem opuszczę grobowiec w czarodziejski sposób. Znam odpowiednie zaklęcie.

Jego oblicze złagodniało. Horaspes ujął królową za rękę.

- Idź już, twoi poddani czekają. Na pewno się niecierpliwią. - Nitokar skinęła głową i pochyliła się, by ucałować dłoń proroka. Raz jeszcze spiorunowała wzrokiem Conana i Afrit, po czym przeszła pomiędzy mędrcom a jego przybocznym i opuściła komnatę.

Gdy znikła w przejściu, Horaspes z uśmiechem przeniósł wzrok na barbarzyńcę i dziewczynę. - Nitokar nie należy niestety do osób kompetentnych i pożytecznych. Jeśli jednak wszystko pójdzie zgodnie z planem, miasto nie pozostanie długo pod jej rządami.

Conan bacznie przyglądał się czarownikowi i jego przybocznemu. - Masz wobec niej pewne plany, czyż nie, magu? - Grał na zwłokę, nie był jeszcze gotów zaatakować Horaspesa.

- O tak, w stosunku do niej, i nie tylko. Czemuż człowiek prawdziwie zdeterminowany, gotowy na wszystko, miałby w jakikolwiek sposób ograniczać swoją władzę na tej ziemi? Albo w innych domenach?

Księżniczka podeszła z tyłu do Conana, pragnąc ukryć swą nagość przed lubieżnym wzrokiem proroka i jego przybocznego. Cymmerianin odpiął pod szyją zapinkę płaszcza i podał go dziewczynie.

- Zawsze istnieją granice - zwrócił się do Horaspesa. - Każdy prawdziwy prorok zdołałby je dostrzec.

Prorok uśmiechnął się promiennie, niczym wygłodniały kot szczerzący się do parki strwożonych gołębi.

- Ja w niedalekiej przyszłości widzę tylko wielkie zwycięstwo i przyznać muszę, że możecie odegrać w nim niepoślednią rolę. To dlatego was tu zwabiłem.

Patrzył przed siebie, nie zwracając uwagi na znajdujące się wokoło skarby. Przeszedł przez skrzącą się od złota komnatę i stanął pod ścianą.

- Bądź co bądź, barbarzyńco, niewiele brakowało, a puściłbym wolno ciebie i twoją bandę rabusiów grobów. Czyż mogłeś liczyć na lepszą zachętę do działania, niżli niezliczone bogactwa zgromadzone w jednym miejscu i skazana na powolne konanie księżniczka?

Nefren, przyboczny kapłana, nie ruszył się z przejścia, blokując je swym chudym, wysokim ciałem.

- Oto czas niezliczonych, nieograniczonych możliwości, jeśli tylko człowiek jest dostatecznie światły, by zdać sobie sprawę z ich zaistnienia i będzie umiał je wykorzystać - mówił pogodnym tonem Horaspes. - Ten zakątek świata, żyzna dolina Styksu, jest bajecznie bogaty. Zwłaszcza Abaddrah kryje w sobie niezmierzone bogactwa, z których większość za sprawą kulturowanych tu od

stuleci praktyk grzebalnych znajduje się pod ziemią. Ty miałaś tego świadomość i próbowałaś wykorzystać swą wiedzę oraz nadarzącą się okazję, rabując owe grobowce. Dobrześ to sobie obmyślił, Conanie z Cymmerii - dodał z ironicznym przekąsem Horaspes. - Jednakże w swej krótkowzroczności i prymitywnym, barbarzyńskim sposobie rozumowania przeoczyłeś coś znacznie bardziej dochodowego. W kraju tak starym jak Stygia, skąd pochodzę, umarłych jest znacznie więcej niż żywych. - Zmierzył barbarzyńcę i dziewczynę przeciągłym, zadumanym spojrzeniem. - To samo tyczy się Abaddrah i kilku innych prowincji, gdzie wpływy i wierzenia stygijskie zakorzeniły się szczególnie mocno. W większości owych miejsc nie ma to, rzecz jasna, większego znaczenia, bo umarli zostają pogrzebani i tu sprawa się kończy. Ich ciała zostają rozwłócone i pożarte przez szakale, kości połupane i rozrzucone na cztery wiatry. W krainach Południa wszelako, jak sam widziałeś, konserwuje się starannie wraz z całym dobytkiem i służbą, by w Zaświatach zyskali sobie należne miejsce wśród tych, co odeszli przed nimi. - Horaspes uśmiechnął się dobrotliwie.

- To doprawdy zdumiewające, jak dobrze można zakonserwować ciała umarłych w tym gorącym, suchym klimacie. Widziałem ekshumowane mumie, liczące sobie wiele stuleci, które wciąż miały zaokrąglone kształty, ich ciała były nadal jędrne, a mięśnie mocne i twarde. Takie właśnie doczesne szczątki, relikty przeszłości, mogą zachować dawną gibkość i elastyczność poprzez zastosowanie pewnych olejków i maści. Do tego stopnia, że długo jeszcze będą wyglądać jak żywe. Jeśli poświęci się im odpowiednio dużo czasu i troski, ów naturalny jak za życia wygląd mogą zachować nawet przez całe stulecia. Największym wrogiem jest oczywiście słońce, które powoduje wysychanie i gnicie. Słońce jest źródłem wszelkiego rozkładu. Może zauważyliście, że mierzi mnie to światło i unikam wychodzenia za dnia. Stąd ta zdrowa biel mojej skóry. - Horaspes uniósł w górę swe blade, lekko różowe dłonie. - Naturalnie, dzień jest czymś równie niestałym i ulotnym jak noc. A zanim nastał pierwszy dzień, trwała jak wiadomo nieprzerwana noc! Czemu ludzie mieliby przedkładać jedną porę nad drugą? - Kapłan rzucił retoryczne pytanie i pokręcił głową. - Nie ma powodu, dla którego wszystkie ziemskie rozrywki nie miałyby rozgrywać się nocą. Wówczas zaś to dzień uważano by za coś gorszego i zakazanego.

Teraz znacie już sedno mego planu - wskrzesić noc i odbudować jej prymat nad dniem. Jeśli nie pojmujecie, o co mi chodzi... - Horaspes podszedł do bocznej ściany komnaty i uderzył w nią trzy razy nasadą dłoni. - Dzień uosabia życie, czyż nie? Noc zaś jest śmiercią! - Cofnął się od zdobionej freskami ściany i stanął w rogu pomieszczenia, jakby chciał, by słuchający go mieli lepszy widok. - Tak więc jasne jest, że Imperium Nocy nie będzie tworzone przez żyjących! Conan patrzył na proroka z narastającym niepokojem. Nie do końca pojmował sens bełkotu Horaspesa, ale słowa proroka napawały go coraz większą zgrozą. Rozdygotana choć miała na sobie płaszcz barbarzyńcy, Afrit przywarła do jego ramienia, jakby czerpała zeń żywotne siły.

Cymmerianin przeniósł wzrok na ścianę, w którą przed chwilą uderzył Horaspes. Coś się tam poruszało. Początkowo wydawało mu się, że prorok nakreślił kolejny znak runiczny, który rozrośnie się teraz do rozmiarów czarodziejskiej wizji, bowiem mały czarny punkt, pośród pastelowych fresków powiększał się z każdą chwilą coraz bardziej. Nagle ze ściany posypały się pierwsze płaty tynku, a od otworu rozeszła się na wszystkie strony pajęczyna nitkowatych pęknięć. Wreszcie przy wtórze głośnego trzasku cała środkowa część ściany runęła na podłogę ukazując ziejącą czernią pustkę. Nie było to na pewno złudzenie, jak sceny na dworze Ebnezuba. A jednak za wirującym kłębem gipsowego kurzu czaiły się w ciemności dziwne, widmowe kształty. Afrit z całej siły wbiła palce w ramię Conana, gdy oboje usiłowali dostrzec co znajduje się za niską stertą gruzów. Jakaś potworna gula zaległa mu w żołądku, a krótkie włoski na karku zjeżyły się, gdy zaczął rozpoznawać kształty przyczajonych w mroku postaci. Były potworne i po drugiej stronie otworu czekało ich całe mnóstwo. Dziesiątki, może nawet setki.

Cymmerianin wbił wzrok w świecące ślepia wielkiej hieny, której na wpeł przegniły łeb spoczywał, nie wiedzieć czemu, na szerokich barkach mężczyzny. Z tyłu, za nim rozbłysły w mroku osobliwe iskierki - to światło odbiło się w klejnotach osadzonych w orbitach niemal zupełnie pozbawionej tkanek ludzkiej czaszki. Poza nią, spod fałd zakurzonego kapłańskiego kaptura wyłaniała się przeżarta zgnilizną głowa świętego ptaka Ibisa, i przekrzywiając się z boku na bok, łypnęła na Conana najpierw jednym, potem drugim okiem. Wyłaniali się, jeden



po drugim, z mrocznej czeluści tunelu. Niektóre z istot szły przygarbione, inne stawały na stertach gruzów, by móc lepiej widzieć. Jedne miały na sobie złote zbroje, inne zaś gnijące bandaże i łachmany.

Wszystkie na swój sposób miały ludzkie cechy, większość jednak wyglądała zbyt przerażająco, by można było patrzeć na nie przez dłuższy czas. Jak domyślał się Conan, to mieszkańcy tutejszych grobowców, dawni mieszkańcy Abaddrah, którzy odeszli całe stulecia temu, a teraz przebudzili się i przybyli na wezwanie swego proroka, by zawładnąć domeną żyjących. - A zatem spotkaliście w końcu moje dzieci nocy, lud przyszłości! - rzekł Horaspes ignorując cichy szloch Afrit, która ukryła twarz za plecami Conana. - Błagam, niech nie mierzi was na wpół ludzka natura tych nieszczęśników. Obawiam się, że ich wygląd jest trochę nie na miejscu. Tu, w dolinie Styksu, taka moda panowała całe wieki temu. Ówczesni balsamatorzy mieli podówczas w zwyczaju łączyć ze sobą szczątki ludzkie i zwierzęce na podobieństwo ich prymitywnych bogów. Księżniczko, upraszam cię, spójrz na nich łaskawym okiem, wszak są to także twoi poddani! Nikt nie będzie ci tak oddany i wierny, jak oni. Ostrzegam cię jednak, że zawsze będą darzyć mnie bezgraniczną wdzięcznością, gdyż to ja moją magiczną mocą rozпалиłem na nowo iskierki życia w ich trawionych zgnilizną ciałach!

Podczas gdy prorok napawał się swym triumfem, Conan zmusił się, by baczniej przyjrzeć się dzieciom nocy. Niektóre z nich wyglądały całkiem solidnie i zdrowo, ich skóra lśniła, bez wątpienia za sprawą olejków, o których wspomniał Horaspes. Dzięki nim ciała wyglądały lepiej niż odzienie, w które były przyobleczone. Inne stworzenia przypominały obciążone wysuszoną, pofałdowaną, skórą szkielety, zgarbione i poskręcane wskutek niewłaściwie przeprowadzonej mumifikacji; niektórym brakowało jakiejś kończyny lub też mniej istotnej części ciała. Przyglądający się im z jawną odrazą Conan stwierdził, że mieszkańcy grobowców nie zasypiali bynajmniej gruszek w popiele. Większość z nich miała oskardy, dłuta i inne narzędzia do drażenia korytarzy w miękkim podłożu dzielnicy grobowców. Tłumaczyło to stukania, które sygnalizowały pojawianie się i odchodzenie niewidzialnych kopaczy tuneli. Narzędzia nosiły ślady mocnego zużycia, a dzierżący je robotnicy najwyraźniej się nie oszczędzali. Wiele spośród dłoni zaciśniętych na drewnianych styliskach i stalowych dłutach było obdartych ze skóry i tkanek, tak że zostały z nich jedynie nagie kości.

- Jak widzisz, góralu, mimo iż jesteś sprytnym złodziejem, przeoczyłeś prawdziwy skarb, jaki skrywają w sobie grobowce. Samych umarłych! - Rzucił z entuzjazmem Horaspes. - Zaczynając z paroma setkami umarłych, których sprowadziłem ze sobą ze Stygii, ocalałych - choć to ocalenie może wydawać się nie na miejscu - po moich potyczkach z tamtejszą armią i krótkowzrocznymi kapłanami, udało mi się spenetrować całą dzielnicę grobowców.

Czyniąc to, zdobyłem nie tylko niezliczone skarby, broń i rzeczy jakie w grobach pochowano, lecz również samych nieboszczyków; bogaczy i biedaków pospołu, mężczyzn, kobiety i dzieci. Żadna komnata im się nie oprze, nawet najsolidniejszy grobowiec, który w swoim założeniu miał pozostać nietknięty przez całą wieczność. Właśnie teraz moi słudzy usiłują wydostać ostatnich swoich braci uwięzionych w najstarszych, najbardziej odległych mauzoleach. Jestem pewien, że odkad na całą tę nekropolię rzuciłem najsilniejsze ze znanych mi zaklęć ożywiających umarłych, ich mieszkańcy już przewracają się w swoich trumnach z niecierpliwości i drapia pazurami, pragnąc przyspieszyć ten moment!

Mam już teraz po swojej stronie przewagę. Zwiększymy jeszcze bardziej liczebność nieumarłej armii, która nie potrzebuje słońca. Mógłbym zaatakować i z łatwością podbić to nędzne miasto. Wpierw jednak chcę rozszerzyć zasięg moich nauk i zdobyć sekretnych podziemnych popleczników we wszystkich miastach Shemu. Kiedy uderzę, będę dowodził imperium tak wielkim, by mogło zagrozić Stygii i wstrząsnąć tamtejszymi kapłanami, że sandały im z nóg pospadają!

Po co jednak mam się spieszyć, skoro z każdym splądrowanym grobowcem zyskuję nowe bogactwa, a zarazem przybliżam się o krok do swego nieuchronnego i absolutnego triumfu. Choćby to mauzoleum; dzięki zgromadzonej tu broni i wojsku wzmocnię swą armię, a zebrana żywność i żyjący zaspokoją głód moich wiernych. Wiedziecie bowiem, że i umarli bywają głodni, choć przychodzi im to wolniej i są znacznie bardziej wytrzymali niż żyjący.

Horaspes przerwał, by spojrzeć na księżniczkę, która dawno już zatkała uszy dłońmi i wtuliła twarz w ramię Conana.

- Och, biedna Afrit, wygląda na to, że moje słowa mocno toba wstrząsnęły! Nie lękaj się jednak. Nie zamierzam oddać cię moim sługom na

pożarcie. Jako księżniczka, osoba z królewskiego rodu, choć i krnąbrna, jesteś zbyt cenna, bym chciał się ciebie pozbyć. Nie, zachowam cię i osadzę na tronie Abaddrah, kiedy ludowi znudzą się już rządy Nitokar. A wówczas obejmę władzę nad miastem nie jako uzurpator, lecz jako wyzwoliciel!

Nie obawiaj się. Mumifikacja przeprowadzona we właściwy sposób jest szybka i bezbolesna, a śmierć przez uduszenie nie pozostawi na twoim ciele szpetnych śladów. Będziesz wyglądać tak jak teraz, a jednocześnie będziesz bardziej wytrzymała i pełna wigoru. To powinno pomóc ci wyżyć się dziewczęcych fochów i nieprzystojnych zachowań, a równocześnie pogodzić się z prostymi, surowymi prawdami naszej egzystencji. Spytaj Nefrena, który jest jak dotąd moim najlepszym okazem. Spodziewam się, że Conan będzie dla mnie szczególnie cenny jako przyboczny, naturalnie po poddaniu go mumifikacji. Jego również szkoda byłoby oddać na pożarcie.

Nagle Horaspes umilkł i zachwiał się. Rozmyślając w głos nad losem księżniczki zbliżył się do Aramasa, zakutego w kajdany, żałośnie skulonego więźnia, i nagle znalazł się w jego morderczym, bezlitosnym uścisku. Gniewny grymas wykrzywił oblicze proroka, gdy uświadomił sobie, co się dzieje, i zacisnął obie dłonie na szyi Aramasa. Mimo to na moment jego uwaga uległa rozproszeniu. Tłum umarłych za jego plecami, choć poruszony niespodziewanym wydarzeniem, nie wdarł się do komnaty. Conan natychmiast skorzystał z nadarzającej się okazji. Ciągnąc księżniczkę za rękę ruszył w stronę Nefrena. Przyboczny wciąż stał w przejściu z uniesionym mieczem, gapiąc się na swego walczącego zajadłe pana. Rozorujący twardy, chudy brzuch miecz Conana napotkał spory opór i przez chwilę słychać było chrzęst piasku o stal, ale wymierzony równocześnie solidny kopniak posłał Stygijczyka na stertę gruzów po zawalonej niedawno ścianie.

Cymmerianin wybiegł do krótkiego korytarza, wlokąc za sobą Afrit. Dziewczyna opóźniała jego ucieczkę.

- A co z Aramasem? - marudziła mu wprost do ucha. - Był wobec mnie lojalny!

Przystanął i odwrócił się do niej rozeźlony.

- A co ja niby mam zrobić? Stanąć do walki z Horaspesem i jego armią żywych trupów? Obejrzyj się. Popatrz!

Spojrzeli w głąb komnaty, gdzie Horaspes podnosił się właśnie znad ciała nieruchomego już kapitana. W miejscu, gdzie dłonie proroka dotykały piersi oficera, ziały dwa czarne, dymiące otwory.

Horaspes spojrzał diabolicznie na barbarzyńcę i dziewczynę. I nagle tuż przed nimi pojawił się Nefren z mieczem w dłoni i sypiącą się spod rozpiętej tuniki strugą piasku. Conan odepchnął Afrit na bok i stanął przed przybocznym kapłana. W chwilę potem dał susa w bok i szybkim ciosem miecza rozbił wciśnięte tam gliniane naczynie. Piasek i kawałki naczyń posypały się na podłogę, podczas gdy Conan pchnął Afrit dalej, w głąb korytarza. Nefren przystanął i uniósł wzrok, usiłując odnaleźć źródło dziwnego chrzęstu, który rozbrzmiał nagle w korytarzu, gdy z sufitu za jego plecami runęły dwa, trapezoidalne kamienne bloki. Zaraz potem runęły dwa następne, a potem jeszcze cztery, blokując pałą szerokość korytarza. Stygijczyk, który zachował niemal ludzki refleks, rzucił się naprzód, lecz zadane na wysokości piersi cięcie Conana trafiło go w ramię i odrzuciło wstecz. W tej samej chwili z sufitu z rozdzierającym rykiem posypały się następne głazy. Conan odskoczył w tył, obsypany towarzyszącymi osuwisku kaskadami piasku, ciało Nefrena zaś znikło, przywalone lawiną wielkich, regularnych bloków granitu.

Zaszokowana Afrit pod wpływem gwałtownych wstrząsów osunęła się na kolana.

- Blokada wejścia? - wysapała drżącym głosem.

- Tak - odrzekł Conan, pomagając jej wstać. - Wymyślona przez sprytnego konstruktora nazwiskiem Mardak, który nawiasem mówiąc już nie żyje. Ale nawet ona nie powstrzyma Horaspesa zbyt długo. Podnieś się dziewczyno, no już, wstawaj. Musimy stąd uciekać, i to szybko!

## Dzień zguby

Conan i Afrit przebiegli przez pochyły centralny korytarz grobowca. Był pusty, kaganki na ścianach dopalały się. Księżniczka, choć boso, biegła całkiem szybko. W pewnej chwili Conan przystanął, aby rozerwać złote obręcze kajdan na jej nadgarstkach i pocieszyć ją po śmierci Aramasa. Gdy znów doszła do siebie, przyspieszyła kroku. Płaszcz, którym się otuliła unosił się za nią, odsłaniając jej zgrabne nogi. Jakiś czas później zwolniła.

- A jeśli wielkie wrota są zamknięte? - zwróciła się zdyszana do barbarzyńcy. - Czy jest stąd jakieś inne wyjście?

- Innego bezpiecznego nie ma, zwłaszcza teraz, gdy w pobliżu szwenda się tyłu umarłaków - odparł, chwytając łapczywie powietrze. - Czy rytuał zamknięcia grobowca trwa długo?

- Nie wiem. - Zrównała się z nim, dysząc ze zmęczenia. - W tych tunelach człowiek szybko traci poczucie czasu.

- Mimo to zatrzymamy się przy tym rozwidleniu - oznajmił Conan. - Zaczekaj tu. Krzycz, jeśli dostrzeżesz pościg.

Afrit stanęła i oparła się o ścianę, a Conan skręcił w boczny korytarz.

- Otsgarze! Izajabie! Jesteście tu jeszcze? - Jego wołania brzmiały głucho w wysokim, wąskim tunelu. - Strzeżcie się krypt. Te miejsca aż pulsują od złej magii!

- Gdzieś ty się podziewał, Conanie? - Izajab wyszedł zza załomu korytarza, uśmiechając się, a przez ramię miał przewieszony ciężki, pękaty worek. - Zaiste, łupów ci tutaj dostatek, powinniśmy odwiedzić to miejsce jeszcze z tuzin razy. - Na widok smętnej miny Conana, uśmiech Izajaba przygasł. - Co się stało, nic nie zwędziłeś? A znalazłeś chociaż tę swoją księżniczkę?

- Zapomnij o łupach - Conan minął go i skręcił za załom korytarza, gdzie pięciu łupieżców przebierało w skrzyniach, wyluskując co cenniejsze precjoza i pakowało je do worków. - Odłóżcie te świecidełka i chodźcie ze mną! - rzucił władczo. - Musimy opuścić grobowiec główną bramą i to jak najszybciej!

Otsgar spojrział na niego ze zdumieniem. - Cóż to, druhu, znowu ogarnia cię szaleństwo? Jeżeli to uczynimy, ten rozbuchany tłum na zewnątrz rozerwie nas na strzępy. - Odwrócił się do kamratów i pochylił nad Zafriti, która wybierała największe i najpiękniejsze klej - noty, wrzucając je do dwóch otwartych worków stojących tuż obok, ciężkich i lśniących od drogich kamieni.

- Ja nie żartuję, Vanirze. - Conan wyjął nagle miecz z pochwy i uderzył nim w ścianę z taką siłą, że metalowy brzęk, jaki temu towarzyszył, zwrócił uwagę całej szóstki łupieżców na postawnego barbarzyńcę.

- Jeśli chcecie ująć cało z tej pułapki, musicie czynić co każę! Zapomnijcie o skarbach i chodźcie za mną.

Otsgar poderwał się, dobywając miecza.

- Bądź przekłety Cymmerianinie, co to za podłe sztuczki? O jakiej mówisz pułapce? Nikt nie zwrócił tu na nas uwagi, za wyjątkiem królowej, którą zamierzałeś zabić. A teraz bredzisz trzy po trzy, że powinniśmy porzucić to co złupiliśmy...

Przerwał, bo w głębi korytarza za nim zrobiło się nagle jakieś poruszenie. Dał się słyszeć głośny stukot narzędzi, walących się ścian i szuranie wielu par stóp po gruzach.

- Co, na czeluść Niflheimu?...

Otsgar sięgnął po lampę i uniósł wysoko, oświetlając słabo jeszcze widoczne, odległe sylwetki, poruszające się w wypełnionej chmurami kurzu dalszej części tunelu.

- Nadchodzą!... ożywione przez Horaspesa trupy. - Conan pchnął Otsgara ku wylotowi korytarza. - Musimy uciekać. Za mną!

Biegł co sił, ale słyszał, że reszta jego kamratów z niechęcią porzucających łupy uczyniła to samo. Wybiegł z wąskiego korytarza i ruszył dalekim środkowym pasażem, chwycił Afrit za rękę i zmusił, by ruszyła za nim.

- Dzieci nocy przedostały się do bocznego tunelu - oznajmił. - To moi kompani. Choć obawiam się, że może ich być za mało do otwarcia wrót, jeśli okaza się zamknięte. Pędząc korytarzem pod górę mijali pomieszczenia - skarbcie opieczętuwane przez kapłanów pieczęciami z wosku i specjalnie zawiązanymi sznurami. Narzędzia i materiały budowlane zostały zabrane, a ich miejsce zajęły prowiant oraz broń; pod ścianami stały słoje, dzbany, zwinięte namioty, rydwany i rżące z niepokojem rumaki, zamknięte w specjalnych boksach.

- Szkoda, że to miejsce nie jest już bezpieczne - rzekł do księżniczki Conan, pnąc się po pochyłości pod górę. - Gdyby nie dzieci nocy, moglibyśmy żyć tu bezpiecznie przez wiele lat.

Zanim dotarli do połowy zbrocza, dogonili ich pozostali łupieżcy z Izajabem i Otsгарem na czele. Gdy zbliżyli się do szczytu, u podnóża pochyłości pojawili się ich pierwsi prześladowcy. Uzbrojone w miecze, topory i kilofy chude jak tyki mumie wojowników poruszały się równie szybko i niezmordowanie jak Nefren. Choć ich pojawienie się obwieściło przeraźliwe rżenie koni, stwory biegły przed siebie w złowieszczej ciszy, nie oddychając ani nie porozumiewając się między sobą w żaden słyszalny sposób.

Dotarłszy na szczyt stromizny Conan rozejrzał się wokoło, zastanawiając się, czy można je jakoś powstrzymać. Urn z olejem już nie było, a pochyłość i wylot tunelu były zbyt szerokie, by można ich było łatwo bronić. Conan pobiegł dalej, ciągnąc za sobą wyczerpaną księżniczkę.

Chwilę potem doszły go z tyłu przeraźliwe wrzaski. Jeden z najemników Otsгara, który nie porzucił na wpół napełnionego worka z łupami, został pochwycony i zbity z nóg przez dzieci nocy. Opadły go jak sfera psów gończych i w okamgnieniu rozszarpały na strzępy, śmierć łupieżcy nie dała reszcie jego kamratów wiele czasu, gdyż chyżonogie mumie szybko podjęły przerwany pościg.

- Módlcie się, żeby brama wciąż była otwarta! - ryknął Conan do Otsгara, który zdyszany biegł w górę zbrocza obok Zafriti. - Jeżeli będzie zamknięta, przyjdzie nam powstrzymać ich u wylotu tego tunelu.

I wtedy dotarł do widniejących w bocznej ścianie drzwi, które wydały mu się mocniejsze od pozostałych. Były wykute z kamienia i zawarte grubym, metalowym rygłem. Conan mógłby przysiąc, że słyszy dochodzące zza nich podniesione głosy. Zaklął w głos i podszedł, by zerwać zwisające z rygla kapłańskie pieczęcie. Gdy pozostali łupieżcy mijali go, odciągnął rygiel i otworzył drzwi na oścież.

Wewnątrz znajdowała się elita straży przybocznej Ebnezuba. Ich broń leżała złożona starannie w kącie. Żołnierze zostali napojeni jakimś środkiem odurzającym, podanym im przez kapłana, bo ostatnie godziny życia postanowili poświęcić na grę w kości i kłócili się przy tym co niemiara. Byli bliscy przejścia od słów do czynów.

- Jeśli już chcecie się bić, psy - warknął Conan, gdy spojrzeli na niego ze zdumieniem - to walczcie z owymi demonami z piekła rodem, które nawiedziły wasz grobowiec!

Żołnierze, choć mocno ośpiali, zaczęli sięgać po broń. Na ten widok Conan odwrócił się na pięcie i pobiegł dalej. Dzieci nocy były tuż, tuż. Niebawem pościg znów został spowolniony, a z tyłu za plecami Conana dały się słyszeć szcęk oręża i głośne okrzyki walczących gwardzistów.

Gnał ze wszystkich sił. Chciał jako pierwszy przekonać się, co czekało ich na szczycie. Minał Otsгara i Asrafela próbujących pomóc Zafriti, która poruszała się z niezwykłą powolnością, i księżniczkę, bliską wyczerpania, ale nieprzerwanie biegnącą przed siebie. Gdy w dali przed nimi zamajaczył wylot tunelu, Conan zrównał się z Izajabem i ostatnim z nowych najemników Otsгara. Wtem, i widok ten napełnił jego serce ogromną radością, ujrzał jak światło dnia obrysowuje kontury ślaniających się na nogach złodziei. Blask jednak był słaby, jego spłachetek zwężał się z każdą chwilą. Znalazłszy się na szczycie stromizny w pustym, rozległym holu, Conan stwierdził, że wielkie, spiżowe wrota są już na wpół zamknięte, a wysoko sklepienie pomieszczenia rozbrzmiewa szcękaniem i klekotem przeciwwag, i maszyna za kilka chwil sama z hukiem zamknie ciężkie odrzwi. Za drzwiami w blasku dnia widać było tłumy stojących przed grobowcem ludzi, wśród nich kapłanów Ellaela, którzy klęcząc na ziemi czekali, aż ceremonia zamknięcia wrót dobiegnie końca. Jeśli którykolwiek z nich ujrzał łupieżców, zmierzających mozolnie w ich stronę pośród ciemności mauzoleum, nie dał tego po sobie poznać.

Conan nie znał zasad działania mechanizmu wrót, nie miał też czasu, by go rozpracować, gdyż dzieci nocy zbliżały się nieubłaganie. Izajab i jego kamrat rzucili się, dysząc ciężko, na oświetlone blaskiem dnia metalowe skrzydło, lecz choć naparli z całej mocy, szarpiąc co niemiara i szurając po ziemi podeszwami sandałów, nie udało się im powstrzymać przysmykających się nieubłaganie spiżowych odrzwi.

Conan rzucał się naprzód, lecz w pobliżu nie było żadnych stojących luźno sprzętów, którymi mogliby zablokować wrota. Nie sposób też było zaklinować

ich na gładko polerowanej kamiennej posadzce. Mimo to prześwit między skrzydłami był jeszcze dość duży, by mógł się przezeń przecisnąć mężczyzna, i Izajab wyraźnie się nad tym głowił. Chudy łupieżca zawahał się, stając w świetle, widać było, że gorączkowo zastanawia się, które z zagrożeń jest dlań poważniejsze - zbliżający się ożywni umarli, czy tłum czekający na zewnątrz. Towarzyszący mu najemnik stanął przy Izajabie, oczekując na dalsze rozkazy.

Conan odepchnął obu na bok i wsunął się w szczelinę między skrzydłami wrót. Nie przeszedł jednak przez próg, lecz stanął dokładnie pomiędzy zamykającymi się odrzwiami. Oparł przedramiona o ich krawędzie, a mięśnie jego ramion i barków naprężyły się jak postronki.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że nawet gdyby nie był wycieńczony morderczym biegiem, samymi rękami nie da rady powstrzymać bramy przed zamknięciem. Błyskawicznie odstał w bok, oparł się plecami o krawędź jednego skrzydła wrót, o drugą zaś zaparł się stopami. Gdy szczelina zwęziła się na tyle, że mógł wyciągnąć ręce i oprzeć się o drzwi również dłońmi, napór został podwojony o siłę ramion. Widok Conana w progu mauzoleum wywołał okrzyki zdumienia wśród zebranych na zewnątrz, a tłumy czekające przed grobowcem były tak liczne, że ich szemranie dotarło aż do wnętrza kamiennego holu. Żaden z kapłanów nie zbliżył się jednak do barbarzyńcy, bowiem nie ulegało dla nich wątpliwości, że lada moment intruz zostanie zmiążdżony przez zamykające się odrzwia, przeto ich interwencja była całkiem zbędna.

Czekali więc i patrzyli, podczas gdy ubarwione na brąz ciało Conana czerwieniało z wysiłku w zamykającym się potrzasku, a mięśnie ramion i ud napinały się do granic wytrzymałości. Naprężone ścięgna zaczęły trzeszczeć, kończyny wygięły się pod niemal niewyobrażalnym kątem i uwolnienie się z tej pozycji było co najmniej trudne, jeśli nie niemożliwe. Barbarzyńca walczył z maszyną na śmierć i życie, jak z przeciwnikiem z krwi i kości, usiłując określić jej słabe punkty i pokonać ją niezmordowaną mocą barbarzyńskiej woli i wytrwałości.

Łupieżcy jako pierwsi zorientowali się, że coś się zmieniło. Szczęk obracających się kół zębatach zwolnił tempa, a klekot zapadek rozlegał się teraz coraz rzadziej. I nagle w holu zapadła całkowita cisza, a promień światła wnikaający w głąb mauzoleum, w którym tańczyły drobinki kurzu, przestał się zwęzać. Wielkie wrota znieruchomiały.

Podczas gdy gwar na zewnątrz począł przybierać na sile, do bramy powłócząc nogami zbliżyli się ostatni łupieżcy. Z głębi tunelu dobiegał coraz cichszy już szczęk oręża i przedśmiertne wrzaski gwardzistów - pościg dzieci nocy nie ustawał. Opór żołnierzy słabł z każdą chwilą. Uciekinierzy zatrzymali się niepewnie, dysząc ciężko, przed uchylonymi wrotami.

- Szybciej tam, bodajbyście szczęśli! - warknął Conan przez zaciśnięte zęby. - Te wrota miażdżą mnie żywcem! - Na te słowa Izajab jako pierwszy postąpił naprzód. Schylił się pod napiętym łukiem wygiętych nóg Conana i wyszedł na zewnątrz, na spotkanie czekającego tłumu. Jego kompan pospieszył w ślad za nim. Zdyszany Otszar wyciągnął ogorzałą dłoń do Zafriti. Tancerka przyklękła, by poprawić przyodziewek i fryzurę, a także upewnić się, że kilka błyskotek, które ukryła na swoim ciele, pozostawało niewidocznych. Dopiero wtedy zręcznie i z gracją pośpieszyła za swoim pracodawcą. Zaraz za nią podążył Asrafel.

Jako ostatnia szła księżniczka Afrit. Nie spieszyła się, odrywając fragmenty koszuli rozerwane podczas walki z Nitokar, i starannie otuliła się krótką, wojskową peleryną, aby ukryć i przypłaszczyć nieco swoje obfite, kobiece wdzięki. Przygładziła również włosy i poprawiła diadem, który miała na głowie.

- Na litość Isztar, pospiesz się, dziewczyno! - Pot zrosił czoło Conana. Barbarzyńca odwrócił wzrok i ujrzał mroczne kształty wyłaniające się z czeluści tunelu. - Jeśli te wrota nas nie zabiją, z pewnością uczynią to te przeklęte mumie!

- Cierpliwości, Conanie - rzekła księżniczka, pochylając się, by prześlizgnąć się pod nim.

- Mój wygląd, kiedy stąd wyjdę, może być równie ważny dla naszego ocalenia, jak twoje potężne mięśnie!

I z tymi słowy znalazła się na zewnątrz. Wyprostowała się i ruszyła ku swoim poddanym swobodnym krokiem, przeczącym jej przyodziewkowi i ogólnej sytuacji. Tłum najwyraźniej ją rozpoznał, na widok księżniczki zebrani zaczęli szemrać i tylko z jednej strony gwar nieco bardziej przybrał na sile.

Conan jeszcze mocniej zaparł się rękoma i nogami o krawędzie bramy. W

pewnej chwili całe jego mocarne ciało wykonało lekki skręt i barbarzyńca dał długiego susa. Odskoczył od wrót i opadł, choć w pierwszej chwili ugięły się pod nim kolana, na ziemię. Nogi miał miękkie, mięśnie obolałe, a ciało osłabłe z wysiłku, lecz pospieszył za księżniczką, usiłując zachować niewzruszoną postawę. Gdy z tyłu za nim znów dobiegł szcęk maszyny zamykającej odrzwia, odwrócił się wolno wraz z pozostałymi, by spojrzeć w tę stronę. Miał tylko nadzieję, że nic w jego postawie nie zdradzi nękających go zawrotów głowy. W wąskim prześwicie coś się poruszyło i z wnętrza mauzoleum wyłoniła się ludzka ręka dzierżąca złamany miecz. Zaraz za nią z czerni wysunęła się głowa i ciało w szarej tunice. Uciekający przed dziećmi nocy oficer straży wyszedł chwiejnym krokiem na zewnątrz, oślepiiony światłem dnia. Z tyłu za nim przez niewiarygodnie ciasną szczelinę przecisnął się kolejny strażnik, zgrzytając napierśnikiem i naplecznikiem o brzeg drzwi. Stał przed wejściem do grobowca, zdyszany i okrwawiony, zaciskając lewą dłoń otwartą ranę na prawym ramieniu. Conan dostrzegł jeszcze wewnątrz grobowca jakieś mgliste poruszające się kształty, wreszcie wrota zamknęły się. Od rozdierającego, ogłuszającego łoskotu zadrżały kamienie pod stopami zebranych na zewnątrz obserwatorów, a echo tego dźwięku przetoczyło się nad całą równiną i powróciło odbite od miejskich murów, w oddali.

Potężny hałas jakby wyrwał zgromadzonych z milczącego odrętwienia. Nie postąpili jednak naprzód, gdyż tylko stojący na przedzie wiedzieli, co się stało, a zarówno przywódcy jak i kapłani nie próbowali powstrzymać uciekających. Miast tego, gdy gromkie, metaliczne echo ucichło, z gardeł zebranych popłynął melodyjny shemicki tren żałobny. Chór głosów przybierał na sile, zalewając równinę przed grobowcem, niczym fale oceanu połączyć piaszczystej plaży.

Dopiero gdy powietrze zadrgało oddźwięków śpiewanego przez zebranych hymnu żałobnego, arcykapłani i ich strażę postąpili naprzód na spotkanie księżniczki i jej towarzyszy.

Conan doszedł już trochę do siebie po wyczerpujących przeżyciach. Wzrok poprawił mu się, powoli przywykł do blasku dnia po okresie, który spędził w mrocznych tunelach katakumb, i mógł wreszcie zorientować się w sytuacji. Ogrom mauzoleum i nieprzebrane tłumy zebrane przed gigantyczną fasadą grobowca natchnęły jego duszę uczuciem cudownej wręcz wzniosłości, które w niewielkim tylko stopniu umniejszała świadomość, iż lada moment może stanąć do walki o życie z hordami demonicznych, ożywionych zmarłych.

Największy lęk budziła w nim wszelako panująca na zewnątrz pogoda. Niebo, które gdy opuszczał grobowiec wydawało mu się oślepiająco białe, nie było wcale tak jasne. Wiszące nisko kłębiaste chmury nadawały pogodnemu dniu posępny nastrój, jakby samo niebo opłakiwało śmierć władcy Abaddrah. Podczas całego swego pobytu w Shemie Conan nigdy nie widział równie szarego i pochmurnego dnia. A jednak coś wydawało mu się osobliwie znajome.

Cymmerianin przeciągnął się lekko, rozprostowując ramiona, by zatrzeć nieprzyjemne wrażenie. Podeszedł do księżniczki i pozostałych, usiłując trzymać fason i udawać groźniejszego niż był w istocie. Poprzez słowa hymnu śpiewanego przez zebranych słyszał przepełnione gniewem głosy kapłanów, zarzucających Afrit dziesiątkami pytań. Księżniczka stała przed nimi w dumnej, pełnej wyniosłości pozie.

- A co z wolą twego boskiego ojca? - zapytał łysy mężczyzna o lisiej twarzy. - Opuszczenie grobowca Jego Wysokości z pomocą tych... szubrawców jest szalonym zaniedbaniem obowiązków królewskich.

- Nie mówiąc już o utracie należnego miejsca w Zaświatach - wtrącił kolejny afektowany głos. Słowa te padły z ust wysokiego kapłana z brzuszkiem, który towarzyszył Afrit i królowej wewnątrz grobowca. Stał w towarzystwie dwóch strażników uzbrojonych w złocone, ceremonialne halabardy.

- Pytanie brzmi, czy po tak nierozważnym opuszczeniu przez was grobowca będziecie jeszcze mogli kiedykolwiek odzyskać status nieśmiertelnej.

- Powiadam wam, że nie ma to znaczenia w porównaniu z profanacją grobu mego ojca, która teraz się tam rozgrywa - rzekła dumnym głosem Afrit. - W podziemiach roi się od demonicznych stworzeń przywołanych za sprawą magii, by zadrwić z naszych najświętszych wierzeń i celowości całej tej budowli.

- Nie powinno cię tu być - zza pleców kapłanów dobiegł nagle wysoki, kobiecy głos. Królowa Nitokar zeszła z lektyki i ruszyła szybkim krokiem w ich stronę z gniewnym grymasem na twarzy. Po wyjściu z grobowca wmieszała się w tłum zaufanych dworzan na skraju placu, a teraz wróciła, dygocąc wprost z

wściekłości.

- Ucieczka z grobowca to dowód twojej niewiary i niezdrowej wiary z rzeczami doczesnymi. Kara za takie bluźnierstwo może być tylko śmierć!

- A co z potworami profanującymi grobowiec? - rzucił donośnie Conan. Wysforował się przed swoich przyjaciół, którzy za jego plecami utworzyli sztyk obronny.

- Przybyliśmy tu, by ostrzec was przed niebezpieczeństwem. To dzieło stygijskiego czarownika Horaspesa.

Królowa mimo wyraźnego zdumienia kapłanów wybuchła ochryplym śmiechem.

- Jedynymi profanatorami grobowca jesteście wy. Ale kara was nie minie. I zostanie wymierzona jak najrychlej. Tu i teraz. - Machnięciem ręki przywołała drużynę straży.

- A co się tyczy potworów...

- Są tutaj - dobiegł głos zza pleców Conana. Łupieżcy odwrócili się, by spojrzeć na dowódcę straży, który wspierając ramieniem rannego kompana zmierzał w ich stronę. Rekrut miał na sobie szary płaszcz, tak jak Afrit, jego jednak był podarty i poszarpany. Gdy oficer podprowadził go bliżej, żołnierz odchylił połą płaszcz, z której coś zwisało. Ci, którzy przyjrżeli się baczniej owemu przedmiotowi stwierdzili, że to odrąbana ręka.

Skurczona, pomarszczona, pozbawiona krwi, bardziej szara niż peleryna, w miejscu gdzie od reszty ciała oddzieliły ją zatraskujące się wrota kończyła się kikutem nadgarstka. Mimo to wciąż wczepiała się kurczowo w materiał. Strzępiasty płaszcz oficera gwardii strząsnął rękę na ziemię. Stojący blisko z przerażeniem patrzyli, jak dłoń pada na gładkie kamienie, a jej palce wciąż zaciskają się i rozkurczają niczym odnóża wielkiego żuka, przewróconego na grzbiet.

- Oto dowód! - wykrzyknął Conan - umarli powrócili za sprawą złych czarów. I nie są to skąpani w wielkiej chwale nieśmiertelni, lecz okrutne, żądne mordy potwory! Przekopały się do grobowca Ebnezuba! - Pozostali łupieżcy przytaknęli cicho i pokiwali głowami, lecz starali się w miarę możliwości nie zwracać na siebie uwagi.

- To jawny dowód nekromancji! - zawołał jeden z kapłanów.

- A jednak intruzi winią o to kanclerza Horaspesa, choć nie przytaczają na to żadnych dowodów.

- Gdzie zatem, pytam, jest teraz wasz prorok? - rzucił gniewnie Conan - Niecałą godzinę temu widziałem go tam, na dole, jak przewodził armii umarłych.

- Trzymaj swój zdradziecki język za zębami! - Krzyknęła Nitokar w nieudanej próbie zwrócenia na siebie uwagi kapłanów, którzy stali nad poruszającą się ciągle dłonią, dyskutując między sobą. - Horaspes to zbawiciel naszej ojczyzny - zawołała ochryple. - Każdy, kto kala jego imię, srodze za to zapłaci!

- To nie ma znaczenia - rzekł do kolegów brzuchaty kapłan. - Nawet jeśli grobowce zostały opanowane przez złe siły, nic nie możemy na to zaradzić. Śmiertelnicy nie są już w stanie dostać się do środka, grobowiec został zamknięty i zapieczętowany po wsze czasy.

Jego słowa były wyraźnie słyszalne, bo nagle zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Kapłani, z którymi rozmawiał, unieśli wzrok ku wielkim wrotom mauzoleum. Ucichły swary, a tłum, który przestał śpiewać i wyczekiwał z niepokojem dalszego rozwoju wypadków, zamilkł na dobre.

Po chwili odległy, metaliczny szcęk, który usłyszeli przed chwilą, powtórzył się. Po nim dał się słyszeć chrzęst, jakby puszczonego w ruch mechanizmu. Zaraz potem coś zachrypiało i wielkie wierzeje jęły się otwierać z głośnym, rozdzierającym zgrzytem.

Tłum zgromadzony na rozległej równinie pod zachmurzonym, posępnym niebem zafalował z niepokojem. Conan zdał sobie sprawę, że wszystko wygląda jak w ostatniej wizji proroka: cisza, wyczekiwanie, mroczne, miedziane niebiosy, żałobny skrzyp wrót. Zdjęty przerażeniem lud Abaddrah zamarł w bezruchu, gdy olbrzymie odrzwia otwarły się na oścież. I wtedy zebrani wrzasnęli z przerażenia, po czym tratując się wzajemnie rozpierzchnęli się na wszystkie strony. Z mrocznego wnętrza mauzoleum runęło na nich pierwsze uderzenie armii złożonej z żywych trupów.

## Imperium nocy

Gdy otwarły się bramy, mieszkańców Abaddrah ogarnął przyprawiający o objęty strach. Był to dla nich znak końca świata i przerażające sylaby słowa jazarat popłynęły z ludzkich ust niczym roje niewidzialnej szarańczy. Posępne wizje niebios i nie dopełnionych rytuałów pogrzebowych wzmogły tylko w nich trwogę. Byli to ludzie pobożni, obeznani i szanujący długoletnią, bogatą historię tego kraju, kiedy jednak ujrzeli koszarne istoty wylewające się szeroką falą z wnętrza mauzoleum, zrozumieli, że pojęcia te zrozumieli opacznie. Oblicza i stroje z przeszłości, łączące się z tradycjami, które tutejsi mieszkańcy nauczyli się kochać za sprawą opowieści i legend, pojawiły się nagle przed nimi pod postacią gnijących, bezkształtnych, żądnych krwi nieumarłych napastników. Królowie i bohaterowie, przodkowie i wnukowie wypełniali pospołu szeregi armii nieboszczyków. Miast głośić chwałę Zaświatów, szlachetni przodkowie jęli wyrzynać bez litości swoich potomków nadżartymi przez rdzę mieczami i toporami. Wojska nieumarłych atakowały z zatrważającą szybkością, a cofający się ludzie w popłochu tratali się wzajemnie.

Łupieżcy i księżniczka Afrit szczęśliwym trafem uniknęli pierwszego, miażdżącego uderzenia dzieci nocy, bowiem gdy uwaga zebranych skupiona była na wrotach mauzoleum, Conan spiesznie odciągnął swych kompanów na stronę. Z wnętrza grobowca z turkotem wytoczyły się wielkie rydwany bojowe, powożone przez kościotrupich wojowników, chłoszczących długimi batogami toczące pianą, przerażone rumaki. Pod ich koła wpadali i kapłani, i strażnicy, ale upiorni woźnice nie próbowali atakować ani ścigać tych, którzy na czas uskoczyli z ich drogi.

Oddział piechoty, który pojawił się zaraz potem, błyskawicznie zajął główną część tarasu i utworzył zwarty szyk, broniąc swymi pradawnymi zbrojami i orężem królowej Nitokar. Otoczywszy ją, nieumarli żołnierze ruszyli żwawym krokiem naprzód, spychając na boki lub skracając o głowę każdego, kto próbował stawić im czoło.

Gdy oszalały tłum rozpierzchnął się, dla Conana i jego towarzyszy pojawiła się szansa szybkiego i bezpiecznego odwrotu. Rydwany utworowały szeroki pas wolnej przestrzeni na wprost wrót grobowca i krążyły tam przez nikogo nie niepokozone, zaś ciała ludzi, którzy padali pod ciężarem obracających się sierpowatych ostrzy, zamontowanych na obręczach kół, ani trochę ich nie spowalniały. Jedynie garstka żałobników była uzbrojona, a i oni wydawali się sparaliżowani mrozącą krew w żyłach zgrozą. Na skraju placu i przy wyjściach, gdzie tłum cofnął się i napierał niczym spienione morskie fale na skalistą plażę, więcej Abaddran zginęło stratowanych, niż od ciosów oręża dzieci nocy.

Nawet straż pałacowa i uzbrojeni kapłani nie reagowali tak, jak można się było po nich spodziewać. Conan uznał, że łatwiej bronić wejścia do grobowca niż otwartego placu i zajął pozycję na skraju tarasu.

Jednak tylko Izajab, Asrafel i kilku ocalałych strażników dołączyło do niego - reszta pierzchnęła w popłochu.

Niemniej jednak było ich dość, by osłaniać jego flanki. Conan uniósł miecz i rąbnął nim w brzeg tarczy noszącego kolczugę i hełm nieboszczyka z jakiejś odległej epoki; zapomnianych, być może lepszych czasów tego miasta, który wysforował się przed swych nieumarłych kamratów. Przerdzewiały metal prastarej tarczy pękł z łatwością, ale dzierżące ją ramię nie ugięło się od bólu i szoku, jak kończyzna żywego człowieka. Miast tego wprawnym mchem skręciło tarczę, by zakleszczyć miecz Conana, podczas gdy ściskany w kościstej dłoni topór przeciął powietrze, mierząc w głowę barbarzyńcy. Conan schylił się i odskoczył w tył, szarpnięciem uwalniając zakleszczony miecz, a potem odchylił się w bok przed ponownym cięciem topora.

Cymmerianin uderzył szybko, ruchem pełnym gniewu i odrazy, tnąc w podstawę prastarego hełmu w miejscu, gdzie stykała się ona z chronionym przez kolczugę ramieniem. Cios zmiotł hełm z ramion trupa wraz z tkwiącą w jego wnętrzu głową, niemal kompletnie pozbawioną skóry i tkanek. Bezgłowa mumia walczyła dalej tnąc na oślep, tak wrogów jak i swoich, zamaszystymi, zadawanymi na odlew cięciami topora. Conan zastanawiał się, czy kontynuować walkę i pozbawić stworza jeszcze paru kończyn, zmitygował się jednak - może w bitewnym zapamiętaniu okaleczy on paru swoich pobratymców.

Tuż przy nim uzbrojony kapłan przebił włócznią odzianego w łachmany nieumarłego Stygijczyka. Stwór jednak nie runął martwy u jego stóp, grot włóczni



wyszedł mu z pleców, pomiędzy łopatkami, a istota, nadziewając się coraz głębiej na drzewce, przesunęła się do przodu, by wbić sztylet w gardło ogłupiałego kapłana.

Conan klnąc przez zęby jednym cięciem na odlew rozłupał czaszkę stwora, drugim zaś odciął mu nogę powyżej kolana. Potem odwrócił się i rzucił do ucieczki wraz z resztą kompanii łupieżców. Zdażył jeszcze dostrzec, że u wejścia do grobowca pojawiła się odziana na biało postać Horaspesa, kierującego swą nieumarłą armią.

- Na Croma! - zaklął Conan dołączając do swych kamratów, zebranych wśród tłumu uciekających Abaddran, poza zasięgiem kręcących się wkoło morderczych rydwanów.

- Widzieliście kiedy takie diabelstwa? Usieczenie ich będzie trudniejsze niż wyrąb dębowego lasu.

- Ale po co? Czemu mielibyśmy z nimi walczyć? - Otsgar stojący tuż obok i obejmujący swym grubym łapskiem Zafriti spojrział na niego z zaciekawieniem. - Nasza misja skończyła się niepowodzeniem, straciliśmy nasze skarby, ale ocaliliśmy głowy. Może uda się nam wydostać stąd cało.

Conan spojrział nań z pogardą.

- Co? Mamy pozwolić, żeby truposze mordowały żyjących? A dokąd to niby chciałbyś uciec? Na Północ?

- To raczej tobie, Conanie, radziłbym wybrać ten kierunek. - Otsgar wzruszył ramionami. - W Abaddrah zdarzały się już gwałtowane zmiany na tronie, ale tak ja, jak i moja oberża zdołaliśmy to jakoś przetrwać. To sprawy państwowe, w które żaden uczciwy, szanujący się handlarz nigdy nie próbuje się mieszać.

Conan aż prychnął z niedowierzaniem.

- Zamierzasz tu zostać i prowadzić swoje interesy tak jak do tej pory, tyle że pod rządami Horaspesa?

Otsgar machnął ręką lekceważąco. - Bez względu na to, jak będzie rządził, z pewnością w królestwie nie ustanie handel, nie zostaną zniesione podatki, cła ani inne podobne rzeczy. A co za tym idzie, zdołam się tu jakoś zadomowić. Przetrwam. W przeciwieństwie do ciebie, Cymmerianie, mnie żyje się lepiej w czasach pokoju niż podczas wojny.

Conan podszedł do oberżysty.

- Ty głupcze - syknął mu do ucha. - Czarownik zabije każdą żywą istotę ludzką i zwierzę. Zamierza uczynić dzień porą zakazaną i ustanowić Imperium Nocy!

Otsgar zmarszczył brwi, usiłując równocześnie odsunąć się od Conana na bezpieczną odległość.

- Niektóre z mych najintrygatniejszych interesów ubijam właśnie nocą. Naturalnie za wyjątkiem tej żalostnej eskapady do królewskiego grobowca, na którą mnie namówiłeś, a która o mało nie doprowadziła mnie do ruiny. A teraz idź już, póki jeszcze możesz, i zostaw nas, byśmy mogli rozpocząć tu nowe życie.

- Ludu Abaddrah!

Za plecami Conana, niby w odpowiedzi na dysputę dwóch górali rozległ się gromki głos. Był tak donośny, że zagłuszył wszelki hałas panujący na równinie. Wszyscy z przerażeniem skierowali wzrok na wrota grobowca, by ujrzeć odzianego na białą proroka Horaspesa, unoszonego na platformie ponad głowami jego nieumarłych poddanych.

- Wysłuchajcie mnie, moi poddani!

Prorok zwrócił się do strwożonego tłumu od wejścia do mauzoleum, a jego głos rozbrzmiewał donośnym echem na całym placu. Żadne ludzkie płuca nie były w stanie wydobyć z siebie równie donośnego głosu. Mag musiał używać jakichś diabelskich czarów, by wzmocnić siłę swego głosu, gdy tak stał z dłońmi przyłożonymi do ust. Mówił dobitnie, a na dodatek dziwnie nieludzkim tonem, jakby jego słowa nie płynęły z ust człowieka, lecz jakiejś wielkiej bestii w ludzkiej skórze.

- Nie macie się czego bać - ryknął donośnie. - Rozkazuję wam teraz w imieniu waszej królowej. - Skinął na Nitokar, która pomachała do poddanych ze swego podwyższenia, znajdującego się nieco niżej niż piedestał proroka. - Jeżeli będziecie mi posłuszni, nic wam się nie stanie. Ci, którzy zechcą stawić opór, poniosą śmierć. - Przerwał, opuszczając dłonie, by zadać jakieś niesłyszalne pytanie Jej Królewskiej Wysokości. Następnie znów przyłożył dłonie do ust i huknął: - Królowa Nitokar uda się teraz do pałacu, aby objąć tron. Pozostawcie

bramy miasta otwarte, aby mogła dostojnie dotrzeć na miejsce. Grzmiący głos ucichł. Horaspes zszedł z podwyższenia i po chwili już nie było go widać. Jego przemowa tylko wzmogła panikę wśród Abaddran, którzy napierając ze wszystkich sił, rozdzielili drużynę łupieżców. Wielu nie zdołało opuścić równiny, nawet ci, którzy zdążyli już przemóc początkową paniką, byli spychani przez rozszalałe tłumy na powrót ku hordom żywych trupów. Conan został sam pośród szalejącego morza wyjących, brunatnych ciał.

Na szczęście jego postura i wzrost pozwoliły mu przedzierać się pośród nich, jak przez sięgające piersi fale morskie. Udało mu się dotrzeć do tworzącego formację obronną oddziału gwardii pałacowej, który zajął pozycję przy bramie miejskiej; pośrodku nich księżniczka Afrit prowadziła gorączkową naradę z ocalałymi kapłanami i oficerami. Z boku stał smętnie niższy od pozostałych Eblis, syn Nitokar. Conan podszedł bliżej i ujrzał, że każdy z notabli skłania się nisko przed księżniczką, po czym odwraca się i rusza rażno, by wypełnić powierzone mu rozkazy. Gdy dotarł do linii opuszczonych poziomo włóczni, księżniczka Afrit bez trudu wypatrzyła jego postawną sylwetkę, klasnęła w dłonie i rozkazała gwardzistom, by wpuścili go do wnętrza formacji. Podchodząc do miejsca gdzie stała między dwoma żołnierzami w kolczugach, Conan nie mógł się nadziwić, jak dobrze radzi sobie ta dziewczyna w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Powitała go gorąco, wyciągając obie ręce, by uścisnąć jego dłonie.

- Och Conanie, Horaspes tym razem posunął się za daleko. Kapłani i wojskowi sprzyięgli się przeciwko niemu i Nitokar. Poprą mnie jako prawowitą dziedziczkę tronu króla Ebnezuba!

- Cudownie, dziewczyno - Conan chciał objąć ją ramieniem, lecz na widok posępnych min straży przyboocznej księżniczki zmiętygował się. - Tak czy inaczej bądź ostrożna, frakcje dworskie mają to do siebie, że są bardzo chwiejne. - Kątem oka dostrzegł przyglądającego się im Eblisa. - A co on tu robi? To pomiot Nitokar, czyż nie?

- Tak. Mój brat przyrodni. Odłączył się od królowej, uciekając sprzed wejścia do mauzoleum. Notable planują wykorzystać go przeciwko niej, w charakterze zakładnika.

- Strzeż się go - wyszeptał prawie niesłyszalnie Conan - niezależnie, czy uznasz go za zakładnika, uciekiniera czy szpiega. Choć jest młody, z pewnością przekłeta mamuśka zdążyła nauczyć go paru plugawych sztuczek. Nie bądź zbyt pewna siebie. Pokonanie dzieci nocy na polu bitwy nie będzie łatwe, zwłaszcza że Horaspes będzie wspierał je swą diabelską magią.

Afrit pokiwała głową. Wyglądała na strapioną. - Mury miejskie to nasza największa nadzieja. Wysłaliśmy już lojalne wobec nas oddziały, aby je zabezpieczyły. Mimo to pomoc mieszczan również będzie mile widziana - księżniczka znów uścisnęła dłoń barbarzyńcy. - Gdybyś mógł nam pomóc werbując swoich przyjaciół, albo organizując drużynę pospólstwa, mogłoby to odmienić losy nadchodzącej bitwy. Ale raz już ocaliłeś mi życie. Nie wiem, jak ci się za to odwdzięczę. - Zaczerwieniła się i spuściła wzrok, muskając palcami dłoń Conana.

- Zrobię co w mojej mocy - Conan uścisnął jej rękę i cofnął dłoń. - Crom wie, że jestem po twojej stronie, a Horaspes to zbyt niebezpieczny przeciwnik, by przed nim umykać. Nie mogę jednak obiecać, że którykolwiek z mych tak zwanych przyjaciół zechce się do nas przyłączyć.

Pożegnali się. Afrit odeszła, by przemówić do poddanych na miejskich murach. Szła dumnie wśród swoich nowych, dworskich sprzymierzeńców, chroniona ze wszystkich stron przez zbrojnych. Niedługo potem słudzy Horaspesa znów zaczęli napierać na tłum rejterujących mieszkańców Abaddrah.

Na placu panował nieopisany chaos. Zebrały się tu dziesiątki tysięcy ludzi, a wyjść z placu było zaledwie kilka. Zablokowana dotąd ludzką ciżbą brama zachodnia została teraz wbrew rozkazowi Horaspesa zamknięta przez wojska Anit. Drewniane mosty nad wciąż pełnymi wody kanałami runęły rychło pod ciężarem napierających tłumów, zaś na ciągnącej się przed murami miasta drodze dominowały oddziały straży królewskiej.

Pomimo uspokajających słów Horaspesa rydwany bojowe i piechota wciąż bezlitośnie czyścili coraz większą połać placu. Wygląd żołnierzy również wzmagał obawy, gdyż niewiele przypominali oni ludzi. Surowe, zacięte twarze, były odarte ze skóry, przeżarte zgnilizną lub zupełnie pozbawione tkanek. Istoty te bez litości wyrzynały w pień wszystkich, którzy znaleźli się na ich drodze. Ich ofiary, jak wszyscy mogli się przekonać, zanoszono lub wleczono do grobowca, by - jak głosiły plotki - poddać je procesowi mumifikacji, a następnie ożywić i

posłać do walki, tym razem po stronie proroka.

W konsekwencji większość przerażonych mężczyzn, kobiet i dzieci mogło jedynie wspiać się na zbocza kanałów, przywierając do murów miejskich, lub próbować wspiać się po kamiennej ścianie, by dostać się do dzielnicy grobowców. Ci, którym nie dano nawet takiej szansy, błakali się w tę i z powrotem po równinie, doprowadzeni do obłędu coraz bardziej krwawymi i okrutnymi plotkami, by paść wreszcie pod kopytami koni ciągnących rydwany, od ciosów ostrzy zamocowanych na kołach wozów bojowych lub mieczy ożywionych umarłych. Wielu do reszty straciło zmysły lub popadło w stan bliski otępienia, uwierzywszy, że są świadkami dnia sądu ostatecznego. Wszyscy byli mocno wygłodniali, gdyż wozy z prowiantem przeznaczonym dla żałobników powywracano w czasie pierwszego natarcia, a ich zawartość stratowano pod butami. Pochmurne niebo nabiegło fioletem zwiastującym rychłe nadejście zmierzchu i scena ta upiornie przywodziła na myśl posępne wizje Horaspesa.

Błakający się po równinie Conan natknął się nagle na gromadkę Shemitów, których poznał pracując przy budowie grobowca. Oszałeli z gniewu i desperacji mężczyźni trzymali się dla bezpieczeństwa w zwartej grupie. Za jego namową przetrzasnęli wóz z narzędziami, zdobyli broń i Conan poprowadził ich na jeden z rydwanów dzieci nocy.

Był to toporny lecz mocny wóz, całkiem nowy, gdyż zaledwie przed paroma godzinami wtoczono go do mauzoleum, czwórka ciągnących go koni wszelako była mocno zmęczona. Zwierzęta toczyły mocno pianę i robiły bokami.

Gdy wóz przejechał obok nich po raz pierwszy, harcownicy unieruchomili jedno z kół, wtykając między jego szprychy metalowy łom. Następnie wskoczyli na rydwan i usiekli stygijskiego woźnicę oraz psiogłowego wojownika, rąbiąc ich na kawałki toporkami i łopatami ku uciesze tłumów zebranych na brzegu kanału.

Kiedy wysłano przeciw nim oddział pacyfikacyjny dzieci nocy, Conan rozkazał swoim ludziom ustawić się w szyk bojowy. Jednak z grobowca wypełzły mumie, które swym potwornym, plugawym wyglądem biły na głowę wszystkie inne ożywione do tej pory. Były to prastare istoty, przeraźliwie źle zakonserwowane, przeżarte zgnilizną, a ich zwierzęce części ciała dobrane były nie tyle na chybił trafił, co raczej za sprawą czyjegoś mocno spaczzonego gustu. Cymmerianin poczuł, że na widok tych stworzeń wszyscy jego kompani wzdrygnęli się z odrazą. Jednak żaden nie podał tyłów, gdy powłócząca nogami falanga nieumarłych, ruszyła w ich kierunku. Jakby dla spotęgowania niewysłowionego koszmaru jeden z Shemitów zawołał, że pośród potwornych, cuchnących zgnilizną stworów rozpoznaje swego młodszego brata, członka elitarniej straży cmentarnej, noszącego wciąż na sobie ceremonialny strój pogrzebowy. Mężczyzna ten, bełkocząc jak oszałały, rzucił się nagle do ucieczki.

Pozostali Shemici jeszcze przez chwilę nie mogli się pozbierać i dwaj z nich przyplącili to życiem, gdy napastnicy rozszarpali ich długimi sierpowatymi szponami i zasiekli czerwonymi od rdzy, poszczerbionymi mieczami. Conan zarządził odwrót. Na szczęście starsze mumie nie były tak szybkie jak żyjący, przeto cała drużyna po krótkiej ucieczce zdołała przegrupować się na drugim końcu placu. Mimo porażki, nieśmiałe zrazu poczynanie Shemitów stały się przykładem dla innych, znajdujących się pod murami miasta.

Wielu, usłyszawszy dodającą otuchy przemowę księżniczki Afrit przy bramie, gorliwie jęło głosić wieść o oporze, stawianym jakoby armii proroka. Byli rzecz jasna i inni, którzy poprzysięgli wieczną lojalność królowej Nitokar, ale nawet im zależało na jak najszybszym położeniu kresu poczynaniom Horaspesa.

Następnym celem proroka była naturalnie brama zachodnia i jego oddziały skierowały się rażno w tę stronę, tworząc ciągnący się od grobowca silnie broniony kordon, który dzielił wielki plac przed mauzoleum na dwoje.

Conan nie zapomniał o magicznych umiejętnościach swego wroga i przewadze, jaką w nadchodzącym zmierzchu upiory będą mieć nad żywymi. Odłączył się od Shemitów, pozostawiając ich pieczy wyłonionych spośród nich nowych przywódców. Usiłując przewidzieć plan ataku dzieci nocy, natknął się zgoła niespodziewanie na Otsgara, Izajaba i Zafriti.

Pokryci pyłem i mocno strudzeni, oni również, jak wielu innych nie zdołali wydostać się z równiny. Izajab wyraził chęć przyłączenia się do Conana, nawet zmizerowany Otsgar zachowywał się mniej lekceważąco i pogardliwie niż zazwyczaj.

- Zatem uważasz, że rządy Horaspesa będą oznaczać śmierć miasta - rzekł w zamyśleniu, obserwując hordy nieumarłych, maszerujące i przetaczające się na

rydwanach przed lamentującymi tłumami.

Conan ponuro skinął głową.

- Skoro umarli tak dobrze mu służą, czemu miałyby zadawać sobie trud i utrzymywać żyjących niewolników?

Zafriti przytuliła się do Otsgara, obserwując ze zgrozą poczynania armii nieboszczyków. - To upiorne. Odrażające. Kojarzy mi się z moją ojczystą Stygią, ale jest stokroć bardziej plugawe!

- Fakt, nie jest dobrze - mruknął Otsgar. - Może jednak jestem w błędzie i pod rządami Horaspesa interesy nie szłyby wcale tak dobrze, jak sądziłem.

Conan spojrzał mu głęboko w oczy.

- Wobec tego pomóż mi go pokonać! Księżniczka obiecała nam swą przyjaźń. Masz dzięki temu szansę pozyskać sobie jej łaskawość i wyższą pozycję w układach dworskich, jakie powstaną pod jej rządami.

- Racja. Może już czas, aby zmienić stronnika.

Conan uśmiechnął się drapieżnie i sięgnawszy za plecami Zafriti klepnął Otsgara po ramieniu.

- Dobrze więc! A co z Asrafelem? Czy zginął? - Zafriti pokręciła głową.

- Nie, jakiś czas temu odłączył się od nas, mocno czymś poruszony. Krzyczał coś o jakimś śmiałym planie pokonania Horaspesa i jego armii.

- Cóż za zapalenie z tego gołowaśa! Gdybym nie widział, jak rozprawił się z królem Ebnezubem, powiedziałbym, że jest mocno nierozważny.

Conan rozejrzał się dookoła.

- Jednak dla pokonania tego wroga potrzeba czegoś więcej, niż tylko jego zapalu i odwagi.

Niedługo potem pod bramą Abaddrah podbiegł do Conana młody Shemita i zdyszany głosem wyrecytował:

- Conanie, mój wuj Ezra polecił mi przekazać ci, co następuje: Horaspes ruszył na miasto. Zbliży się w otoczeniu swojej armii żywych trupów. Nie jedzie rydwanem.

Conan w zamyśleniu podniósł głowę.

- Chcąc sforsować bramę, będzie musiał podejść naprawdę blisko, by użyć swoich parszywych czarów. Sądziłem, że zaczeka do zmierzchu, kiedy jego wojska będą miały nad nami przewagę. Ale dobrze, że tak się stało. Lepiej nawet! - Odwrócił się do Otsgara i Izajaba. - Mogę rzucić na niego z flanki kilka setek o władniętych szalem bitewnym Shemitów, ale by się przebić, będziemy potrzebowali naprawdę mocnej szpicy. Chcę, byście mi obaj towarzyszyli.

Otsgar zastanawiał się przez chwilę, po czym odszukał spojrzenie Conana.

- Pójdę z tobą, bądź pewien. Mitra wie, że my dwaj stanowimy odpowiednie wyzwanie dla każdego czarownika czy nekromanty. Chcę jednak, aby Izajab został z Zafriti i strzegł jej. Nie sposób stwierdzić, co się stanie tej nocy. Bramy piekła otwarły się i wszystko może się zdarzyć. - Conan spojrzał na Izajaba, a potem na tancerkę. Dziewczyna nie zaprotestowała. Barbarzyńca uściśnął mocno dłoń Otsgara.

- Zatem pójdziemy we dwóch! Śmierć Horaspesowi! I druga, ale tym razem już wieczna śmierć wszystkim, którzy mu służą!

## XIX

Niech żyje umarły król!

Gdy zaczęły się rozprzestrzeniać pierwsze plotki o nadchodzącej bitwie, dziesiątki skorych do walki Shemitów zgromadziły się w pobliżu bramy miejskiej. Wśród nich krążył Conan wybierając dowódców i umawiając sygnał do ataku. Na ile mógł, starał się zniwelować u każdego z obrońców, tak mężczyzn jak i kobiet, niedostatki wojskowego przeszkolenia. Wiedział, że jego wysiłki skazane są na niepowodzenie, mógł jedynie mieć nadzieję, że bogowie sprzyjają mu akurat tego dnia.

Otsgar również musztrował wojsko, a spośród dwóch górali z pomocy on był tu bardziej znany i popularny. Zdesperowani mężczyźni i kobiety co znaleźli się w szeregach jego oddziału, wymachiwali w powietrzu zdobycznymi mieczami i wszelkim innym prowizorycznym orężem, szczerząc się w dumnych uśmiechach.

Oddział wszelako, pośrodku którego siedł ponoć Horaspes, zbliżał się nieubłaganie, Conan wydał przeto rozkaz, aby wszyscy się uciszyli. Aby ogarnąć

wzrokiem sytuację, wszedł na burtę przewróconego na bok wozu.

Wrogi oddział rozciągnął szyk na czterysta kroków, od grobowca do bramy. Po obu stronach, gdzie lękali się zapuszczać żyjący, powstały szerokie pasma wolnej przestrzeni. Otoczony ze wszystkich stron trzema rzędami ciężkozbrojnych nieumarłych szedł dziarskim krokiem odziany na biało Horaspes; królowej Nitokar nigdzie nie było widać.

Informator powiadomił Conana, że królowa pozostała przed grobowcem, aby dowodzić tamtejszymi oddziałami, sama budowla na tle zmroczniałego nieba wydawała się teraz jeszcze bardziej posępna i złowroga.

Na miejskich murach naprzeciwko rozpalono pęki łuczywa, by rozświetlić nadchodzącą noc. Obrońcy zajęli pozycje na blankach, największe ich skupiska znajdowały się nad zamkniętą i zabezpieczoną kratą bramą miejską. Conan dostrzegł na szczycie wieży sylwetkę Afrit i jej zaufanych, wysokich rangą dowódców. Hen w dole, niebezpiecznie blisko bramy stały grupki ożywieńców. Choć znajdowali się w zasięgu rażenia włóczni i strzał, niewiele sobie z tego robili; skoro mieli już za sobą mękę umierania, nie lękali się pocisków miotanych dłońmi żyjących. Sytuacja mocno zaniepokoiła barbarzyńcę. Gdyby Horaspes zdołał dotrzeć w pobliże bramy, bez wątpienia otworzyłby ją za pomocą jakiegoś fortelu lub magicznej sztuczki. Jeśli do tego dojdzie, morale obrońców spadnie do zera i los miasta będzie przesadzony. Mógł temu zapobiec jedynie szybki, niespodziewany atak. Taki jak ten, który właśnie zamierzał przeprowadzić.

Pozbawione możliwości ucieczki, niezliczone tłumy stłoczyły się na obrzeżach pól śmierci. Ze wszystkich stron dobiegały szloch i jęki, gdy strwożeni wieśniacy oczekiwali nadejścia nocy i wyniku oblężenia. Conan dostrzegł, że wzdłuż kanału przez cały czas coś się działo. Kordony robotników odcinały się czarno na tle nabiegłych czerwienią chmur zachodniego nieba: ludzie przerzucali uciekinierów i zajmowali pozycje na wałach, zaopatrzeni w ciężkie narzędzia i inną prowizoryczną broń. Kilku z nich nawoływało, acz niezbyt głośno, i machało rękami, jakby wskazywali innym kierunek; może zamierzali przerzucić liny nad zdradzieckimi wodami, albo uruchomić na kanale prowizoryczny prom.

Ich wysiłki nie przykuły jednak na dłużej uwagi Conana. Oddział Horaspesa był prawie dokładnie naprzeciw niego. Cymmerianin czekał na właściwy moment, by wydać rozkaz do ataku. Shemici o twarzach przepełnionych powagą lub pałających żądzą walki popatrywali nań z wyczekiwaniem; nie ulegało wątpliwości, że gotowi są dać z siebie wszystko.

Otszar rozglądał się wokoło z lekkim powątpiewaniem, ale spragnieni walki Shemici zbytnio nań napierali, by mógł się wycofać. Conan przygotowywał się, opierając dłoń na rękojeści miecza.

Nagle maszerująca drużyna dzieci nocy zatrzymała się tuż przed miejscem, gdzie Cymmerianin planował przeprowadzić swój atak. Patrzył z uwagą, jak strażę z pierwszego szeregu rozstępują się na boki, poszerzając szyk. Strażnicy pośrodku ujęli brzegi wielkiej, płaskiej tarczy, a biało odziana postać stanęła na niej; zdobione złotą lamówką brzegi długiej szaty owijały się wokół kostek opiętych rzemieniami skórzanych sandałów. Wojowie unieśli tarczę na wysokość ramion, dźwigając Horaspesa wysoko ponad tłum. Prorok pochylił się lekko w kierunku wrót grodu i przyłożył dłonie do ust. Jeszcze raz spomiędzy jego warg dobył się grzmiący głos, tak silny, że Conana od jego tonu aż załupało w zębach.

- Ludu Abaddrah! Nadszedł czas wyzwolenia!

Gromkie słowa spotkały się z odzewem w postaci rozzwierających jęków i wrzasków. Drużyna Conana czekała w ciszy i napięciu; wszyscy wodzili wzrokiem od stygijskiego proroka do cymmeriańskiego wojownika, przy wtórze grzmiącego głosu kapłana oczekując nerwowo na jego sygnał.

- Shemici, nigdy nie wątpiłem, że Ellael was kocha! Oto nadszedł dla was chwalebny dzień! Daję wam to, co dziś was tu przywiodło, i co umiłowaliście nade wszystko. - Mówiąc te słowa Horaspes machnął zamasyście ręką w stronę grobowca, po czym przyłożył dłonie do ust i dokończył grzmiąco. - Abaddranie, oddaję wam waszego króla!

Gdy przebrzmiało echo ostatnich słów, a prorok ponownie skinał ręką w kierunku mauzoleum, Conan spojrział w tę stronę i dostrzegł, że w pobliżu wejścia do grobowca zapanowało jakieś poruszenie. Uformował się tam nowy oddział nieumarłych, pośrodku nich zaś, wzniosła się na tyczkach wytworna lektyka, na której poruszało się niespokojnie coś wielkiego i bladego. Mimo zapadającego zmierzchu nikt nie miał wątpliwości, co to jest.

- Obywatele, oto powraca do was Jego Wysokość Król Ebnezub! Otwórzcie bramy, aby go powitać!

Reakcja ludzi znajdujących się najbliżej była gwałtowna. W jednej chwili zapanował nieopisany zamęt. Z blanek dobiegły okrzyki zdumienia i niepokoju; niemniej jednak strażnicy ruszyli, by wypełnić otrzymany rozkaz, podczas gdy inni za wszelką cenę starali się ich powstrzymać. Tłum poniżej zafalował w przybliżeniu mieszających się ze sobą zgrozy i nadziei.

- Wybierzcie delegację, o szlachetnie urodzeni - zagrział znów głos proroka - by oddać cześć waszemu władcy! Wyślijcie mu na powitanie jego dzieci!

Słyszając to Conan aż się wzdrygnął. Prorok chciał wziąć zakładników, w tym Afrit. Nie potrafił określić, jak zachowają się Shemici, jak zareagują na żądanie Horaspesa i fakt odrodzenia ich króla, wiedział wszelako, że nie może zwlekać dłużej. Dobył miecza i uniósł w górę.

- Naprzód, psy! Za Shem! Śmierć czarownikowi!

Po słowach proroka jego wołania zabrzmiały żałośnie cicho. Mimo to już po chwili odpowiedział mu płynący z paru dziesiątek gardeł okrzyk bojowy, gdy ci, co palili się do walki, odrzucili precz wątpliwości i ruszyli do boju. Pokonali w mig pas wolnej przestrzeni i ruszyli wyjąca dziko hordą na dzieci nocy.

Od początku był to dziki bój, bowiem starym mumiom obce było pojęcie odwrotu. Cięły i dźgały zajadłe tam gdzie stały, by paść pod zamaszystym ciosem. Rąbano je na kawałki, a żadna z nich nawet nie pomyślała, by zrejenterować dla przeformowania szków. Na stojące w szeregu mumie spadła zgraja Shemitów, którzy przebijali, miażdżyli lub zbijali je z nóg uderzeniami swej prowizorycznej broni, niektóre z istot podnoszono w górę i rozdzierano na strzępy. Niebawem bitwa przerodziła się w liczne pojedyncze potyczki; Shemici regularnie i nieubłagane wyciągali z szeregu kolejnych nieumarłych, by jednego po drugim rąbać potem bez litości na kawałki. Wyładowywali swój gniew i odrazę na zimnych, suchych, zmumifikowanych ciałach.

Na widok ich sukcesu od tłumu odłączali się coraz to nowi śmiałkowie, by powiększyć ich szeregi.

Był to jednak dopiero pierwszy szereg obrońców Horaspesa, za nimi stał szpaler znacznie świeższych i lepiej uzbrojonych nieboszczyków, otaczający proroka. W jego skład wchodził głównie zmarli arystokraci i oficerowie z niedawnego jeszcze okresu świetności i dobrobytu, jaki przeżywało ongiś Abaddrah. Przyodziani byli tak, jak ich pogrzebano, w wytworne zbroje ceremonialne lub funkcjonalne, acz mniej drogie pancerze, lecz łatwo było ich odróżnić od żyjących, gdyż bardzo blade twarze pokrywała warstwa farby balsamicznej. Wśród nich znajdowało się paru względnie młodych żołnierzy, zupełnie nienaruszonych zębem czasu; musieli umrzeć całkiem niedawno. Kilku należało do elitarnej gwardii, którą wyróżniło w pień w grobowcu wcześniej tego dnia i poddano pośpieszemu balsamowaniu. Wojownicy ci zwartym szykiem wdarli się w ciżbę walczących, a ich rozrabiające ciała żyjących miecze szybko powstrzymały impet shemickiego natarcia.

Kiedy Conan i OtsGAR dołączyli do walczących, efekt był natychmiastowy. Na całej linii dzieci nocy walczyły z Shemitami, żaden jednak umarły wojownik nie mógł równać się z parą potężnych górali z Pomocy. Jako pierwszy spróbował krępy, brodaty moźny z odległej przeszłości, o twarzy białej jak brzuch rekina. Miecz OtsGara rozłupał jego zdobioną rubinami opaskę i czerep, na którym się znajdowała, podczas gdy Conan odbił w bok pchnięcie inkrustowanego klejnotami miecza i przeszył jego właściciela na wylot. Klinga musiała uszkodzić kręgosłup wielmoży, bo gdy Conan ją wyszarpnął, mumia odchyliła się pod dużym kątem do tyłu. Roniąc piach sypiący się z rozprutego brzucha, zgięła się groteskowo i padła pod nogi stąpających za nią kompanów.

Następnym, który stanął naprzeciw nich, był przystojny młody oficer straży cmentarnej, którego wygląd psuły rozdziawione usta, dające wrażenie napuchniętego, obrzmiałego topielca. Był to zapewne jeden z tych, którzy odebrali sobie życie, pragnąc pójść za swoim królem w Zaświaty. Strażnik uniósł szablę, z klingi której ściekała ludzka krew, i za - mierzył się na OtsGara. Obaj górale uderzyli równocześnie, przełamując szablę w dwóch miejscach. Kolejne ciosy odrąbały nieboszczykowi obie ręce, gdy usiłował jeszcze atakować ułomkiem i rękojeścią swego oręża. Stwór z rozszerzonymi oczami odwrócił się i podał tyły, a z jego upiornie rozchylonych ust popłynął bezgłośny krzyk.

- Poddani, wasz król nadchodzi! - Horaspes ignorował tumult bitewny. -

Otwórzcie bramy, a żywo, i przygotujcie się!

Conan wąpił, by notable otworzyli bramy, niemniej musiał się spieszyć. Rozplątał na dwoje chudego, wymachującego toporem kapłana, podczas gdy Otsgar skrócił o głowę krępego, solidnie zbudowanego strażnika.

Dopiero wtedy dwaj górale z Północy przebili się przez pierwszą linię nieumarłych i znaleźli się wśród dzieci nocy, nikt wszelako nie próbował nawet zablokować wyłomu będącego dziełem łupieżców. Przez kilka chwil dwaj wojownicy rąbali dziko na lewo i prawo, tnąc związane walką mumie w odsłonięte karki i przecinając im ścięgna u nóg. Conan odrąbał nogę w kolanie jednemu z tłustych, bogato odzianych nieboszczyków; stwór z głuchym plaśnięciem runął na ziemię. Barbarzyńca rozejrzał się i ze zdumieniem stwierdził, że stoi po kostki w wodzie.

Woda była wszędzie wokoło, płynęła wartkim nurtem, którego siła mocno naruszała równowagę nieumarłych i porywała ze sobą ich odrabane szczątki, żyjącym zaś nie czyniła większej szkody. Wśród okrzyków bojowych rozbrzmiewały inne głosy.

- Przerwali groble! - zakrzyknął ktoś. - Ojciec Styks nadchodzi, by nas ocalić!

Conan, który dopiero teraz pojawił, co się stało, spojrział przez ramię ku brzegowi kanału. Na tle ciemniejszego, cynobrowego nieba odcinały się sylwetki niezliczonych dziesiątków ludzi pracujących jak opętani. Otwarto śluzy, a łopaty unosiły się i opadały wartko. Nawet z oddali, pośród zgiełku bitewnego słychać było ich słabe, pełne uniesienia wołania. Dzieci rzeki walczyły z dziećmi nocy bronią, która władały najwprawniej.

Śmiały plan! Conan żałował, że sam o tym nie pomyślał, choć w efekcie wszyscy mogli przecież zginać. Czuł, że woda sięga mu już do pół łydki, gdy ruszył niemrawo ku Otsgarowi, odrabującemu uzbrój ona w miecz rękę powalonej mumii.

- Wieśniacy otworzyli kanały - wychrypiał Vanirowi wprost do ucha. - Rzeka zaleje dzielnicę grobowców i unicestwi rezerwy nieumarłych! - Na Mitrę, toż to szalony plan Asrafela! - Otsgar rozejrzał się dokoła z nieskrywanym zdumieniem. - Ten gołowąs musiał przekonać innych głupców, aby mu pomogli!

Conan uśmiechnął się do siebie. Była w tym jakaś poetycka sprawiedliwość. Asrafel, wiejski chłopak, nie mógł zapomnieć Ebnezubowi, że jego ludzie utopili mu ojca. Mimo to, pozostało parę innych, bardziej ważkich, nie cierpiących zwłoki spraw.

- Teraz zajmiemy się Horaspesem - mruknął do Otsgara. - Trzymaj się na dystans i miej się na baczności. On potrafi spalać w powietrzu przedmioty, a jego dotyk przynosi śmierć.

Przed nimi, wśród ciżby walczących, których wysiłki były ledwie widoczne w blasku dogasającego dnia, stali ich jedyni prawdziwi przeciwnicy, ostatni szpaler straży przybocznej Horaspesa.

Byli to zmarli królowie Abaddrah. Mieli na sobie wytworne stroje na ich włosach barwy śniegu tkwiły korony, a paznokcie po stuleciach leżenia w grobie wyrosły upiornie długie i zakręcone. Dwóch z nich podtrzymywało na wysokości pasa tarczę, na której stał Horaspes, pozostali zaś orężnie bronili proroka przed atakującymi ich z rzadka Shemitami.

Kapłan dopiero teraz, z wysokości, uświadomił sobie ogrom zagrożenia ze strony połączonych sił natury i obrońców grodu. Jął wykrzykiwać do stojących tuż przy nim dzieci nocy, nowe rozkazy w ochryplym, gardłowym języku, po czym z niepokojem przeniósł wzrok na grobowiec. Sądząc po dobiegających stamtąd wrzaskach i zgiełku bitewnym, oddział mumii otaczających lektykę martwego Ebnezuba szedł mu rażno z odsieczą.

Nadszedł wyczekiwany moment. Wrzeszczący na całe gardło Cymmerianin rzucił się na jednego z przybocznych Horaspesa. Jego miecz z brzękiem odbił cięcie jednego z martwych królów, podczas gdy wyrzucona w bok stopa trafiła go w pierś.

Rozbryźnięta przy kopnięciu woda, sięgająca teraz do kolan, oblała nieboszczyka od stóp do głów; Conan nie wiedział, czy impet uderzenia przetracił monarsze kark, ale poślódką ze starości i pomarszczona mumia zatoczyła się w tył z głową lekko przechyloną na bok. Cymmerianin zyskał jednak na czasie, by odrąbać dzierżącą topór dłoń jeszcze starszego nieboszczyka, który niebezpiecznie zaszedł go z boku. Odwrócił się, by rozplątać brzuch pierwszemu królowi, zanim ten zamierzy się nań mieczem, i kopniakiem odtrącił go na bok.

Nieumarły monarcha bezradnie plusnął w wodę. Otszar w podobny sposób poradził sobie z przybocznymi z drugiej flanki, powalając ich w wartko płynącą brunatną wodę, co wywołało istny wybuch wściekłości proroka. Nagle Horaspes przestał wydawać gniewne okrzyki do swoich podwładnych. Zarówno on, jak dwaj górale z Północy przenieśli wzrok ku murom grodu. Dał się słyszeć donośny brzęk ciężkich łańcuchów, oznajmiający otwarcie bram Abaddrah.

Ciężka krata uniosła się już do połowy i wyłoniła się spod niej niosąca pęki łuczywa procesja uzbrojonej straży i dworzan. Wśród nich Conan dostrzegł księżniczkę Afrit. Zbuntowaną, dumną potomkinię królewskiego rodu, którą, czy tego chciała czy nie, wysłano w koronie, by powitała swych dostojnych rodziców.

A zatem zwycięstwo Horaspesa było prawie przesądzone. Dworskie błazny wystraszyły się gniewu króla bardziej, niż potworów i tłumu przy bramie. Nie lękali się powodzi, gdyż wały i całe miasto znajdowały się na wzniesieniu, a woda nie dotarła jeszcze do bram.,

Teraz, kiedy do proroka, od strony grobowca nadciągały zbrojne posiłki, a miasto szykowało się na własną prośbę do zagłady, Conan poczuł, że w jego sercu rodzi się gniew. Jednak miast pograżyć się w rozpacz, zmienił się nieulekłą, niepokonaną machinę zniszczenia. Jego miecz rozbryzgiwał wodę na lewo i prawo niczym morskie tornado, gdy szaleńczymi cięciami barbarzyńca odrabiał nogi ostatniemu z królewskich przybocznych. Młóćąc dziko rękami, mumia runęła w tył na jednego ze swych nieumarłych pobratymców, który podtrzymywał tarczę i powaliła go na kolana. Tarcza przechyliła się, a klnący w żywy kamień Horaspes zeskoczył rozpaczliwie w przybierającą wodę, między swych niedoszłych zabójców.

Dla Conana była to wręcz wymarzona okazja. Nie zważając na otaczające go ze wszystkich stron zagrożenia, cofnął miecz do potężnego pchnięcia. W tej samej chwili Otszar uniósł swój oręż, by rozplątać na dwoje nie osłoniętą głowę proroka.

Reakcja Stygijczyka była szybka i zdumiewająca. Gdy miecze świsnęły w powietrzu, uniósł obie ręce, by – nie bacząc na siłę cięć ani ostrość stali – pochwycić obie klingi. – Siła jego chwytu zaskoczyła napastników. Zdumiało ich nie tylko to, jak pochwycił miecze w połowie drogi do celu.

Gdy tylko dłoń Horaspesa dotknęła klingi, Conan poczuł, że rękojeść w jego dłoni zaczyna się nagrzewać. Metal zapłonął mistyczną, palącą energią, a jej moc narastała z każdą chwilą. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy widział, że stalowe ostrze zaczyna nabierać różowego odcienia, jak w dniu, w którym go wykuwano? Przez krótką chwilę nie był w stanie nic uczynić, patrzył tylko, jak stal rozjarza się coraz bardziej, nabiegając czerwienia. Nerwy jego raki zawyły z bólu; nozdrza wypełniła woń płonącej szagrynowej owijki i jego własnej palonej skóry.

Powodował nim dziki barbarzyński upór i nieustępliwość, gdy miast wypuścić broń, ugiął kolana i wetknął sztych miecza w wirującą toń. Woda sięgała mu już prawie do pasa, gdy mętny nurt otulił pieszczotliwie jego obolałą dłoń i chłód wody przyniósł mu chwilową ulgę. Stał czerwieniała nawet pod wodą zaczęła wrzeć, a kłęby pary buchnęły w górę parząc jego skórę w miejscu, gdzie się z nią zetknęły.

Otszar tymczasem, nie mogąc znieść palącego żaru, a zarazem nie mogąc go zdławić, wypuścił miecz i w chwilę potem to samo uczynił Horaspes. W miejscu, gdzie oręż plusnął w wodę, uniosła się pomiędzy nimi jeszcze gęstsza chmura pary, niemal zupełnie przesłaniając Vanira.

W opar ten sięgnęła drapieźnie ręka Horaspesa, a gest ów nie wróżył nic dobrego dla górala z Pomocy.

Conan zmusił się do jeszcze większego wysiłku. Ból ręki zelżał, złagodzony bitewnym szalem, przepełniającym barbarzyńcę. Czarownik skupił się na czymś innym, choć twardym chwytem paraliżował nadal miecz Conana. Zaciskając pokryte pęcherzami palce silniej na rękojeści, Cymmerianin zmienił lekko chwyty, wkładając w to całą podsyconą bólem i desperacją siłę, pchnął do przodu i ku górze.

Poczuł, że ostrze prześlizguje się pomiędzy rozluźnionymi na moment palcami dłoni proroka. W chwilę potem klinga dosięgła celu, jej rozpalony do białości sztych z groźnym sykem wdarł się szatę Horaspesa i pograżył w jego brzuchu. Gorejące, buchające żarem ostrze rozplątało miękkie ciało czarownika jak masło. Kiedy miecz wytracił impet, czubek ostrza wystawał z pleców proroka, pomiędzy łopatkami, jarząc się pośród nadpalonego materiału wilgotnej szaty wokoło rany niczym żagiew o zmierzchu. Conan natychmiast puścił miecz i cofnął



rękę. O włos tylko uniknął zakrzywionej szponiasto dłoni proroka, usiłującego złapać go za nadgarstek.

Horaspes odwrócił się ku niemu, oczy niemal wychodziły mu z orbit. Jego usta wykrzywił agonálny grymas, spomiędzy warg wypłynął mały, okrągły obłoczek pary. Miecz tkwiący w jego ciele świecił jaśniej niż dotychczas. Gdy sięgnął po niego zdrową, tłustą dłonią, całym jego ciałem targnęły konwulsyjne skurcze - przypominał teraz nie tyle śmiertelnie ранnego człowieka, co skwierczący i smażący się na różnie połącz mięsa. Z ostatnim przedśmiertnym jękiem prorok runął na wznak do wody. Conan nie odwrócił się, nie wyczuwał żadnego innego bezpośredniego zagrożenia. Baczenie przyglądał się unoszącemu się na wodzie i buchającemu parą trupowi czarownika. Równie uważnie patrzyłby na rozciętą na pół żmiję, by mieć pewność, że gad na pewno nie żyje. Ominął szerokim łukiem ciało proroka, by podejść do Otsgara. Uniósł lekko leżące w nienaturalnie gorącej wodzie nieruchome ciało towarzysza.

Jego druh nie żył, pośrodku klatki piersiowej łupieżcy ział czarny, wypalony otwór, przeraźliwie podobny do tego, który barbarzyńca widział na torsie kapitana straży - Aramasa. Conan upuścił zwiotczałe zwłoki na powrót do wody i przeniósł wzrok na wystającą z toni rękę martwego proroka; w zaciśniętych kurczowo palcach tkwiło coś czarnego i błyszczącego - spalone serce Vanira.

Wzdrygnął się i sięgnął niechętnie, by dotknąć ciepłego, spalonego ciała proroka. Ze zdumieniem stwierdził, że jego własna dłoń nie wygląda na poparzoną i prawie nie sprawia mu bólu. Gorączkowo wyłuskał zwęgloną bryłę tkanek z uścisku Horaspesa i wrzucił do wody obok ciała jej właściciela.

Bitwa tocząca się wokół niego ustała wraz z nadejściem nocy, ci z żyjących, którzy ocaleli, stłoczyli się na mieliznach pod murami grodu. Na równinie wciąż błąkało się paru nieumarłych wojów, brodzących po piersi w wodzie. Mieli trudności z poruszaniem się, ich wysuszone na wiór ciała były mniej solidne i mocne, niż torsy żyjących, i trudniej stawiały opór wodzie. Conan patrzył, jak kilka ze stworzeń, machając gorączkowo rękami, odpływa w dal, znoszonych przez silny prąd.

Nigdzie nie było widać wskrzeszonego króla, jego królowej, ich wozów, rydwanów i reszty nieumarłej armii. Pomiędzy Conanem i wielkim grobowcem toń wody rozświetlał blask pochodni gorejących wciąż w obsadach u podstawy mauzoleum.

Wodząc wzrokiem po wartko mknących, niosących rozmokłe szczątki falach, Conan zorientował się nagle, iż fale zmieniły swój kierunek i cel. Ich brzemień bowiem, ciała i nieopisane niezliczone szczątki, unoszące się na powierzchni wody, płynęły zbite w jedną bezładną masę ku otwartej bramie grobowca Ebnezuba. Hałas, z jakim woda przelewała się przez równinę i wpływała do podziemi, przypominał ryk wodospadu wpadającego w otchłań głębokiej jaskini. Była to doprawdy ironia losu. Z woli ojca Styksu, wszyscy ci, co padli tego dnia, jak i ci, co nigdy nie powinni byli powstać z martwych, zostali złożeni pospołu, w jednym, gigantycznym mauzoleum. Do uszu Conana doszedł rozlegający się nieopodal brzęk stali. Na wzniesieniu przed otwartymi bramami miasta wciąż pozostało dość pozbawionych dowódcy dzieci nocy, by zaatakowali oni delegację Abaddrah i wszczęli z jej członkami zażartą walkę. Na równinie, ci, co ocaleli po powodzi, brnęli przez opadającą wodę w kierunku miasta. Sytuacja wyglądała groźnie. Afrit znalazła się prawie w samym sercu walki.

Pozbawiony broni, na wpół płynąc, na wpół brodząc przez wodę, Conan ruszył w stronę bramy miejskiej.

XX

Życie za królową!

Poranek zastał miasto niespokojne i oszołomione. Mieszkańcy wciąż jeszcze nie mogli otrząsnąć się po niedawnej apokalipsie. Jak podczas wojny, na rozległych bulwarach i w wąskich alejkach koczowały tłumy wieśniaków, przybyłych z siół za murami. Chłopi leżeli na twardym bruku, pogrążeni w niespokojnym śnie, lub błąkali się niepewnie w poszukiwaniu jada i dachu nad głową. Na ulicach, gdzie się zbierali, większość domostw i kramów zamknięto na cztery spusty, inne zaś, których właściciele albo nie było, albo zginęli, stały otworem i były regularnie plądrowane przez nieposkromioną tłuszcę. Mieszkańcy grodu

zachowywali się poprawnie, acz czujnie. Jak zawsze w czasie bezkrólewia rządziły chaos, anarchia i zwątpienie. Wszyscy wyczuwali brak władzy królewskiej i nikt nie potrafił stwierdzić, który z czarnych koni wypełni ową lukę. Mimo to odczuwalna była również ulga, głębokie zdumienie, udzielające się wszystkim, którzy zwątpili, że kiedykolwiek jeszcze będzie im dane ujrzeć wschód słońca malujący mury grodu odcieniami złota i różu.

Pierwsze promienie słońca dosięgły blanek, gdzie czuwający wartownicy zastanawiali się, której funkcji i któremu dowódcy powinni złożyć poranny raport. Przez całą noc nikt ich nie zluzował i byli mocno zmęczeni, mimo to nie opuszczali posterunków, podziwiając rozległy, skrzący się jak lustro lazuru stawu, rozciągającego się od podnóża wałów do podstawy grobowca Ebnezuba. Na krótko przed świtem ucichł ryk wody, wdzierającej się do wnętrza grobów - ca; rozlewisko Styksu zajmowało już równiną aż do pradawnej nekropolii, a w jego powierzchni odbijały się sylwetki starożytnych monumentów.

Promienie słońca dotarły do miejskich uliczek. Śpiący zbudzili się i zaczęli przemierzać ulice, trafiając wcześniej czy później na plac targowy. Spotykali się tam i rozmawiali znajomi, odnajdowały rodziny. Opowiadano sobie wzajemnie o pogrzebie, bitwie i wszystkich koszmarach i cudownościach minionego dnia.

Ci, co a zmierzchu byli opodal wielkiego grobowca, wspominali, jak fala powodziowa przetoczyła się przez mauzoleum, porywając w mroczną czeluść oszalałą królową Nitokar wraz z jej strażą i sługami, i jak opasły król Ebnezub na siedzisku lektyki - jeśli to faktycznie był on - wkrótce potem odpłynął w głąb grobowca za swą małżonką. Nikt nie ośmielił się wyrokować, czy to dobrze, czy źle, że tak się stało, niemniej opowieść ta powtarzana była tego dnia po tysiącokroć i za każdym razem coś w niej delikatnie zmieniano.

Stojący w bocznej uliczce, przy głównej arterii miasta skład towarów tekstylnych splądrowano podczas minionej burzliwej nocy. Z nadejściem świtu wejście do pomieszczenia na tyłach składu zostało odryglowane i uchylone. Szeroka twarz barbarzyńcy o czujnych, błyszczących oczach zlustrowała wnętrze sklepu.

Wreszcie drzwi otwarły się na oścież, ukazując półnagiętego, muskularnego, czarnowłosego górala z Północy, który musiał pochylać głowę, by nie zahaczyć głową o powałę. Z tyłu, za nim stała smukła, szczupła kobieta, jak on ciemnowłosa. Zdobiony klejnotami diadem na jej głowie skrzył się w promieniach słońca. Z dziewczęcą żarliwością udrapowała na ramionach pas modnej tkaniny, by przekonać się, jak w niej wygląda, jednak pod skąpym przyodziewkiem była z pewnością kobieta.

Czułość z jaką tuliła się do ramienia barbarzyńcy, zdradzała wypadki minionej, wspólnie spędzonej nocy.

- Conanie, naprawdę... wolałabym nie wracać do pałacu. Sprawowanie władzy królewskiej to takie nudne zajęcia! - Zapłonila się ożywiona wspomnieniami. - To znaczy, pomijając ostatnie dni i kłopoty na dworze. Stale musisz walczyć o dekryty, podatki i użerać się z dbającymi wyłącznie o prywatę dworzanami. - Oplotła go ramionami w pasie. - Wolałabym zostać tu z tobą na zawsze!

- Ja też, dziewczyno. - Cymmerianin objął jej kibić. Przytulił ją do siebie i ucałował długo i namiętnie, a potem delikatnie postawił na ziemi. - Teraz jednak czas już na nas. Idę o zakład, że wzięcie tego miasta pod pantofel będzie dla ciebie dostatecznie intrygującym wyzwaniem.

Ruszył między powywanymi sprzętami w stronę drzwi.

- Naprawdę sądzisz, że mi się uda? - zapytała, tuląc się do niego.

- Tak. Mogłaś objąć tron już wczorajszej nocy. Niestety, ci słuźalczyci durnie o mały włos nie wysłali cię na zatracenie, a w całym tym zamieszaniu nie można było zaufać żadnemu z nich. - Przyasał do boku zdobyczny miecz. - Lepiej, aby przez noc rozmaite frakcje załatwiły między sobą wszelkie porachunki, rankiem zaś to oni będą zabiegać o twoje względy. - Przerwał i spojrział na nią z ukosa. - Wiedz wszelako, że będą też tacy, co nie życzą ci dobrze. Co do mnie, będę bronił cię, ile tchu w piersi, dopóki nie nawiążesz kontaktu ze swymi sprzymierzeńcami. Reszta zależeć będzie tylko od ciebie.

- A potem - Afrit musnęła policzkiem jego potężne ramię - na moim dworze znajdzie się miejsce także dla ciebie.

- Być może. - Conan wyjrzał przez wiszące krzywo na zawiasach, sforsowane brutalnie drzwi, po czym wraz z księżniczką wyszedł na ulicę.

- W przeszłości podobne plany jakoś nie doszły do skutku. Teraz jednak musimy dostarczyć cię bezpiecznie przed oblicze tutejszych notabli.

Widok barbarzyńcy oraz księżniczki w diademie na głowie wywoływał zduszone okrzyki podziwu i przykuwał spojrzenia wszystkich. Wygląd Afrit sprawiał, że obywatele Abaddrah kornie schodzili im z drogi. Księżniczka szła obok niego napięta, powolnym, majestatycznym krokiem, a jej dłoń spoczywała miękko w zgięciu jego lewego łokcia. Rękę, którą władał mieczem, miał wolną. Zdawał sobie sprawę, że inni podążają za nimi. Gdy wszedł na plac targowy i obejrzał się, ze zdumieniem zobaczył za sobą tłum przyjaźnie nastawionych poddanych, tak gęsty, że w krętej alejce nie było widać końca owego osobliwego pochodu.

Na otoczonym kolumnami placu na widok Afrit zrobiło się jeszcze większe zamieszanie. Conan chciał doprowadzić ją jak najszybciej w bezpieczne miejsce. Nagle usłyszał gromkie wołanie i odwrócił się. Uśmiechnął się szeroko na widok podchodzących ku niemu Izajaba i Asrafela.

- Witajcie, łajdaki! Nigdy jeszcze nie byliście mi bardziej potrzebni. - Przyciągając księżniczkę do siebie uścisnął dłonie przyjaciołom łupieżcom i serdecznie poklepał ich po ramionach. I nagle jego oblicze sposepniało. - Otsgar...

- Wiemy - skinął głową Izajab. - Widziałem. Mówiłem już o tym Asrafelowi. - Młody Shemita potaknął tylko. - Zaprawdę, umarł okrutną śmiercią. Ale godziwszą niż ta, której spodziewałem się dla takiego jak on łajdaka!

- To prawda! - Conan znów się uśmiechnął. - Ty również nieźle się spisalesz w czasie walki, Asrafelu. Cały gród powinien być ci wdzięczny za to, czego dokonałeś! - Odwrócił się do Izajaba. - A co z Zafriti?

- Jest bezpieczna w gospodzie, kąpie się i odpoczywa. - Izajab wzruszył ramionami. - Chyba jakoś to zniesie, Conanie.

- Doskonale, ale odtąd nie zwracaj się do mnie po imieniu. - Conan zlustrował podejrzliwie tłum, który zgromadził się dookoła nich. - Chcę, byście pomogli mi eskortować księżniczkę do pałacu. I wiedzcie, że może to być dopiero początek czyhających na nią niebezpieczeństw. Pomożecie nam?

Afrit postąpiła naprzód.

- Wszelka pomoc, jakiej nam obecnie udzielicie, powiększy jedynie dług, jaki u was mamy - oznajmiła pospiesznie.

Dwaj łupieżcy wyprężyli się dumnie i przyjawszy dystygowaną pozę pokłonili się nisko księżniczce. Ruszyli na ukos przez plac targowy; na otoczonym kolumnadą bulwarze centralnym, zrobiło się na tyle luźno, że mogli nawet nieco przyspieszyć. Niebawem w oddali przed nimi zamajaczył ogromny pałacowy portyk. Pomimo wczesnej pory pod pałacem nic się nie działo. U podstawy szerokich marmurowych schodów stały rydwany, przy portyku zaś żołnierze ze straży pałacowej, cmentarnej oraz należący do zbrojnych kapłanów, przyglądali się sobie wzajem z dużą dozą niepewności i podejrzliwości. Sterty wypalonych żagwi zdradzały, że czuwali tak przez całą noc.

Zatrzymując orszak mieszkańców przy wejściu do pałacu, trzech mężczyzn i kobieta podeszli ku drzwiom. Gdy się zbliżyli, księżniczka spiorunowała wzrokiem strażę. Czy to za sprawą jej władczej postawy, czy niepewności wywołanej krótkotrwałym bezkrólewem żaden z żołnierzy nie zastąpił jej drogi, nie próbował też jej zatrzymać. Przy wpółotwartej bramie podbiegł, by ich powitać, mężczyzna w kapłańskich szatach.

- Och, księżniczko! Nareszcie! - Był to ten sam wysoki, korpulentny kapłan, którego Conan miał już okazję widzieć i któremu nie ufał.

- Nie wiedzieliśmy, co się z wami stało! Obawialiśmy się... Pójdź za mną, moja księżniczko, zaprowadzę was przed oblicze rady. Widzę, że licznie zjawili się tu również pragnący was powitać poddani. - Spojrzał na tłum zebrany na placu. - Chwała Ellaelowi, oto wielki dzień dla naszego kraju! Wasza eskorta może zostać tutaj. - Obłudny tłuścioch rozłożył szeroko ręce, by uścisnąć Afrit, ale grymas na jego twarzy zdradzał wyraźnie, że nie jest uradowany widokiem jej towarzyszy.

- Wasza Świątobliwość, ci ludzie bronili mnie do tej pory i chcę, by pozostali u mego boku. - Ujęła jego dłonie w swoje, nie pozwalając się uściskać, i wprowadziła go do pałacu. Wewnątrz, wśród głębokich cieni czuwali kolejni żołnierze. Na widok Afrit jęli rozglądać się podejrzliwie; księżniczka nie zatrzymała się, lecz ruszyła ku otwartym drzwiom odległego, łukowato sklepionego wejścia.

Przeszli przez nie i Conan stwierdził, że dotarli oto do rozległej komnaty, gdzie po raz pierwszy ujrzał rodzinę królewską i gdzie walczył z zapaśnikiem, Khadą Khufim. W znajdującej się na podwyższeniu części pomieszczenia miast straży zasiadali teraz notable i kapłani, w większości mocno sponiewierani i wycieńczeni; ich ceremonialne szaty wciąż nosiły ślady dramatycznych przeżyć z ubiegłej nocy. Stali lub siedzieli w luźnych grupkach, zebrani wokół miękkiej sofy, na której w pozie, jaką zwykł był przyjmować jego ojciec, leżał rozciągnięty wygodnie młodzieńcy, dwulicowy Eblis. Na widok swej przyrodniej siostry młody książę uniósł wzrok z nieskrywanym zaskoczeniem i niezadowolaniem. Reakcja dworzan była bardziej entuzjastyczna. Siedzący powstali z miejsc i podeszli do Afrit, kłaniając się jej w pas. Na ich twarzach malowała się cała gama rozmaitych odczuć, od wyraźnej ulgi, poprzez niepewność, aż po zawołaną życzliwość, i ci ostatni spoglądali z niepokojem na towarzyszących dziewczynie przybocznych.

Po chwili księżniczka prowadziła już gwałtowną wymianę zdań z dziesięcioma osobami naraz, debatując nad losami królestwa. Rozmowa szybko przyjęła ton poważnej dyskusji politycznej i nabrała szczególnego znaczenia, Conan zrozumiał, że frakcja kapłańska mianowała Afrit regentką, celem jej zaś miała być szybka odbudowa systemu administracyjnego miasta i zapobieżenie wojnie domowej, przynajmniej dopóki męski potomek Ebnezuba nie osiągnie odpowiedniego wieku, by mógł objąć tron.

Odpowiedzi Afrit robiły wrażenie. Z łatwością dyskutowała o ważnych kwestiach, zachowując naturalną, swobodną, acz dystygowaną postawę, a jej policzki pokraśniały jak rankiem w obecności Conana. Dworzanie również zorientowali się, że mają do czynienia z rezolutną i inteligentną osobką, ci zaś, którzy chcieli nakłonić ją do przedwczesnych zobowiązań i nieprzemyślanych oświadczeń, ponieśli klęskę. Conan uznał, że obejdzie się bez potrzeby użycia argumentu siły; postanowił stanąć gdzieś z boku, by nie rzucać się w oczy.

Spośród obecnych jedynie, rozparty na swojej sofie, Eblis wyglądał na niezadowolonego. Zwlókł się jednak w końcu z leżanki i z rękami splecionymi kurczowo pod połami krzykliwej, ozdobionej wizerunkami gwiazd peleryny podszedł powłócząc nogami do grupki debatujących notabli.

Asrafel stwierdziwszy, że negocjacje dworskie rozpoczęły się na dobre, stanął obok Conana.

- Wygląda na to - rzekł - że nim słońce stanie w zenicie, księżniczka zasiądzie na tronie, i to dzięki naszej pomocy. Dziwne, ale nigdy nie sądziłem, że zyskam sobie przychyłność rodziny królewskiej.

- Zaprawdę, Conanie - wtrącił radośnie Izajab - widzi mi się, że to zadanie nie będzie wcale tak trudne, jak przewidywałeś.

- Conanie? - wykrzyknął z przejęciem książę Eblis, przerywając trwające w sali dysputy. - A więc to jest ten cudzoziemski szpieg, zabójca mego ojca! Jak śmiesz tu przychodzić? - Świadom, że wzrok wszystkich spoczął na nim, Conan speszył się i na moment odebrało mu mowę. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy chłopak rzucił się nań, dobywając spod płaszcza długi, zakrzywiony sztylet. Cymmerianin bez trudu zszedł z linii ciosu zapalczego gołowąsa. Izajab wszelako był wolniejszy i sięgając głowni miecza, otrzymał cięcie w ramię. Książę znów rzucił się na Conana, wymachując dziko trzymanym w rękę sztyletem.

Conan nie dobył broni, tylko wielkim jak bochen chleba kułakiem wyrzucił w dłoń trzymającą nóż. Cios był szybszy, niż mogłoby go zarejestrować oko, sztylet odbił się od boku głowy księcia i wypadł pomiędzy jego zdrętwiałych palców, by ze zgrzytem poszorować po kamiennej posadzce.

Eblis dotknął dłonią rozciętego ucha. Uniósł ociekającą krwią dłoń do twarzy, a z jego ust popłynął przeraźliwy, pełen bólu krzyk.

Dworzanie podbiegli, by go uspokoić i pocieszyć, ale tylko Afrit ośmieliła się podejść do Conana i dwóch jego klnących kamratów. Ucisnęła jego dłoń i zaraz ją puściła.

- Posłuchaj, Conanie! Musisz stąd odejść. Natychmiast! - Skinął głową ze smutkiem. - Tak. Odejdę. Na szczęście nic się nie stało. Gołowąs wyje jak potępieniec, ale to tylko lekkie zadrapanie. - Księżniczka pokręciła głową i z pobladłą twarzą rzuciła pospiesznie. - Nie rozumiesz, Conanie. Sztylet był zatruty. Książę musiał go dostać od swojej matki. Eblis już wkrótce umrze. Obawiam się, że twój przyjaciel również! - Przeniosła strwożone spojrzenie na Izajaba, który stał blady jak ściana, przyciskając dłoń do zranionego ramienia, usiłując zatamować krwotok.

- Wielmoże z pewnością zażądamy twojej głowy w zamian za życie chłopca!  
Conan był kompletnie zdezorientowany; słyszał dziarski krok drużyny żołnierzy zbliżających się do komnaty.

- A co z tobą, Afrit?

- Nie lękaj się. Nic mi nie grozi. Jestem ostatnią dziedziczką z rodu królewskiego, jaka im pozostała! Ty jednak... - zacisnęła wiotkie dłonie na jego ramieniu i pchając całym ciałem spróbowała odwrócić go w stronę drzwi.

- Uciekaj, póki jeszcze możesz! - Obejrzała się trwożnie przez ramię, po czym nieco ciszej dodała: - Gdy obejmę władzę, postaram się chronić twych przyjaciół. Dla ciebie jednak, Conanie, nie ma w Abaddrah miejsca. Tu czeka cię jedynie śmierć. Idź już, mój ukochany!

Conan usłyszał, że łamie się jej głos. Była bliska łez. Cymmerianin spojrział na nią po raz ostatni, a potem odwrócił się w kierunku wyjścia, ciągnąc za sobą Izajaba i Asrafela. Żołnierze próbowali zagrozić im drogę, lecz w obliczu desperacji i zdecydowania rosłego górala z Północy zrezygnowali. Ci, co wykazali się słabszym refleksem, zostali brutalnie zepchnięci z drogi przez trzech łupieżców, którzy przy wtórze świstu dobywanych mieczy wpadli niczym burza na korytarz.

Żołnierze wciąż nie mieli jednego dowódcy, a Conan zwiódł ich, wyprowadzając atak pomiędzy noszące różne mundury dwie grupy straży. Wymachiwał mieczem jak oszalały, lecz używał go tylko do blokowania cięć, które weń wymierzono. Po krótkiej acz zażartej potyczce w korytarzu, trzech łupieżcy wybiegli na schody pałacowe, przed którymi zgromadziły się tłumy mieszkańców Abaddrah. Celnymi kopnięciami obutej w sandały stopy Conan stracił ze schodów dwóch ostatnich, stojących im na drodze uzbrojonych kapłanów. Następnie pomógł zejść po schodach słaniającemu się na nogach Izajabowi, Asrafel zaś dzielnie osłaniał ich tyły. Cymmerianin zmierzał ku rydwanom pozostawionym u podnóża schodów. Dotarł do najbliższego, wskoczył na platformę, schwycił zdezorientowanego woźnicę za kołnierz i przerzucił go bezceremonialnie przez burtę. Gdy jego kamraci znaleźli siew rydwanie, barbarzyńca schwycił cugle i trzaśnięciem z bata obudził czwórkę karych wałachów, w które zaprzężony był rydwan. Następnie używając bata i gromkich okrzyków, skierował ciągnące pojazd konie w stronę pałacowej bramy. Na widok rozpędzonego rydwanu zgromadzony tłum rozstępował się w popłochu na wszystkie strony. Conan ponaglił wałachy do galopu. Nabierający szybkości rydwan potoczył się szeroką aleją centralną, wiedącą ku południowej bramie Abaddrah i traktowi handlowemu poza nią.

Wkrótce rozbryzgujący dookoła błoto i grudy ziemi rydwan przetoczył się przez główne skrzyżowanie dróg za murami miasta. Postawny woźnica z rozwianą grzywą czarnych włosów rozejrzał się bacznie dookoła w poszukiwaniu pościgu, lecz takowego nie dostrzegł. Zagwizdał przeciągle i ściągnął cugle, wprowadzając czterokonny rydwan przez otwartą bramę do gospody Otsgara.

- Hej, stajenni, zamknijcie no i zaryglujcie tę bramę! Zafriti, jesteście tu? Sprowadź pomoc, mamy rannego! - Objeżdżając podwórzec, Conan zatrzymał strudzone konie, uwiązał cugle i zeskoczył z rydwanu, by uklęknąć przy Izajabie. Chudy Shemita leżał bezwładnie z głową na nogach Asrafela. Jego oliwkowa skóra nabrała szarawego odcienia, a ramię, choć krew sączyła się z rany tylko cienką strużką, było napuchnięte i aż do barku przybrało fioletowo-zieloną barwę. Gdy Conan dotknął ciała wokół rany, z ust Izajaba dobył się zdławiony jęk, jego pierś zadrżała konwulsyjnie, głowa przekrzywiła się z boku na bok, a oczy nieomal wyszły z orbit.

- Daj spokój, Izajabie, wyjdiesz z tego! Zaraz położymy cię do łoża i opatrzymy jak należy to lekkie draśnięcie! Nie takie rany odnosiłeś...

- Nie, Conanie, czuję truciznę, która krąży w moich żyłach i jak ogniste węże wgrzyza się w serce. - Głos Izajaba był zdyszany i żałośnie wręcz słaby. - Już wkrótce będę martwy jak stary Ebnezub. Proszę jednak, nie róbcie ze mnie mumii! - Umierający zakaszłał, a jego głos przeszedł po chwili w głucho rżenie. - Wrzucicie mnie do Styksu. Nie chcę trafić w ręce ludzi pokroju Horaspesa.

- Dobrze, stary druhu. - Conan z powagą pokiwał głową. Zjawiła się wezwana przez Zafriti służąca, niosąca słoje z maściami i bandażem, lecz stanęła w progu, kompletnie bezradna. Stała wyraźnie zdeprimowana wyglądem Izajaba, aż Cymmerianin odprawił ją machnięciem ręki.

- Conanie, mam coś dla ciebie - umierający uniósł się lekko i sięgnął

zdrową ręką za pazuchę. - Być może nigdy nie odważyłbym się powiedzieć ci... ale teraz to już nieistotne. Weź, to twoje. - Nie trudź się, Izajabie - rzekł Conan - odpoczywaj. Shemita jednak wyjął zza pazuchy zawieszoną na rzemyku na szyi skórzaną sakiewkę wielkości śliwki. Otworzył ją zwinnie jedną ręką i pochylił głowę, by spojrzeć na zawartość, gdy położył sobie sakiewkę na unoszącej się spazmatycznie piersi.

- Zaczekaj, pomogę ci. - Conan machnął ręką i poluzował rzemyk. Wewnątrz sakwy coś rozblysnęło błękitnym blaskiem. Odwracając mierzek barbarzyńca wyłuskał zeń złoty pierścień z wprawionym weń niebieskim szafirem - Gwiazdę Khorali.

- Kiedy cię znaleźliśmy na pustyni, miałem to już przy sobie. Ukradłem to temu głupcowi, którego ścigałeś, kiedy w południe usnął pod krzakiem. Wyłuskałem owo cacko z jego juków, a na to miejsce podłożyłem bryłkę kwarcu. Śmiałem twierdzić, że nawet nie odczuł jego braku.

Izajab uniósł gorejący błękitny kamień w trzęsącej się dłoni, i na widok klejnotu Asrafel aż rozdziawił usta. Zafriti z chciwym uśmiechem podeszła bliżej. Nawet Conan nie posiadał się ze zdumienia.

- I przez cały czas miałeś to przy sobie? Ależ człowieku, przecież za to mogłeś kupić i sprzedać prawie każdego z nas! - Izajab zarechotał ochryple. - Kiedy powiedziałaś, że ma wartość całego skarbca złota, nie bardzo wiedziałem, co z tym począć. Zwykle odsprzedawałem moje łupy Otsgarowi za bezcen. Taki klejnot to zbyt wiele dla pospolitego złodzieja. Zbyt niebezpiecznie jest posiadać coś równie cennego. - Izajab z trudem, chrypiąc przeraźliwie, próbował nabrać tchu i cały aż zadygotał. Jego dłoń opadła do boku. Conan wyjął pierścień z drętwiejących palców łupieżcy, aby ponownie unieść klejnot i przytrzymać przed oczami umierającego. - Poza tym - wyszeptał Izajab - bogacenie się, to tylko część prawdy o złodziejach. Kradnie się z przyzwyczajenia... dla zabawy i przyjaźni...

Chrapliwy oddech łupieżcy ucichł, gdy mężczyzna z oczami wciąż błyszczącymi od rzucanego przez szafir blasku, wyzionął ducha.

Conan przyłożył ucho do jego piersi, a potem zamknął zmarłemu powieki. Pomógł Asrafelowi podnieść ciało przyjaciela i ułożyć je wzdłuż na platformie rydwanu. Klejnot znikł z jego dłoni, dołączając do innych łupów, które wedle złodziejskiego zwyczaju miał poutykane w przemyślnych kieszeniach, wszytych pod ubraniem. Spojrzał na swego kompana łupieżcę. Z całej bandy zostało ich już tylko dwóch.

- Cóż, na tym kończy się mój pobyt w tym mieście. Muszę cię ostrzec, już wkrótce zjawia się tu straż, będą mnie poszukiwać. Nie - dawno, całkiem przypadkowo odrąbałem kolejną gałąź królewskiego rodu. - Zarechotał, choć w jego głosie wciąż pobrzmiwało echo silnych emocji. - To wszelako nie powinno zagrażać gospodzie ani tym, co w niej pracują. Wezmę ten rydwan i odciągnę stąd pościg. Po drodze wrzucę naszego przyjaciela do najbliższego kanału.

- Wspaniale, Conanie! Jadę z tobą! - Zafriti, przyodziana w jaskrawo-fioletową, muślinową szatę upiętą na śniadym ramieniu, skinęła energicznie na służkę. - Hama, zapakuj same moje najlepsze rzeczy. - Kiedy dziewczyna służebna oddaliła się, Stygijka zmysłowym, tanecznym krokiem podeszła do Conana, a jej oczy zapłonęły pożądaniem. - Kiedy już spieniężysz w Ophirze swój legendarny klejnot, będziemy mogli żyć tam jak królowie! Hyboryjskie krainy staną dla nas otworem!

- Nie, wstrzymaj się! - rozległ się nagle drżący, ochryply głos Asrafela.

- Zafriti, posłuchaj, kocham cię. Conanie, jeśli chcesz zabrać ją ze sobą, będziesz musiał najpierw zmierzyć się ze mną. Dość już czekałem i cierpiałem bez słowa! - Shemita, choć szczupły i muskularny, w porównaniu z Conanem był marnym cherlakiem. Bładość jego twarzy i drżenie rąk świadczyły, iż zdawał sobie z tego sprawę, mimo to nie cofnął dłoni zaciśniętej na rękojeści miecza.

- Posłuchajcie oboje... - Conan zdjął dłonie tancerki ze swojego ramienia i cofnął się o krok. - Zafriti, wcale nie zamierzałem zabierać cię ze sobą. Asrafelu - stając naprzeciw młodzieńca on również położył dłoń na rękojeści miecza. - Jeśli chcesz walczyć ze mną o klejnot, proszę bardzo. O dziewczynę wszelako nie zamierzam krzyżować z tobą miecza.

- Ale, Conanie - Zafriti przytuliła się doń kurczowo. - Chyba po tym, co zaszło między nami, nie zamierzasz mnie opuścić? - Objęła obiema rękami muskularne ramię mężczyzny i ścisnęła mocno.

- Teraz, kiedy Ots garnie żyje, jestem wreszcie wolna. I nic mnie tu już nie trzyma.

- Jeżeli jesteś wolna, Zafriti - rzekł Conan, a do jego głosu zakradła się lodowata nuta - to uwolnij się także ode mnie. Mniemam bowiem, iż nie byłabyś mi wierna bardziej, niż byłaś w stosunku do Otsgara. - Ponownie odepchnął ją od siebie i ani przez chwilę nie spuszczał wzroku z Asrafela, który stał obok, nie dobywając miecza z pochwy.

- Na Croma, kobieto! Ten Vanir to jeszcze młodzik, ale kocha cię i da ci wszystko, czego pragniesz! Nie jestem jak on zaślepiony miłością, byś mogła mnie sobie owinąć dookoła palca. Nie zamierzam spełniać twych zachcianek i być twą zabawką. Szlaki, którymi wędruję, są zbyt niebezpieczne, by można grać w takie gierki.

- Jesteś okrutnikiem, Conanie! - Stygijka ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona zatrzęsły się od szlochów. - Kiedy żył Ots gar, nie miałaś skrupułów, by mu mnie odebrać!

- Nie, Zafriti, nie jestem okrutny, lecz łagodny. Oto masz przed sobą człowieka, który pragnie cię ponad życie i by cię zdobyć, nie zawahał się nawet wyzwąć mnie na pojedynek. Może okaże się bardziej tolerancyjny i będzie patrzył łagodnym okiem na twoje tandetne sztuczki, choć, mam nadzieję, że dla swego własnego dobra nie da ci się, jak Ots gar, wziąć pod pantofel. - Conan zacisnął dłoń na nadgarstku tancerki. Powoli odsunął dłoń od jej twarzy, na której nie było widać nawet śladu łez. Popchnął ją ku smukłemu, młodemu Shemicie, który widząc to, wyciągnął przed siebie rękę. Jego złoty kolczyk rozblęsnął w słońcu.

- Asrafel to człek zaradny, mężny i będzie cieszyć się łaskami u nowej władczyni. Wspólnie powinniście bez trudu utrzymać to, co zdobył Ots gar, i jeszcze bardziej rozwinąć interes. - Conan wszedł na platformę rydwanu. - Albo, jeśli zechcecie, nie będziecie tego ciągnąć dłużej. Tak czy inaczej, decyzja należy do was. - Pomachał im ręką. - Bywaj, Asrafelu, z całego serca życzę ci powodzenia!

Sięgnął po cugle, wziął do ręki bat i zakrzyknął na służbę: - Ejże stajenni, rozewrzyjcie bramę i zejździe z podwórca, a żywo! Ruszam w drogę co koń wyskoczy! Nuże tam, wolna droga dla Conana z Cymmerii!